

**Noël Calef**

**WINDĄ NA SZAFOT**

**Przekład:**

**Sławomir Śmigielski**

**Krzysztof Trojanowski**



**Toruń 1992**  
**„CRIME and THRILLER”**

# 1.

Wszystkie latarnie zapaliły się jednocześnie. Było jednak jeszcze widno i ich światła gubiły się na asfalcie wymyтым ostatnimi ulewami. Ludzie spieszyli do wielkich sklepów. Otwarte okna domów wychodziły na puste ulice, każdy korzystał z sobotniego popołudnia, a niektórzy wyjechali na weekend na wieś.

Jednakże w urzędach wrzała praca. Tu i tam w oknach biurowców w centrum widać było światło. Należał do nich także wielopiętrowy budynek *Uma-Standard*, zaprojektowany w stylu krzyżącego modernizmu, który wznosił się na skraju bulwaru Hausmanna.

Przez uchylone okno widać było mężczyznę i kobietę siedzących naprzeciw siebie, on w swoim fotelu za metalowym biurkiem, ona z bloczkiem do stenografowania na kolanach, daremnie czekająca na dalszy ciąg listu.

Broda mężczyzny osunęła się. Pograżony w myślach próbował wyobrazić sobie przyszłość, czepiając się promyka nadziei. Nie widział już nawet swojej sekretarki siedzącej metr od niego. Machinalnie spojrział na zegarek. To zdarza się już po raz dziesiąty — pomyślała dziewczyna. Zdecydowanie nie do twarzy mu z tym grymasem w kąciku ust. Nagle zdało się jej, że odkryła prawdę: on jest zakochany. Na samą myśl wzruszyła ramionami. Chyba niemożliwe... Za bardzo kocha swoją żonę. Czyżby kobieciarz?

Aby się o tym przekonać, uniosła lekko spódnicę obnażając nogi aż do kolan. Mężczyzna ani drgnął.

Atmosfera stała się ciężka od poczucia tej nieświadomej współwiny, mieszającej się z nieokreślonym bliżej odrętwieniem spowo-

dowanym pierwszymi dniami wiosny. Nagle podskoczyli oboje w momencie, gdy w półmrok i nienaturalną ciszę wdarł się przenikliwy dźwięk telefonu. Odruch mężczyzny był tak gwałtowny, że potrafił biurko. Telefon zadzwonił ponownie. Mężczyzna wykonał nerwowy gest.

— Niech pani odbierze, Denise.

Wstała i podniosła słuchawkę.

— EXIM, Przedsiębiorstwo Eksportowo-Importowe Julienu Courtois. Pan Courtois? Nie wiem, czy jest u siebie. Chwileczkę, proszę pani... — Zasłoniła dłonią słuchawkę i szepnęła bezgłośnie: — Pańska żona.

Skrzywił się, ale podniósł słuchawkę.

— Halo! Co się stało? Ach, to miło z twojej strony. Bardzo dobrze... Co? Też masz pomysły... Ja pracuję, jak już ci mówiłem. Wręcz przeciwnie, czuję się doskonale.

Przerwał na chwilę, by pozwolić mówić żonie, której zniekształcone słowa dochodziły do Denise. Ton jego głosu podniósł się.

— Ależ nie... Czego będziesz szukała? Pewno myślisz, że gdybym zepsuł nasz angielski tydzień, to miałbym...

Odwrócił się do Denise, jakby chciał ją wziąć na świadka i zaschło mu w gardle. Dziewczyna siadając ponownie skrzyżowała nogi w prowokujący sposób. Próbowwała też uśmiechać się zalotnie.

— Ależ nie! — wykrzyknął do słuchawki, nie mogąc oderwać wzroku od nóg sekretarki.

W słuchawce coś wyraźnie zachrobotło. Oderwał ją na chwilę od ucha i uśmiechnął się niepewnie do Denise.

— Wcale nie, Genevieve. Zadzwoniłaś, żeby upewnić się, że tu jestem. I jak słyszysz, jestem...

Rozmawiając z żoną jednocześnie nie spuszczał wzroku z sekretarki. Poczł lekki niepokój, gdy w ironiczny sposób uniosła brwi. Tymczasem głos jego żony przybrał na sile do tego stopnia, że musiał odsunąć od ucha słuchawkę. Czł skrępowanie z powodu obecności obcej osoby w pokoju. Spojrzał w stronę Denise: może jednak zrozumie i odejdzie trochę dalej? Gotowało się w nim, ale ona nie rozumiała o co chodzi i całkiem poważnie poprawiała pończochy.

Julienu Courtois ogarnęło ogromne znużenie. I choć Denise

nie dla niego nie znaczyła, to kusiło go, żeby zostawić to wszystko, telefon, wszystkie plany i kłopoty, i zniknąć z nią, zapomnieć się w jej ramionach choćby tylko przez godzinę...

Na drugim końcu drutu postawiono pytanie. Odpowiedział tylko: — W porządku, zgoda.

W słuchawce najpierw dał się słyszeć strumień pomieszanych słów, później dwa słowa wyraźnie od siebie oddzielone: — Kochasz mnie?

Denise odwróciła się. Ona także słyszała.

— Och... Naturalnie...

— Nie, Julien, powiedz mi to. Powiedz.

Nie wiedział już, gdzie podziąć wzrok. Sekretarka, udając brak zainteresowania, patrzyła gdzieś w dal. Julien był wściekły.

— Błagam cię, Genevieve, nie w tej chwili.

— Nie jesteś sam?

— Nie. Zrozumiałaś? Co? Ale ja jestem bardzo spokojny, powtarzam ci. Nie. Nie wrócę o siódmej. Później.. Mam ważne spotkanie o szóstej trzydzieści. Tak, właśnie tak. Możesz zadzwonić jeszcze raz, żeby przekonać się, że nie ruszam się z miejsca.

Brutalnie rzucił słuchawkę. Denise zrobiła minę niewiniątka, ale nie opuściła spódnicy.

— Niech pani nigdy nie wychodzi za mąż, Denise — powiedział uśmiechając się krzywo. — Ale... na czym to stanęliśmy?

— Panowie...

— Tak, właśnie... Panowie, jest nam miło...

Uniósł dłoń na wysokość oczu, aby znowu spojrzeć na zegarek. Denise zapisała „dwójkę” w rogu kartki i zakreśliła ją kółkiem.

— Jest nam miło... — powtórzyła.

— ...i czujemy się zaszczytzeni... Proszę nie zapomnieć napisać datę.

— Jaką datę, proszę pana?

Najwyraźniej kpiła z niego, ale on nie zwracał już na to uwagi. Zakaszłał i odwrócił się do okna. Na zewnątrz był pogodny, jasny od blasku latarni, kwietniowy wieczór. Jeszcze raz zerknął na zegarek.

— Kiedy zaczął pan dyktować, sądziłam, że chce pan zamówić jakiś katalog...

— Nieważne.

Wyteńczył słuch. W budynku słychać było stopniowo narastające, zduszone grubością ścian śmiechy i rozmowy kończących pracę i śpieszących się urzędników. Denise poczuła nagle, że ma dość swojego szefa, któremu o wpół do szóstej nie udało się skończyć załatwiania korespondencji.

— Czy to wszystko na dziś, proszę pana?

Julien Courtois wstał tak gwałtownie, że aż zachwiał się fotel.

— Co? Ach... Tak, proszę przepisać listy na maszynie.

Z trudem oddychając podszedł do okna. Wydawało mu się, że powietrze nie wypełnia mu całych płuc.

— Ależ proszę pana, jest prawie szósta — zaprotestowała Denise.

Odwrócił się próbując się uśmiechać.

— Tak, tak. Wiem, Denise. Muszę jednak panią prosić o pozostanie do wpół do siódmej.

Chciała coś powiedzieć, ale przeszkodził jej w tym ruchem dłoni.

— Niech mi pani tego oszczędzi, moja mała. Mam coś bardzo ważnego do zrobienia. To poważna sprawa. Zostawię pani moje notatki i będzie je pani mogła przepisać w poniedziałek rano przed moim przyjściem.

Dziewczynnie zrobiło się bardzo przykro. Położył jej rękę na ramieniu jak ojciec i kontynuował.

— To nie powinno zająć tyle czasu... Najwyżej do dwadzieścia po szóstej. Proszę mi dać znać przez interkom dokładnie o szóstej dwadzieścia i zwolnię panią, zgoda?

Jego głos zrobił się ciepły, a zęby zalśniły w uśmiechu. Miał w sobie jakiś urok, wiedział o tym i umiał się nim posługiwać. Denise podniosła nadaśaną twarz i skierowała się ku drzwiom. Położyła rękę na przełączniku.

— Mam zapalić światło?

— Nie, proszę tak zostawić. Muszę się nad czymś zastanowić.

— Dobrze, proszę pana.

W chwili, gdy już miała wyjść, zawołał ją.

— Denise! Proszę mi nie przeszkadzać bez ważnego powodu.

— A... a gdyby zadzwoniła pani Courtois?

— Powie jej pani, że jestem zajęty, bo mam klienta. O niczym nie chcę słyszeć przed szóstą trzydzieści...

— Szóstą dwadzieścia!

— Tak. Szóstą dwadzieścia. Dziękuję.

Wyszła z pokoju i Julien został sam. Z głębi budynku dobiegały wciąż śmiechy, krzyki i tupot nóg. Kiwnął głową kilka razy. Wyglądał na zadowolonego, mimo bolesnego grymasu na twarzy.

Zegar elektryczny na ścianie pokazywał za siedemnaście szóstą. Porównał z godziną na swoim zegarku i zwilżył suche usta. Następnie podszedł do kącika zaraz za biurkiem, umył ręce i wytarł je starannie. Ze schowka, gdzie trzymał czyste chusteczki do nosa, wyjął jedną i schował do kieszeni. Pot obficie sperlił mu czoło.

Wrócił do biurka, otworzył środkową szufladę i wyjął z niej nową książeczkę czekową i kilkustronicowe memorandum: BUDOWA RAFINERII ROPY NAFTOWEJ POD PARYŻEM. Złożył papiery i wsunął je do wewnętrznej kieszeni marynarki. Czynił ogromny wysiłek, by oddychać, przerażenie blokowało drogę powietrza do płuc.

— Trzeba z tym skończyć raz na zawsze — wymamrotał ze ściśniętymi zębami.

Minęły zaledwie dwie minuty. Po cichu podszedł do drzwi od pokoju, w którym Denise pisała na maszynie. Uchylił je.

Sekretarka szeptała do telefonu:

— ...Pomyśl. Kończę dokładnie o szóstej dwadzieścia. Nie mam pojęcia, co mu się dziś stało. Aż do piątej pisałam. Potem zaczął dyktować mi jakiś list, którego nie skończył. Nie mógł usiedzieć na miejscu... Właśnie. Ani trochę! Nawet moje nogi. Zwykle nie patrzy na nie tak dziwnie. Nie, według mnie to próbował mnie poderwać.

Oczy Juliana promieniały radością. Denise mówiła dalej i myśląc, że jest sama, położyła nogi na krawędzi biurka.

— Niezły... Dość wysoki... Regularne rysy twarzy, wyobrażasz sobie? Ale to, czego nie wyobrażasz sobie, to oczy. Oczy, które rzuciłyby każdą na kolana.

Julien pochylił się, by móc lepiej słyszeć. Nerwowo zaciskał kłamkę.

— Tak między nami, to musiał zakochać się jak pensjonarka.

I co więcej, on uwielbia swoją żonę. Nudziara, ale ma forszę, albo przynajmniej jej brat ją ma... Więc rozumiesz, dzwoni do niego co pięć minut i truje mu to samo: kochasz mnie? Powiedz mi to... Jak?... Oczywiście, że lata za spódnicami. Zresztą gdybym nie miała Paula, to kto wie, czy nie dałabym się skusić...

Ukryty Julien zdawał się potwierdzać lekkim ruchem głowy wszystkie zdania wypowiedane przez Denise.

— W każdym razie dziś wieczorem chciał mnie poderwać na poważnie. Jedenaście razy patrzył na zegarek. I jeszcze powiedział żonie, że ma ważne spotkanie służbowe o wpół do siódmej.

Julien zamknął delikatnie drzwi do pokoju Denise. Była za dwanaście szósta. Przez moment zawahał się. Ponownie wyjął książeczkę czekową i tekst dotyczący rafinerii. Przyjrzał im się uważnie z rozszerzonymi źrenicami i otwartymi ustami. Nerwowym ruchem wyjął z szuflady pistolet automatyczny. Zadrżał i odłożył broń na miejsce.

— Nie. Uda się albo nie, ale... ← wyjąkał półgłosem.

Westchnął głęboko. Powietrze wypełniło mu płuca.

— Musi się udać! — zdecydował.

Podszedł do okna i wskoczył na parapet.

## 2.

Niepotrzebnie spojrział na ulicę, dwanaście pięter w dół, zakręciło mu się w głowie. Światła samochodów rozbiegały się we wszystkich kierunkach dziurawiąc mrok. Oświetlenie ulic jak kolia z pereł układało się na chodniku. Dochodziła do tego błyszcząca poświata wszystkich świetlnych reklam. Z zaciśniętymi zębami walczył z lękiem wysokości. Zmusił się do postawienia drugiej nogi na zewnętrznym parapecie okna. Natrafił końcem stopy na krawędź fasady. Powoli wyprostował się i krok po kroku przysunął się na długość zewnętrznego muru. Przygotowywał tę drogę od wielu dni. Paznokciami wczepiał się w miniaturowy gzyms. Lewą nogę przesunął o kilka centymetrów, dołączył do niej prawą i zaczął się przesuwać. W ten sposób musiał przejść trzy metry. Ogarnął go szal, gdy dotarł wreszcie do sąsiedniego okna. Pchnął je i wskoczył do pokoju.

Było to dość duże, nie zagospodarowane biuro, świeżo malowane na kolor bladozielony. Podłoga poplamiona gipsem i zawałona puszkami z farbą znikająca pod grubą warstwą białego pyłu.

Julien na czubkach palców podszedł do oszklonych drzwi, na których można było przeczytać wspanie nie dokończony napis: PRIV...

Nagle podskoczył, jak gdyby właśnie coś sobie przypomniał. Zaczął gorączkowo szukać pod marynarką i w kieszeni spodni pary cienkich rękawiczek, które natychmiast założył. Cofnął się i wytarł starannie uchwyt od okna, którego dotykał. Cały czas z tą samą ostrożnością podszedł do oszklonych drzwi i wytarł dokładnie buty o wycieraczkę. Ręką w rękawiczce powoli przekręcił klamkę. Oświetlony korytarz był pusty. Julien odzyskał



kontrolę nad nerwami i spokojnie wyszedł zamykając za sobą drzwi. Na korytarzu żywej duszy. Odetchnął z ulgą. Zrobił kilka kroków. Nawet tutaj dochodziły do niego strzępy rozmów.

— Spróbuj mojego rózu, zobaczysz, jest nadzwyczajny.

— Oczko ci leci, kochanie...

Julien Courtois nie zatrzymał się. Urocze są te młode dziewczyny. Ale to już innym razem... Przyspieszył kroku. Korytarz był cały czas pusty. Wszystko przebiega według planu. Zakręcił w prawo. W tej części budynku oświetlenie było słabsze. Znajdowały się tu tylko jednopokojowe biura, prawie wszystkie zamknięte w sobotę, oprócz jednego. Świecąca nad drzwiami żarówka oświetlała napis: BORDGRIS, POŻYCZKI ZA PORĘCZENIEM. Julien zaśmiał się szyderczo, zdjął rękawiczki, wepchnął je do kieszeni i wszedł nie pukając.

Pochylony nad biurkiem łysy mężczyzna, w bliżej nieokreślonym wieku, podniósł głowę. Na jego wąskich i suchych ustach pojawił się złośliwy uśmiech.

— O, to pan Courtois!

— Cześć, Bordgris — rzucił krótko Courtois popychając drzwi. Lichwiarz nie poruszył się, ale uśmiech go zdradzał.

— Pracuje pan teraz w sobotę popołudniu? Serio?

— Zgadł pan.

— Jeżeli o mnie chodzi, to gdyby ten pieprzony budynek był otwarty w niedzielę, pracowałbym także w Dniu Pańskim. Ja kocham moją robotę.

— Raczej kocha pan pieniądze!

— A pan?

— Ja także — przyznał Julien. — Ale niezupełnie w ten sam sposób...

Bordgris nerwowo wytarł w chusteczkę mokre od potu dłonie. Jego głos, wyraźny i nieprzyjemny, zabrzmiał znowu.

— Pomyliłem się co do pana, panie Courtois.

— Jak to?

Bordgris przechylił się do tyłu w swoim fotelu, aby lepiej obserwować efekt swoich słów.

— Liczyłem na pana, na stanowisku handlowca, z braku kogoś bardziej odpowiedniego... A pan, nie mniej uczciwszy i przy-

zwoitszy od bagna, na pograniczu bankructwa, myślący tylko o podrywach...

Julien wybuchnął głośnym śmiechem.

— Więc co panu każe sądzić, że się poprawiłem?

— Pańska obecność u mnie.

Julien zrobił zdziwioną minę.

— Może to termin płatności?

— A od kiedy interesują pana terminy płatności? Nie zapominając oczywiście, że prawnie ma pan czas do północy i tym lepiej dla pana, że na koniec tygodnia udziela się zwłoki do poniedziałku rano.

— Kto panu powiedział, że potrzebuję jakiejś zwłoki?

Rysy twarzy Bordgrisa zaostrzyły się.

— Ma pan pieniądze?

— Nie.

— Tak myślałem... — uśmiechnął się sarkastycznie. — Więc czego pan chce? Prolongaty? Nic z tego. Jeśli chodzi o sprawy służbowe, to jestem nieubłagany, Courtois...

— Niech się pan nie zaśłania sprawami służbowymi.

— Przychodząc pożyczyć pieniądze chyba wiedział pan, jak sprawa stoi.

— Ale mimo wszystko cztery miliony gotówką w zamian za umowę na pięć, to lekka przesada.

— Niewiniątko, o niczym nie wiedział. Był nieświadomym główniarzem, gdy pożyczał taką sumę! Dość zabawne, mój stary. Pieniądz jest drogi. No i ryzyko... A zatem, jeżeli w poniedziałek rano o dziewiątej pożyczka nie zostanie spłacona, pożaluje pan.

— Może pan uniknąć wszelkich kosztów, bo mogę wypisać panu czek natychmiast.

Bordgris zrobił wielkie oczy ze zdziwienia.

— Czek?

— Tak, czek. Chyba pan wie, co to jest?

— Niech pan nie żartuje, Courtois! — wykrzyknął. — Nie igrasz się z pięcioma milionami. Pan podpisze mi czek, a ja zatrzymam umowę aż do inkasacji, w porządku?

— Do czego to panu potrzebne? — Wzruszył ramionami i pochylił się nad biurkiem. — Jeżeli czek będzie bez pokrycia, wniesie pan skargę?

Bordgris zmarszczył brwi zastanawiając się, gdzie może być pułapka. Nic nie rozumiał.

— To oczywiste — potwierdził w zamyśleniu.

Obrócił się w fotelu, by zyskać na czasie i znalazł się naprzeciw sejfu umieszczonego za jego plecami. Zaczął bawić się zamkiem szyfrowym. Ciężkie drzwiczki otworzyły się delikatnie. Julien, patrząc przez ramię Bordgrisowi, dostrzegł natychmiast na półce rewolwer, który służył jako przycisk do papieru. Lichwiarz chwycił ściśniętą gumką plik papierów, spośród których wyciągnął umowę. Zostawił sejf otwarty i obrócił się w fotelu. Położył umowę na biurku i ze wzrokiem utkwionym w Juliana powtórzył nieufnie:

— To oczywiste: — Westchnął, jakby oderwanie oczu od umowy sprawiło mu ogromną trudność. — Oddam to panu za czek na pięć milionów. — Julien sięgnął do kieszeni. — Sekundę — odezwał się Bordgris, jakby czuł zagrożenie. — Jeżeli w poniedziałek bank nie uzna czeku, obiecuję panu, że natychmiast złożę skargę o wypuszczenie czeku bez pokrycia. Tak zrobię.

— Dlaczego upiera się pan cały czas przy tym, że będę taki głupi i podpiszę panu czek bez pokrycia, dobrze wiedząc, że bez wahania wyśle mnie pan za to za kratki? Niech się pan zastanowi.

— Próbuje — wyznał Bordgris. — Ale nie mogę pojąć. Ma pan aktualnie w banku taką sumę?

— Tego nie powiedziałem.

— Ach, no tak.

— Wygląda na to, że sprawiłem tym panu przyjemność. Niech pan powie, nie chce pan swoich pieniędzy?

— Ależ tak, tak. Tylko chciałbym przejąć kontrolę nad EXIM-em.

— I co pan z tym zrobi? To przedsiębiorstwo handlowe, a nie lichwiarski sklep.

— Potrzebuję czegoś nowego. To wydaje mi się odpowiednie.

Przez chwilę, w ciszy przypatrywali się sobie uważnie z wymuszonym uśmiechem na ustach. Obaj próbujący zgadnąć, w jaki sposób jeden chciałby zdobyć przewagę nad drugim.

Bordgris pocił się, ściskając w wilgotnych dłoniach mokrą chusteczkę. Wzbudzał w Julienie instynktowny wstręt.

Julien miał tylko jedno pragnienie: rzucić to wszystko, podać się bezlitosnemu prawu zwycięzcy, aby tylko nie musiał już realizować planu. Pierwszy spuścił wzrok i wymamrotał:

— Jaką przyjemność daje panu rujnowanie ludzi, niszczenie ich?

Bordgris ucieszył się, ale nie dał tego po sobie poznać.

— Cóż, ja robię interesy, a nie uganiam się za dziewczynami.

Julien usłyszał nagle swój błagalny głos.

— Niech pan posłucha, gdyby tak zgodził się pan na przedłużenie terminu tylko o dwa miesiące, pozwolę panu...

— Nic z tego! — wykrzyknął Bordgris. — Niech pan zatrzyma te żale dla swoich panienek, które przepuszczają pańskie pieniądze. Ten numer nie przejdzie. Czułość i pieniądze to dwie różne rzeczy.

Courtois przygryzł wargi.

— Od dnia, w którym podpisałem z panem tę umowę...

— To było rok temu! — przerwał lichwiarz nie bez goryczy. — Nie zapominajmy, że przedłużyłem ją już trzy razy.

— Za pół miliona za każdy raz, nie zapominajmy również i o tym. Niech mnie pan posłucha, Bordgris. Możliwe, że nie byłem wzorem cnót, ale nie byłem też nieuczciwy i od tego czasu...

— Od tego czasu narobił pan prawdziwych świństw. Szczególnie to, że orznął pan z forsy swojego szwagra. W pańskim obecnym położeniu jedno świństwo mniej czy więcej...

Julien jak rażony piorunem zachnął się.

— Jak to, jakie świństwo?

— A ta historia z czekiem? Być może jest to zwykłe podłożenie komuś świni.

— Całkiem prawdopodobne — przyznał Courtois. — Następnym razem będzie można tego uniknąć, jeżeli istnieje jakiś sposób.

— Nie ma żadnego sposobu. Od pewnego czasu to PAN popełnia niedelikatność, gdy ja powracam do tematu moich pieniędzy.

Jeszcze raz wytarł w chusteczkę mokre od potu dłonie. Jego pozbawiony radości śmiech zaskrzypiał jak niegościnne drzwi.

— Niech się pan pośpieszy. Na pewno ma pan randkę z dziewczyną.

— Proszę się przyznać, Bordgris, nie jest pan przypadkiem zazdrosny?

Bordgris aż podskoczył.

— Zazdrosny? A o co, na Boga? Pan jest szalony.

Oczy Julienu błyszczały. Pokiwał z politowaniem głową.

— Wiem tyle rzeczy o kobietach, które pan zna tylko ze słyszenia. Mój biedny staruszk, pan musi być impotentem.

Twarcz lichwiarza pobladła. Przez chwilę zawładnęła nim panika. Julien szedł dalej.

— Do cholery, Bordgris, ma pan niezły zryw. Choć jeden raz w życiu, nie będzie pan tego żałował...

Pięść Bordgrisa uderzyła o biurko przerywając wpół zdania Julienowi.

— Tego już za wiele! Jeżeli to jakiś eksperyment do psychoanalizy, to pokój obok. Jeżeli to coś w rodzaju psalmów, to najlepiej niech pan idzie do Armii Zbawienia. Tutaj płaci się albo wylatuje. Niech pan wreszcie podpisze ten czek, żebym mógł pana wysłać za kratki.

Julien opadł na krzesło. Wyjął swoją nową książeczkę czekową i pióro. Jego głos był teraz zimny.

— Jeszcze przed chwilą mówił pan, że to ryzyko. Rzeczywiście. Jeden nieszczęśliwy ranek i koniec z panem. To będzie zbawienie dla wszystkich.

Bordgris wybuchnął śmiechem tak głośnym, że aż zakrztusił się i złapał go atak kaszlu.

— Niech się pan o mnie nie martwi. Mam się czym bronić — wykrztusił wreszcie, wskazując na rewolwer w sejfie. — Ostrzeżenie dla amatorów! — Nagle opanowała go złość. Zaczął wymachiwać plikiem dokumentów owiniętych gumką i wrzeszczeć: — Amatorzy! Próźniacy! Hipokryci! Jedyne, co umiecie robić, wy i do was podobni, to uzalać się nad swoją biedą, gdy nie macie już ani grosza!

Rzucił plik papierów na biurko. Nozdrzami chwycił powietrze. Julien stłumił nerwowe ziewnięcie.

— I co? — krzyknął Bordgris. — Tracimy pewność siebie?

Julien Courtois, jak uderzony biczem, odzyskał pozorny spokój. Wzruszył ramionami. Nieznośny ton lichwiarza dobrze na niego zadziałał. Potrzebował bodźca, trochę wściekłości, by zareagować.

— Chciałby pan tego — powiedział.

Szybko wypisał czek na rogu biurka. Bordgris uważnie go obserwował.

— Sprytnie, stary — powiedział. — Jeżeli to jakiś kawał, to niech się pan tak nie wysila. Razem z odwołaniem zyska pan za ledwie kilka miesięcy. A ten czek w moich rękach będzie dla pana o wiele bardziej niebezpieczny.

Julien wyrwał z książeczki czek i podał Bordgrisowi.

— *Alea jacta est.*

— Co to znaczy?

— Jeżeli pan chce, może go pan zrealizować w poniedziałek rano.

— Będzie honorowany?

— Zobaczy pan.

— Kto mi da pieniądze? Pański szwagier?

Julien skinął potakującą głową.

— Co za frajer. Ufa jeszcze panu?

— Oczywiście, że nie — odparł zupełnie swobodnie. — Oddam mu tę umowę dziś wieczorem. W ten sposób będzie pewien, że zapłaciłem. Podpisze mi czek na odpowiednią sumę, którą przeleję na moje konto zaraz w poniedziałek rano. Zrozumiał pan wreszcie całą tę kombinację?

Bordgris, niezbyt przekonany, chwycił czek i przypatrywał mu się uważnie, oddalając go od swoich oczu dalekowidza. Spojrzenie Juliana padło na rewolwer, który ciągle spoczywał na półce uchylonego sejfu.

— Sprawia wrażenie, jakby się sama przesuwiała — westchnął żałościwie Bordgris patrząc na kartkę papieru na biurku.

Końcami palców przesunął umowę w stronę Juliana. Courtois wziął ją, złożył i wsunął do kieszeni. W odruchu spojrzął na zegarek — za dwie szósta. Transakcja przebiegła szybciej, niż się tego spodziewał.

— A teraz, Bordgris, chcę panu zaproponować wyjątkowy interes: jeśli prosperuje pan jako tako, wchodzi pan do EXIM-u bez żadnych przeszkód.

— Fifty-fifty?

Musiał odpowiedzieć: tak, bo czas naglił i nie mógł już znieść napięcia nerwowego.

— Nie mogę odpowiedzieć „tak” od razu. Najpierw muszę wiedzieć o co chodzi.

— Właśnie dlatego przyniosłem panu mały plan. — Wyjął memorandum i rozłożył je przed Bordgrisem. — Na pierwszy rzut oka może wydawać się idiotyczne, ale proszę się nie śmiać. To naprawdę fenomenalne przedsięwzięcie, które dogłębnie przestudiowałem. Rafineria ropy naftowej pod Paryżem.

— Stracił pan głowę? Sądzi pan, że ci na górze pozwolą panu na to?

— Nie, ale oni to kupią, żebyśmy się rozwinęli. Chodzi tylko o to, aby ruszyć z miejsca. Zresztą to całkiem proste. Odpowiedź mi pan w poniedziałek. Niech pan to rozważy... Proszę wziąć, przyjrzeć się.

Obszedł dookoła biurko i stanął koło Bordgrisa. Lewą ręką podkreślał niektóre fragmenty maszynopisu. Bordgris, aby lepiej widzieć tekst, włożył okulary. Julien wyjaśniał gorączkowo:

— Każdy mógł o tym pomyśleć, ale na szczęście pomysł jest nowy. Niech pan pomyśli o oszczędnościach na transporcie. Jeżeli to pana interesuje, to na początek potrzebujemy dziesięć milionów.

— Ma je pan? — spytał Bordgris nie podnosząc oczu znad papierów.

— Mam połowę. Sądzę, że dostarczy pan drugą. Nie musi pan nawet pokazywać dowodu wpłaty czy czeku. To również pana wkład. Co do mnie, to dysponuję czekiem mojego szwagra, który w tym momencie staje się nieświadomie moim współnikiem. Nieźle, co?

— Nie jest pan aż tak głupi, Courtois.

W tonie jego głosu słychać było respekt. Courtois nawet nie zareagował.

W korytarzu nagle wybuchł śmiech i usłyszeli tupot stóp: były to maszynistki.

Bordgris wymamrotał:

— Szósta, za każdym razem ten sam cyrk. Nie sposób tu spokojnie pracować...

Powrócił do lektury memorandum.

Harmider na korytarzu spotęgował się jeszcze. Urzędniczki, które nie mogły zjechać windą, zbiegały po schodach stukając

głośno obcasami. Bordgris chwycił co chwila za swój zepsuty ząb, po czym wycierał chusteczką dłoń.

Julien podniósł wzrok. Był zniecierpliwiony czekając na decyzję, która się opóźniała.

— Gdzie to jest? Za bramą Saint-Ouen? — zaniepokoił się Bordgris.

— Tak, dokładnie za cmentarzem. Najpierw musimy nabyć prawa do ziemi, a następnie powiadomimy prasę...

Ciężko dyszał. Jego prawa ręka prześlizgiwała się przez szczelinę nie domkniętego sejfu. Palce zacisnęły się wokół kolby rewolweru.

— ...że wzniesiemy rafinerię dzięki poparciu kapitału zagranicznego. Potem wystarczy już tylko czekać...

Żył na jego szyi nabrzmiały. Gdzieś poniżej pojawił się nagle ogłuszający stukot. Bordgris uderzył pięścią w stół.

— I jeszcze te maszynopisarki!

Julienowi chciało się płakać. Wrzasnął:

— Teren jest na szlaku Autostrady Narodowej i tysiąc sześćset metrów od cmentarza...

Trzymał broń przyciśniętą do uda.

— Co pan mówi? — Bordgris usiłował przekrzyczeć zgiełk. — Niech pan zaczeka. Nic nie słyhać przez tych imbecyli. Niech najpierw przejdą...

Z chwilą, gdy fala maszynistek napełniła piętro hałasem przebiegającego stada, Courtois automatycznie, jak lunatyk, uczynił ten ruch, który powtarzał chyba sto razy. Przyłożył lufę rewolweru do skroni lichwiarza i natychmiast nacisnął spust. Huk wystrzału utonął w panującej wrzawie. Bordgris upadł ciężko do przodu. Z rany tryskała krew. Julien odskoczył w bok, żeby nie poplamić ubrania. Hałas dobiegający z korytarza powoli zanikał. Nastąpiła zupełna cisza.

Julien, sparaliżowany, nie ruszał się z miejsca. Jeszcze nie trafiło do niego to, co się wydarzyło. Po policzku spłynęła łza, ale nawet tego nie dostrzegł. Rewolwer wysunął mu się z dłoni i upadł na dywan. Julien próbował krzyknąć, ale nie mógł. Strużka krwi płynęła wzdłuż biurka, a następnie po podłodze i już dosięgała broni.

Courtois wpatrywał się ogłupiały w tę bezlitosną walkę z cza-



sem, ale nie mógł się poruszyć. Wiedział, że jeśli krew dojdzie do rewolweru, nigdy nie uda mu się zatrzeć po sobie śladów bez pozostawienia nowych, a te zniweczyłyby wersję samobójstwa.

Zmusił się wreszcie do nadludzkiego wysiłku, by otrząsnąć się z letargu. Po wciągnięciu rękawiczek szybko podniósł broń. Długo czyścił kolbę, lufę, cyngiel, próbując nie patrzeć na zmarłego. Odwrócił go potem na plecy, żeby wytrzeć chustką blat biurka. Wziął plik papierów i schował je do kieszeni. Pomagając sobie łokciem odepchnął ciężkie drzwi sejfu, które zamknęły się z trzaskiem. Przewyciężając nadchodzące mdłości poprowadził rękę Bordgrisa i odcisnął jego ciepłe jeszcze palce na kolbie i spuście broni. Potem położył rewolwer na dywanie. Po chwili krew go zabrudziła.

Wyterł dokładnie wszystkie miejsca, które mógł dotknąć ręką wchodząc do pomieszczenia, klamkę u drzwi, brzeg biurka.

Włożył do kieszeni czek i projekt wymyślonej rafinerii pod Paryżem. Wzrokiem omijał Bordgrisa, który musiał w tym momencie wyglądać okropnie. Trup miał jednak jakąś siłę przyciągania, której Julien nie mógł się oprzeć. Zaledwie ujrzał twarz zbroszoną krwią, zemdlał.

### 3.

Denise pomalowała pomadką usta, przycisnęła górną wargę do dolnej chcąc równo rozprowadzić szminkę i sprawdziła ogólny efekt. Jedna rzęsa, cała w tuszu, przylepiła się do powieki. Pochyliła się nieco do przodu i delikatnym ruchem wytarła ją.

Szósta siedemnaście. Rozmarzona spojrzała na interkom: czy powinna zaryzykować wyskok? E, nie ma co. Szef był niezwykle drobiazgowy wobec wszystkiego, co było związane z punktualnością. Regulował wszystkie zegarki prawie co do sekundy. Niemożliwością było go oszukać. Nie przepuściłby z pewnością okazji, żeby uszczypliwie zwrócić jej uwagę, iż wyszła o trzy minuty za wcześnie.

Chwyciła płaszcz i obejrzała go przed włożeniem na siebie. Nie był rewelacyjny, powinna kupić sobie lepszy. Gdyby tylko Courtois zgodził się na podwyżkę, o którą upominała się już od dawna, z pewnością kupiłaby sobie nowy. Ruchem głowy wyraziła swoje znużenie. Zawsze, kiedy poruszała ten temat, Julien Courtois wyglądał na kogoś zaszokowanego i mówił tonem wyrażającym dominację: — Teraz? Ależ, biedna Denise, niech pani o tym nie myśli. Sprawy idą beznadziejnie, a moja kasa jest pusta...

Ale on nie ograniczał swoich wydatków. Jego kasa nie była pusta, gdy chodziło o zmianę samochodu, zamówienie pięciu garniturów na raz, wysłanie żonie kosza kwiatów czy spędzenie czasu ze swą ostatnio zdobytą kobietą.

— Ale ja chcę nowy płaszcz — popłakiwała śmiesznie, tupiąc nogami.

Można by powiedzieć, że to jej zachowanie spowodowało dzwonek telefonu. Niezadowolona podeszła i podniosła słuchawkę.

— EXIM, Przedsiębiorstwo Eksportowe... słucham? Pani Courtois? Oczywiście, jest tutaj...

Była dopiero dziewiętnaście po, ale postanowiła połączyć rozmowę. Takie szykanowanie, nawet przez chwilę, było dla niej jak balsam na zranione serce, jak mała zemsta. Wcisnęła guzik centralki. Dzwonek odezwał się w biurze Juliena. Trzymała cały czas palec na guziku, a nawet nacisnęła mocniej, jakby przez to dzwonek mógł głośniej zabrzączeć. Ciągle bez odpowiedzi. Zaczęła się denerwować. Dalej, gnojku! Minęła już chyba minuta, jak nie odpowiadał. Miała mu to za złe, ale nie mogła powstrzymać się od podziwu dla takiego uporu. Właściwie często myli się wytrwałość z uporem. Ach! W sumie... Nie...

— Proszę nie odkładać słuchawki, pani Courtois. Z pewnością tam jest. Nie widziałam, żeby wychodził, a nie ruszałam się z miejsca. Na pewno myje ręce. Proszę...

Cholera! Minęła już szósta dwadzieścia, a Courtois wciąż nie odbiera.

— Halo?! Panie Courtois?! Jest dwadzieścia po szóstej. Pani Courtois na pierwszej linii...

— Dziękuję, Denise.

Rozmarzona, z głową w obłokach, Denise rozsiadła się wygodnie. Jak on to powiedział? Mówił takim głosem, jakby był wykonczony. W dalszym ciągu była zbulwersowana. On jest z tych facetów, którym się wszystko wybacza. A im więcej im się wybacza, tym bardziej to wykorzystują. Dokładnie ten sam typ co Paul. Mój Boże, Paul z pewnością już się niepokoi czekając przy Operze. Ale co mam zrobić, by się stąd wymknąć?

Tymczasem rozmowa małżonków przedłużała się.

Promień światła prześwitywał pod drzwiami. Tym lepiej — pomyślała. — Dopiero je zapalił.

Zdobyła się na odwagę i zapukała, lekko uchylając drzwi do pokoju szefa. Wcisnięty w biurko, blady i ciężko dysząc niezwykle słodko rozmawiał z żoną. Mówił cicho, z zamkniętymi oczami. Zupełnie jak rekonwalescent, który wstaje po przebyciu ciężkiej choroby. Jego twarz wyrażająca olbrzymie zmęczenie poddana była ostremu światłu lampy. Nic, nawet padające na jego twarz ostre światło, nie było w stanie wyprowadzić go ze stanu otępienia. Powtarzał wciąż te same słowa:

— Kochanie... Gdybyś wiedziała, kochanie...

Denise poczuła się nieswojo. Miała wrażenie, jakby zaskoczyła go nagiego w kąpielni, bezbronnego. Słuchał żony spokojnie, nawet z odrobiną czułości. Denise czuła się coraz bardziej skrępowana. Po raz wtóry zapukała palcem w otwarte już drzwi.

Julien podniósł równocześnie oczy i uśmiechnął się do niej. Zakłopotana wzruszyła pytająco ramionami — czy może już sobie pójść? Pokiwał potakująco głową.

— Do poniedziałku — powiedziała nieśmiało.

Zakrywając mikrofon odpowiedział jej (końcem warg jakby):

— Właśnie. Miłej niedzieli, Denise.

Julien powiedział to w taki sposób, że tknęło ją to bardziej niż gdyby krzyknął.

Wyjąkała tylko:

— Dziękuję, nawzajem.

— Och, ja...

Rysy twarzy Juliena uległy odprężeniu, zniknęły zmarszczki z jego czoła.

— Ja będę spał jak kłoda przez cały dzień...

Powrócił do rozmowy z żoną.

— Chwileczkę, kochanie, właśnie zegniam Denise, która już sobie idzie. Tak, pracowaliśmy aż do teraz, ale już kończymy.

Denise otworzyła drzwi i oddaliła się.

Bez przerywania rozmowy Julien położył się na plecach. Czuł się przygnębiony, serce miał przepełnione miłością. Kochał Genevieve. Ona nie zdawała sobie, i to nie bez przyczyny, z tego sprawy. Ale co za różnica? On zresztą również nie zawsze zdawał sobie sprawę. Tyle, że w jego przypadku było to mniej poważne. Wiedział z góry, że wracając do swojej żony będzie bardziej czuły niż przedtem.

— Tak, skończyłem na dziś, kochanie... Wreszcie!... Jakby ci to powiedzieć? Niebezpieczna i bardzo przykra sprawa. Ryzykowałem wiele, nawet bardzo... Ale wszystko jest już w porządku. Oczywiście, że się ośmieliłem. Myślałem o tobie, kochanie. No i o tym, że jestem stracony, że stoję nad przepaścią... Dla ciebie zrobiłbym rzeczy... — Jego głos załamywał się z emocji. Doznał nagłej potrzeby bycia z nią. — Nie, kochanie, nie jestem wcale odważny, ale trzeba było zdecydować się na ten czyn... Dla na-

szego spokoju. Udało się w stu procentach... Ach! Wiesz, te przygotowania... Jestem z siebie dosyć zadowolony.

Rósł prawie. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane. To COŚ, czego dokonał, czyniło go dumnym i wielkim. To ta wewnętrzna wielkość, z której człowiek najłatwiej zdaje sobie sprawę. Ta pobłażliwość dla siebie samego skłoniła go do większego otwarcia się dla tej, której potrzebował.

— Teraz będę już spokojniejszy i wreszcie będę miał czas, żeby ci okazać moją miłość.

Dygotała, omdlewała ze szczęścia będąc w kabinie telefonicznej restauracji, z której dzwoniła, oddychała głęboko, byle tylko nie zacząć płakać.

— Tak, ale przed chwilą... Przed chwilą nie chciałeś mi tego powiedzieć ani razu. Wściekłeś się.

— Przed chwilą — bronił się mówiąc słodkim głosem — pisałem list. Właśnie w tej sprawie. Ty mi przerwałeś i nie mogłem odnaleźć wątku. Ale teraz to co innego.

— A więc to prawda? Kochasz mnie jednak?

— Szaleję za tobą.

— Mój kochany, mój kochany, tak mi przykro, że nie mogę znaleźć właściwych słów, by ci to powiedzieć, Julien. Gdy jesteś miły i kiedy mówisz takim głosem, tracę głowę...

— Kochana...

— Słucham?

— Powiedziałem: kochana.

— Julien, wracaj szybko.

— Daj mi dziesięć minut, najdroższa. Obiecuję, że za dziesięć minut wyjdę i zaraz będę u ciebie. Mam jeszcze tylko kilka papierów do uporządkowania — uśmiechnął się do siebie przeglądając umowy, książeczkę czekową i projekt, który właśnie wyjął z kieszeni i rzucił na biurko. — Mam pomysł. Nie wiesz, co będziemy robić? Przygotuj się. Skoczmy na wieś, chcesz?

Zaniepokoiła się.

— Teraz? Zaraz?

Już właściwie rozluźniony zaczął śmiać się na głos.

— Dziesięć minut, nie więcej, przysięgam.

— Kochanie, właśnie się zastanawiam. W południe mówiłeś, że

nie masz ani grosza. Masz co trzeba, czy chcesz, żebym poprosiła Georgesę?

— Ależ nie, zostaw swojego brata w spokoju. Już i tak jest zanadto chętny do mieszania się w nasze sprawy. Nie martw się o pieniądze, jeszcze raz ci powtarzam, że wszystko jest inaczej.

— Czy to dzięki temu cudownemu interesowi?

— Cudowny. Dokładnie. Więc do zobaczenia za chwilę?

Zrobiła szybki rachunek pamięciowy.

— Dziesięć minut? Nie więcej i nie mniej?

— Przysięgam. Jeżeli kłamię, pójdę do piekła.

— Zgoda. Więc ja też przygotuję ci niespodziankę.

Genevieve spiesznie opuściła restaurację i wzrokiem próbowała znaleźć taksówkę.

Postój był pusty. Zdecydowała się więc pójść pieszo i szybkim krokiem ruszyła w kierunku centrum.

\* \* \*

Julien siedział wciąż nieruchomo, wyczerpany, z ręką na słuchawce telefonu. W końcu otrząsnął się i westchnął głęboko. Wstał i przeciągnął się z ulgą. Koniec. A więc to była prawda. Śmierć Bordgrisa kładła kres temu nie kończącemu się koszmarowi. Żeby rozwiązać myśl o tej okropnej twarzy, o łysej głowie ze szklistymi oczami, powrócił do wertowania papierów i spojrzał na nie z niedowierzaniem. Nagle wybuchnął zdrowym śmiechem — Koniec! — krzyknął. — Już się nie boję.

Nagle powstrzymał się. A jeżeli Denise była jeszcze obok? Jednym susem znalazł się przy drzwiach i pociągnął je, wyrwijac niemał z zawiasów. Ale znów się uśmiechnął widząc, że w sąsiednim pokoju nikogo nie ma.

Do roboty. Gorączkowo strzepał resztki gipsu i kurzu ze swojego garnituru, zbierając w całość wydarzenia, kiedy oprzytomniał — obok trupa. Wzdrygnął się na samą myśl, a następnie wpadł w zachwyty nad samym sobą. Skąd wziął aż tyle odwagi, by uciec z małego, nędznego biura lichwiarza? Na szczęście w korytarzu nie było żywej duszy. A jego rękawiczki? Pamiętał dobrze, jak je wyjął i wciągnął na ręce. Nie mógł pozostawić żadnego śladu. W pokoju, gdzie rozpoczęto malowanie, pomieszał ślady

butów w taki sposób, że nawet sam diabeł nie byłby w stanie powiedzieć, które należą do niego. Niech Bóg błogosławi malarzy, którzy mają teraz wolną sobotę. Ale najcięższy był ten nie kończący się powrót, gdy przyczepiony do muru, stał nad przepaścią, w dodatku to dzwonienie powodujące pękanie bębenków w uszach. Bał się, że nie zdąży na czas, że Denise zniecierpliwi się w końcu i nie bacząc na polecenie przyjdzie zobaczyć, dlaczego nie odbiera...

Obejrzał się w lustrze małej umywalni. Jego garnitur był czysty. Teraz chodziło już tylko o to, by działać metodycznie. Przede wszystkim rękawiczki. Chwycił je nożyczkami, które były w biurku, i spalił nad popielniczką. Podeszedł do okna i pozostały po nich popiół zdmuchnął na zewnątrz. Nie zostało z nich zupełnie nic. Zamknął okno. Ciche, dyskretne pukanie do drzwi zamieniło go w słup soli. Myśli znalazły się w rozsypce, serce podeszło mu do gardła. To mógł być tylko Bordgris, który przyszedł się z nim policzyć! Zapukano raz jeszcze.

— Wejść.

To był Albert. Dozorca budynku.

— Proszę wybaczyć, panie Courtois. Chciałem się tylko upewnić, czy pan tu jeszcze jest. Wszyscy już wyszli, prawda? Przyszedłem sprawdzić...

— Ja także już wychodzę, Albercie.

Podeszedł do portiera i położył mu rękę na ramieniu.

— Właśnie skończyłem.

Albert pomógł mu włożyć marynarkę.

— Czy rozumie pan, co to znaczy, Albercie, gdy po całym tygodniu pracy jest się wolnym, można zostawić wszystko i wyjechać na weekend? Czy pan również doświadcza tej radości?

— Wie pan, moja praca to nie to samo. Jestem zadowolony, nie mogę powiedzieć, że nie, tylko gdy jest się cały dzień na nogach... — Będąc już przy drzwiach Julien przypomniał sobie o umowach. — Niech pan już idzie, zaraz pana dogonię...

Wrócił do biura. Odsunął szufladę. Na jej dnie spoczywał spokojnie rewolwer. Włożył go do kieszeni.

— Zabiera pan broń, panie Courtois? — zdziwił się portier.

— Co? — odwrócił się zdziwiony, jakby przyłapano go w czasie morderstwa Bordgrisa. — Tak, tak, jedziemy na wieś, więc...

Nie wiadomo, czy przypadkiem nie będziemy potrzebowali tej zabawki. W dzisiejszych czasach...

Uważając, by dozorca nie zauważył, zagarnął papiery i włożywszy je do kieszeni wyszedł.

Albert jeszcze raz ukłonił się z godnością.

Julien, uspokojony, pogwizdywał radośnie.

— Jest pan bardzo wesoły — zauważył dozorca. — Czy to za sprawą niedzieli?

— Prawdopodobnie. Widzi pan, spędzam weekend z najbardziej czarującą z kobiet.

Dozorca zrobił dziwną minę ściągając windę, ale nic nie powiedział.

Wszyscy wiedzieli, że Courtois był kobieciarzem. Julienu bawiło odgadywanie myśli dozorca. Nigdy, ale to nigdy nie pomyśli, że mówię o mojej żonie — stwierdził w duchu.

Drzwi windy zamknęły się automatycznie. Albert wcisnął guzik parteru i kabina poruszyła się bezszelestnie.

— Boję się tych wind otoczonych ścianą — skarżył się Julien. — Czuję się w nich jak w studni. Wolałem jednak stary system. Przy tamtym widziało się piętra, schody... Tutaj człowiek się dusi.

— Cóż, nowoczesność, panie Courtois. Zresztą podróż taką windą nie jest długa.

Już byli na miejscu. Wyszli z hallu.

— Miłego wieczoru, panie Courtois. Udanej niedzieli.

— Zamyka pan już?

— Tak, proszę pana. Pan jest ostatni. Będzie zamknięte aż do poniedziałku.

— Więc życzę panu także miłej niedzieli, Albercie.

— Dziękuję panu.

Zasalutował do czapki, a Julien będąc na progu odetchnął głęboko świeżym powietrzem. Życie było piękne. Żadnych wyrzutów sumienia.

Jego samochód — czerwona fregata — stał zaparkowany wzdłuż chodnika. Otwierając drzwi samochodu zauważył jeszcze Alberta, który dał mu znak salutując jeszcze raz energicznie. Julien odpowiedział takim samym gestem i zniknął w aucie.

Starter. Kilka lekkich ruchów rozrusznikiem bez naciskania



gazu, żeby rozruszać zimny silnik. Później już tylko mały ruch kluczykiem i gotowe. Niby nic, ale rzecz niezbędna: mały obrót klucza o 45 stopni. Niech się chwilę rozgrzeje. Jak bardzo by chciał już teraz uszczęśliwić Genevieve. Już nie pozwoli, by cierpiała przez niego. Już nigdy. Za bardzo bał się ją utracić. Nowe życie, nową miłość, oto co by jej zaproponował mając ją tu w swych ramionach. Szepnąłby jej słodko do ucha: widzisz, kochanie, zrozumiałem dzisiaj wiele rzeczy. Żeby Opatrzność dalej tak nade mną czuwała trzeba, abym był godzien dania ci szczęścia.

Czubkiem buta przegazował silnik. Wciąż był zimny. Nagle zobaczył siebie naprzeciw inspektora prowadzącego śledztwo i wypytującego mieszkańców budynku. Bordgris? Bordgris? Nie mam pojęcia... Ach tak. Chwileczkę. Czy to nie był ten niski, łysawy mężczyzna, dość gruby i niezbyt sympatyczny? Nieciekawy typ, tak między nami. Spotykałem go czasem na schodach, dzień dobry, jak leci — to było wszystko. Ktoś mówił, że to lichwiarz, nie pamiętam kto. Nie, nie miałem z nim nic wspólnego. Chyba nawet nie znał mojego nazwiska... Rachunki? Niech mnie pan nie rozśmiesza, panie inspektorze, tacy ludzie nie prowadzą rachunkowości. Z drugiej strony, bardzo proszę, niech pan przejrzy wszystkie moje księgi i bloczki czekowe. Nie znajdzie pan tam żadnego, nawet najmniejszego śladu Bordgrisa...

Jak gdyby w celu upewnienia się co do tej sprawy, wyjął z kieszeni kompromitujące dokumenty i zbladł — przez pomyłkę zabrał swoją pocztę!

— Psiakrew! Kontrakty, czeki, memorandum?!

Czy je spalił? Nie. Przypomniawszy sobie popiół z rękawiczek rozdmuchany na cztery wiatry. Wtedy wszedł Albert.

Widział siebie, jak zagarnia dokumenty, ale wtedy dozorca zapytał głupio o rewolwer.

Zaklął przerażony. Umowy, czek i memorandum musiały zostać na wierzchu, na jego biurku! Trudno, nie trzeba szaleć. Jeszcze nie straconego.

Silnik warczał lekko dając uczucie wygody i rozleniwienia. Nie odczuwał najmniejszej chęci wyjścia na zewnątrz. A właśnie... Jego rewolwer... Tak... Jest... Wyjął go z kieszeni i włożył do

schowka na rękawiczki w samochodzie. Już o tym nie myśląc nacisnął pedał sprzęgła i wrzucił jedynkę.

Mógłby ewentualnie przyjechać w poniedziałek rano przed Denise i zniszczyć kompromitujące dokumenty. Ale jego stopa nie nacisnęła na pedał gazu.

A sprzątaczkę? Sprzątaczkę nie czytają. A gdyby tym razem, wyjątkowo, przeczytały? Czyż nie na ziarenkach piachu, nie większych niż to, na błahych zaniedbaniach jak to właśnie, walą się przestępstwa zwane doskonałymi?

Spokojnie wrzucił dźwignię skrzyni biegów na luz i wysiadł z samochodu. Portiera już w hallu nie było. Nigdy nie ma go na swoim miejscu. Trzeba będzie prześlizgnąć się przed nim. Na szczęście winda jest szybka.

Wszedł do kabiny windy i wcisnął guzik oznaczony dwunastką. Winda ruszyła drgnąwszy delikatnie.

W tej samej chwili portier dwa poziomy pod ziemią podszedł do pulpitu sterowania urządzeniami elektrycznymi budynku. Zsunął czapkę do tyłu i podrapał się po głowie ziewając głęboko. Mając świadomość skończonego dnia, tego, że został jako ostatni, że jego tydzień dobiegł do końca, jednym ruchem ręki przesunął w dół dźwignię bezpieczeństwa odcinając prąd.

Winda stanęła gwałtownie pomiędzy dziesiątym i jedenastym piętrem.

## 4.

Szok był tak gwałtowny, że Julien znalazł się na podłodze windy, w mroku. Kolanem uderzył o stalową ściankę, a ból nie pozwalał mu oddychać. Podniósł się z wyrazem cierpienia na twarzy i opierając plecy o kabinę masował nogę.

— Albert! — krzyknął.

Gdy nic nie usłyszał, zaczął szukać po omacku tablicy sterowniczej i nacisnął pierwszy lepszy przycisk. Potem drugi, trzeci... Nic!

Zapaliwszy zapalniczkę znalazł przycisk „portier”, nacisnął. Nadstawił uszu usiłując wychwycić gdzieś w oddali dźwięk dzwonka. Nic!

Nagle opanowała go wściekłość, kopnął w kabinę, co tylko rozjątrzyło ból w kolanie. Nie mogąc się opanować, zaczął krzyczeć:

— Albert! Niech pan odpowie, na miłość boską! Albert!

Zapalniczka zgasła i Julien poczuł się nagle uwięziony w tej bezkształtnej nocy. Budynek pogrążony był w cichym niebycie przerywanym od czasu do czasu odgłosami z ulicy.

Życie istniało. Tuż obok. Wystarczyło wyjść z tej absurdalnej klatki. Zagryzając wargi i zaciskając pięści powstrzymywał się, aby nie oszaleć z niepokoju...

Genevieve szła szybko, prawie biegła od dobrych dziesięciu minut. Musiała zwolnić z powodu kolki. Była rozradowana, oczywiście wyobraźni widziała powrót Julienu. Cieszyła się, że go zaskoczy... A jeśli go nie zastanie? Myśl, że niespodzianka mogłaby

się nie udać sprawiła, że łzy napłynęły jej do oczu. Przyspieszyła kroku. Jeśli mnie kocha, instynkt podpowie mu, aby na mnie zaczekał. Jeśli odszedł, moje życie jest stracone...

Serce na moment odmówiło jej posłuszeństwa. Nie opuszczaj mnie, Julien! Jej serce, które bolało ją zawsze, gdy myślała o Julienie lub gdy musiała przedsięwziąć wysiłek fizyczny. Zatrzymała się naprzeciw wystaw. Sklep sportowy. Nawet nie spostrzegła młodej pary ubranej według ostatniej mody Saint-Germain-des Pres. Kontemplowali wystawę z najwyraźniej rozczarowanym wyrazem twarzy. Chłopak zmierzył ją krytycznym spojrzeniem: śmieszna kobiecina... Ubrana bez gustu... Szalona!

Genevieve oddaliła się. Chłopak zwrócił się do swojej towarzyszki:

— A więc idziesz czy nie, Theresa?

Hołdował modzie angielskich imion, ale wymawiał jasno: Siriza. Jej dokładnie uczesane włosy spadały na kark. Pulower ze zrolowanym kołnierzem opinał jego chudy tors. Nie nosił palta, szara marynarka o lekko krzywych ramionach unosiła się na jego wąskich biodrach. Ręce trzymał w kieszeniach czarnych spodni uwydatniających kształt jego łydki.

Dziewczyna odpowiedziała:

— Idę, Fred.

Nadal jednak tkwiła przed wystawą oglądając kurtki. Ze swymi prostymi włosami kładącymi się na ramionach, z małymi pierściami, których zarys widoczny był pod grubym, wełnianym swetrem i w prostej spódnicy Theresa była jednocześnie krucha i prowokująca. To było właśnie to, co podobało się Fredowi.

Wreszcie go dogoniła. Szli jedno obok drugiego nie trzymając się jednak za ręce.

Przed wystawą księgarni Fred wzruszył pogardliwie ramionami:

— Zdajesz sobie sprawę? Istnieją jeszcze głupcy, którzy piszą książki.

— Czy to źle? — zaniepokoiła się Theresa.

Fred wypiął swój tors.

— To nie o to chodzi. Do czego to służy? Właśnie o to trzeba pytać. Piszesz jedną książkę, drugą, piątą, dziesiątą, setną... Nigdy nie zdążysz napisać ich wszystkich... A więc?

Ze spuszczoną głową słuchała jego słów. Zainteresowane spoj-

Wzrok Freda zatrzymało się na kobiecie, która przed chwilą stała tuż obok nich, a teraz przetrząsała swoją torebkę. Po chwili wyjęła z niej mały flakonik, a z niego tabletkę, którą natychmiast połknęła. To mnie nie dziwi — pomyślał — szprycuje się...

Minęli ją. Ale Genevieve nie brała narkotyków. Były to po prostu pigułki na serce. Pigułki zupełnie zresztą nieszkodliwe, niemalże wyblągane od lekarza.

Poczuła się lepiej.

Budynek *Uma-Standard* był już widoczny. Zaczęła znów iść. Jeszcze kilka sekund i będzie na miejscu. Ale dlaczego właściwie Julien nie miałby się spóźnić? Nie dlatego oczywiście, aby kazać na siebie czekać. Po prostu on nigdy się nie spieszył, gdy miał z nią spotkanie. Jego żona nie liczyła się.

Tymczasem Fred i Theresa minęli róg ulicy. Grupa ochotników z Armii Zbawienia zatarasowała chodnik. Dwie kobiety w żołnierskich czapkach spadających im na oczy śpiewały hymn natchnionym głosem. Można było zobaczyć ich poruszające się wargi, lecz nie było słychać śpiewu. Trzecia z kobiet, pochylona do przodu, grubym kawałkiem kredy pisała coś na chodniku. Spódnica jej unosiła się ukazując podwiązki. Fred zaśmiał się szturchając Theresę łokciem. Ona również spostrzegła to, ale trywialność gestu zaszokowała ją. Nie chciała pokazać po sobie, że ta uwaga nie przypadła jej do gustu, Fred jednak zauważył to. Na jego twarzy pojawił się pogardliwy grymas.

— Ach... tak... Są rzeczy święte, mówisz? Czasami zadaję sobie pytanie, czy kiedykolwiek uda mi się pozbawić cię tych mieszczańskich cech!

Theresa wolala zmienić temat. Zwróciła uwagę Freda na mały plakat wiszący przy wejściu do kawiarni. Przedstawiał on kobietę stojącą w deszczu pieniędzy, napis poniżej głosił: *Kupcie los Loterii Narodowej!*

Zapytała Freda:

— Kim jest ta kobieta?

— Danae — odpowiedział z wyrazem najwyższego znudzenia.

— Danae? Co to znaczy?

Fred uważnie przyjrzał się plakatowi.

— Jeszcze jeden powód, żeby się pocałować.

Minęli kawiarnię. Fred przystanął przed czerwoną fregatą, miała uchylone drzwi i nie wyłączony silnik.

— Ten tutaj zasługuje na dobrą lekcję. Włącza silnik i spieprza. Panie i panowie! Jest samochód do wzięcia, wystarczy podejść i się obsłużyć! — Dorzucił żartobliwie: — Jedziemy?

Theresa wzdrygnęła się, natychmiast jednak pożałowała tego odruchu. Wzrok Freda znieruchomiał. Dobrze знаła ten symptom. Dotknięty do żywego, chciał udowodnić, że nic go nie przeraża.

— Sądzisz więc, że nie jestem do tego zdolny?

— Ależ tak — odpowiedziała szybko — tylko... ukradniesz jeden samochód, ukradniesz drugi... Nigdy nie zdołasz ukraść wszystkich!

Zaśmiał się szyderczo, wykrzywiając twarz.

— Nie mówisz często, ale jak się już zdecydujesz, to gadasz od rzeczy.

— Właściciel z pewnością poszedł po papierosy do kawiarni.

Spojrzał. Wnętrze kawiarni było puste.

— Wsiadaj — zdecydował.

Nie wahając się dłużej usiadł za kierownicą, aby postawić siebie samego przed faktem dokonanym.

Genevieve wyszła z za rogu ulicy. Jeden z przechodniów pozdrowił ją. Odpowiedziała machinalnie nie rozpoznając go od razu. Właśnie zobaczyła czerwoną fregatę stojącą nieopodal i od razu poczuła się lepiej. Życie wydawało się jej cudowne: Julien czekał na nią! Oczywiście! Mężczyzna, który się jej ukłonił to był Albert, portier. Trzeba było się śpieszyć, samochód miał zapalony silnik i najwyraźniej szykował się do odjazdu. W tylnej szybie ujrzała kark swego męża.

— Julien...

Wstydziła się krzyczeć stojąc na środku ulicy, więc zaczęła biec. Nagle zatrzymała się... Ta młoda dziewczyna przy fregacie... Czy to nie jest ta sama, którą widziała przed chwilą przed sklepem sportowym? Co ona robi? Obchodzi samochód, otwiera drzwi i... wsiadła! Wsiadła tak swobodnie, jakby tylko to robiła w życiu. Tak, to była ona...

Więc Julien miał kochankę! Coś się w niej rozdarło, zabolalo... I to nie mogła być Denise, to nie mogła być jego sekretarka. Ta obca dziewczyna była zbyt ładna. Była bardzo młoda!

Stała w miejscu jak sparaliżowana, jednak pragnienie zemsty kazało jej ruszyć się z miejsca. Wyrwie oczy tej bezwstydnej lafi-ryndzie, ona...

Jednak fregata właśnie ruszyła z miejsca. Samochód skręcił w pierwszą ulicę i znikł.

Genevieve krzyknęła przeraźliwie. Przechodząca obok kobieta przyjrzała się jej uważnie. Ludzie zebrali się wokół. Ktoś zapytał:

— Czy dobrze się pani czuje?

Genevieve oddychała szybko przygryzając wargi, w jej oczach błyskało coś złego.

— Nie... Nie... Wszystko w porządku, dziękuję. To tylko serce, ale już mi przeszło. Już lepiej... To naprawdę nic, dziękuję. Nadal jednak stała w miejscu, czekała, aby odeszli ci ludzie, którzy byli świadkami jej słabości. Gapie niechętnie rozchodzili się, jakby mieli nadzieję, że przedstawienie się jeszcze nie skończyło, że zdążą zobaczyć tę kobietę leżącą na chodniku.

Genevieve starała się opanować gniew. Gdy została wreszcie sama, nie powstrzymując się już dłużej, ruszyła ku drzwiom budynku.

Dziesięć i pół piętra wyżej Julien, w tym samym niemal momencie co Genevieve, rzucił się ku metalowym drzwiom swego „więzienia”. Jedynym uczuciem, jakiego doznawał, była wściekłość. Musiał za wszelką cenę wyjść z tego pomieszczenia, z tej straszliwej pułapki. Ktoś mógł przecież wejść do jego biura i odkryć dowody jego zbrodni! Każdy mógł go znaleźć w tych murach, które kryły trupa! A Genevieve? Ona, która musiała się niepokoić, myśleć Bóg wie co!

Krzyknął: — Albert! Albert! Niech pan' otworzy, na miłość boską!

Wstrzymał oddech, aby nie zagłuszyć odpowiedzi. Nic. Przeraźliwa cisza. Być może, ale nie był tego pewien, usłyszał gdzieś w głębi głuche uderzenia... przejeżdżający samochód... daleko... daleko...

Strażnik zbliżył się do Genevieve odrzucając w tył połę swej peleryny.

— Co pani robi? Nie widzi pani, że zamknięte?

Miał ochotę wyprowadzić tę kobietę. Te dobrze ubrane myszki zawsze robią skandal. Spuściła głowę, czerwona ze wstydu.

— Coś nie w porządku? — spytał.

— Nie... Nie...

— Więc co pani tu robi?

— Mój mąż! — wyrzuciła z siebie, nie mogąc dłużej się powstrzymać.

— Co pani mąż? On jest wewnątrz?

— Nie, właśnie odjechał...

— Więc nie ma żadnego powodu, abym panią wpuścił. Proszę stąd wyjść.

Była posłuszna. Tak naprawdę bowiem jej gniew nie był niczym innym jak tylko reakcją obronną, przecież to ją bolało... Julien jej nie kochał. Teraz już miała na to dowód.

Taksówka...

— Ulica Varenne 32 — rzuciła taksówkarzowi.

Siedząc w samochodzie nie mogła jednak płakać.

\* \* \*

Wzdłuż Sekwany, drogą do Marly, mknęła czerwona fregata.



## 5.

Padał drobny deszcz. Fred zachowywał się jak dzieciak, wyobrażał sobie, że uczestniczy w mistrzostwach świata, pochylony do przodu, przyklejony niemal do kierownicy, prowadził z przymkniętymi powiekami. Theresę dręczyła ciekawość: jak nazywał się facet, któremu właśnie ukradli samochód? Podniosła ramię, aby zapalić światełko tuż nad nią. Przeczytała głośno imię i nazwisko z tabliczki: *Julien Courtois*.

— Co to takiego? — krzyknął Fred.

— Nazwisko właściciela.

— I co? Chcesz, żebym się tym przejął?

Milczała. Trudno było dyskutować z Fredem, który był bardziej inteligentny i wykształcony niż ona.

— Julien Courtois! Prawdopodobnie facet z rodzaju tatuśków. Gruba ryba. Dobry ojczulek z forszą. Futro w zimie. Akcje na prawo i lewo. Słowem — wszystko co trzeba, aby pogardzać biedakami, którzy zarabiają na życie pracą fizyczną. Na pewno katuje swoich pracowników. To go nauczy rozumu...

W pewnym momencie sam już nie wiedział, czy zniesławia własnego ojca, czy nieznanego.

— Do licha! I jeszcze ten deszcz akurat teraz, gdy jedziemy na wieś, żeby odpocząć!

Włączył wycieraczki, przednia szyba była zabłocona. Trudno było cokolwiek przez nią zobaczyć.

— Brawo! — wrzasnął nagle z ironią. — W tym wozie nic nie działa prawidłowo, niechlujstwo mieszczańskie! Możemy się rozbić tylko dlatego, że ten frajer jest zbyt skąpy, by oddać samochód do przeglądu i go umyć!

Theresa pomyślała, że być może oświetlenie wewnątrz wozu drażni Freda. Uniosła dłoń, aby je zgasić. Jej jędrny biust wyraźnie zarysował się pod trykotem. Nie uszło to uwadze Freda, który chcąc ją objąć, przechylił się w jej stronę i w tym samym momencie stracił panowanie nad kierownicą.

— Dobry Boże! — jęknął.

Samochodem zarzucało z jednej strony na drugą przez dobrą chwilę. Theresa siedziała wciśnięta w kąt. Fredowi udało się na szczęście wyprowadzić wóz na prostą.

— Nieźle, nieźle to zrobiłem, udało się. Zdajesz sobie sprawę? Na szczęście umiem prowadzić, inaczej walnęlibyśmy w drzewo. Ale ty masz to gdzieś, chociaż mało co nie spowodowałaś wypadku.

Jeszcze nieźle przestraszony, zahamował powoli. Koła wozu zapiszczały.

Genevieve krzyknęła nagle:

— Niech pan się zatrzyma!

Stare renault jechało właśnie Esplanadą Inwalidów.

Samochód zatrzymał się przed zakrętem do ulicy Varenne i zaparkował wzdłuż chodnika. Kierowca, z wąsem à la gauloise, nie wyglądał na zadowolonego.

— Trzeba uprzedzić wcześniej, moja pani! Uprzedzić! A nie krzyczeć w ostatniej chwili. Co pani jest?

Genevieve nie wiedziała już czy śmiać się, czy płakać.

— Zastanowiłam się, ja... Proszę zawieźć mnie raczej do mnie.

— To znaczy gdzie?

— Do Auteuil, ulica Molitor... Proszę mi wybaczyć, ale zrozumiałam nagle, że mój mąż wrócił prosto do domu, być może... Więc ja...

Na wpół odwrócony na swoim siedzeniu, kierowca mierzył ją wzrokiem. Zaniepokojona, chciała przerwać tę niemiłą sytuację, ale zaplątała się jeszcze bardziej mówiąc:

— Na ulicy Varenne mieszka mój brat.

— Dobrze, więc jedziemy do Auteuil? — spytał szofer.

— Tak — odparła sucho — ulica Molitor.

Ludzie z ludu mierzili ją. Taksówka zakręciła i stopniowo odzyskała prędkość. Genevieve wstrzymywała histeryczny śmiech. Była taka szczęśliwa. Mój Boże, jak mogła być taka głupia? Czerwone fregaty, przecież są ich setki na ulicach Paryża! Nic, absolutnie nic nie dowodziło, że fregata, którą widziała, należała do jej męża. Biedny, pewnie czeka w domu i nudzi się. A kiedy każe mu się czekać samemu, pije. Tak po prostu, z nudów. Na nieszczęście on źle znosi alkohol. Pochyliła się do przodu.

— Niech pan się pośpieszy, proszę...

— Gdyby się pani nie pomyliła, już dawno bylibyśmy na miejscu. Mogę jechać szybciej, mój wóz jest, jak pani widzi, nie taki zły...

Genevieve zdejmowała rękawiczki i zakładała je ponownie, podczas gdy taksówkarz mówił praktycznie sam do siebie, jadąc jednak coraz szybciej.

— Nie jest najlepszy, nie przeczę. Ogrzewanie na przykład, to jest praktyczne w zimie, ale...

Nie słuchała go. Myślała o dwóch mężczyznach, którzy zwrócili na nią uwagę tego popołudnia na ulicy. Jeden z nich nawet szedł za nią przez chwilę. W końcu nie była jeszcze stara, była szczupła. Pogodzona z życiem uśmiechała się lekko. Często uczucie szczęścia zależy od zawziętości człowieka, aby się nie oszukiwać.

Nie pij za dużo, mój drogi — mówiła jakby do Julienu — bądź rozsądny, jadę do ciebie.

Gdyby wyznała mu swój gniew, nachmurzyłby się, aby ją zbesztać wesoło. Całując ją w rękę i we wgłębienie między ramieniem i szyją powiedziałyby: — Jesteś szalona, wiesz doskonale, że kocham tylko ciebie. Ona odpowiedziałyby: — Wiem, wiem, sama nie wiem, co mnie napadło... Zresztą ta dziewczyna wcale nie była w typie Julienu. On lubi kobiety w typie macierzyńskim, dojrzałe, jak Genevieve. On lubi być pieszczony, nie lubi zajmować się innymi. Zawsze powtarzał: Kiedy będę miał ochotę na jedną z tych młodych dziewcząt, będzie to znaczyło, że się starzeję. I wybuchał śmiechem, nie zauważając nawet, że wywołuje wspomnienia, które przeszkadzają.

Taksówka zatrzymała się. Uregulowała rachunek zostawiając niemalże królewski napiwek. Bynajmniej nie przez hojność, ale przez tchórzostwo. Przy drzwiach nagle opanowały ją wątpliwości. Odwróciła się i rzekła nieśmiało:

— Jeśli nie ma pan nic lepszego do roboty, proszę na mnie poczekać pięć minut... Możliwe, że...

— Że jego tam nie będzie? W porządku, niech pani idzie.

Jego uśmiech, wąsy, cały był przesiąknięty winem. Nienawidziła takich. Oczywiście, obcy ludzie nie byli w stanie jej zrozumieć, ale ten wydawał się być szczególnie grubiański. Zdenerwowała się, bo nie mogła znaleźć klucza. W końcu nacisnęła dzwonek, otworzyła służącą.

— Czy pan jest od dawna w domu?

— Pan?

— Tak, pan! — krzyknęła biegnąc do salonu.

— Nie, proszę pani, nie widziałam go.

Zapał Genevieve nagle zgasł, stanęła jakby przygwożdżona.

— A więc telefonował?

— Nie, proszę pani, żadnego telefonu dziś nie było.

Cała jej energia ulotniła się. Teraz pozostał jej tylko płacz, na to jedynie miała jeszcze siłę. Płakać tak mocno, żeby umrzeć. Służąca kontynuowała:

— To znaczy tak... zapomniałam. Pani Dormien telefonowała i prosiła, żeby pani...

Jednym gestem Genevieve dała jej do zrozumienia, żeby zamilkła. Wolnym krokiem skierowała się do sypialni. Ale nie chciała być teraz sama. Z pewnością nie zniosłaby samotności. Taksówka...

Szybko wyszła z domu.

— Niech pan poczeka!

— Ach, więc nie było go, co? — cynicznie spytał szofer. — Nie warto się jednak przejmować. Zawsze pozostaje pani brat na ulicy Varenne. Nie ma powodu, aby buzia była taka smutna, to w końcu nic takiego. To są sprawy, które wyjaśniają się same.

Stanowczo źle go osądziła, jego i jego wąsy. Ten obcy człowiek rozumiał ją lepiej niż jej własny mąż.

Osunięty na podłodze windy, z głową odchyloną do tyłu, Julien usiłował zebrać myśli. Reakcje Genevieve, zawsze nieprzewidziane, drażniły go. Ta histeryczka gotowa była podburzyć całe miasto.

Ile jeszcze czasu przyjdzie mu spędzić w tej zablokowanej windzie?

Jego umysł zupełnie instynktownie podpowiadał mu: jeden dzień i dwie noce. Trzydzieści sześć godzin.

W poniedziałek rano Albert przyjdzie i wszystkiego się dowie.

Ale teraz był zupełnie sam. No, nie tak zupełnie. Obok był przecież trup Bordgrisa. Nawet gdyby Julien zdołał wytłumaczyć się z papierów leżących na jego biurku, nie uda mu się jednak nikomu wmówić, że nie znał Bordgrisa, z którym tak długo przebywał sam na sam... Już słyszał policjantów wybuchających śmiechem: „Chce pan, żebyśmy naprawdę uwierzyli, że cały ten czas spędził pan zablokowany w windzie?!”

Trzeba było uciekać. Za wszelką cenę. Nie pozwolić, aby ktokolwiek dowiedział się o tej idiotycznej sprawie. Nikt nie może go wiązać z Bordgrisem. Ale, aby tak się stało, musi przecież stąd wyjść.

Z zaciekłością rzucił się na metalowe drzwi. Pod wpływem uderzenia wyraźnie drgnęły. Julienowi udało się wsunąć palce między drzwi i z całej siły starał się je odsunąć. Powoli, charakterystycznie skrzypiąc, drzwi zdawały się ustępować.

\* \* \*

Fred denerwował się, kłął. Usiłował uruchomić silnik, ale „ten cholerny motor kupiony zapewne prawie za darmo” nie chciał nawet drgnąć.

Theresa, po cynicznych uwagach Freda, siedziała bez słowa. Wydawało się jej jednak, że Fred nie włączył po prostu silnika.

— Fred...

— Czego znowu chcesz?

— Ja...

Nie miała odwagi powiedzieć mu tego. Zadowolona się wskazaniem mu kluczyka. Ku jej zdziwieniu, Fred zaczął się śmiać.

— To prawda... Wiesz, nie jesteś taka głupia, na jaką wyglądasz. — Od razu jednak załagodził „komplement”: — To naprawdę fenomenalne...

Samochód powoli ruszył z miejsca. Mimo zachowania Freda Theresie zrobiło się przyjemnie. Ośmielona uniosła się nieco, aby zgasić górne światło.

— Coraz lepiej przystosowujesz się do sytuacji — powiedział Fred — robisz postępy, zapewniam cię...

Theresa poczuła się lepiej. Jechali powoli w ciszy. Już się nie bała.

— Więc? Nie uważasz, że to jest wspaniałe? Powiedz coś — naciskał Fred.

Niezbyt pewna siebie, wahając się, uniosła kciuk do góry.

— Właśnie tak.

— Ja rozumiem życie na swój sposób — zaczął mówić Fred. — Kiedy masz samochód, wyjeżdżasz kiedy chcesz, jedziesz na wieś, żeby się zrelaksować, nie myśleć o problemach. Społeczeństwo jest źle urządzone. Są istoty, którym trzeba zapewnić niezbędne minimum dla dobra innych... Dom, forsa, wóz...

Spojrzała na swego towarzysza wzrokiem pełnym podziwu: jaki on jest inteligentny! To oczywiste, mężczyzna taki jak on musi od czasu do czasu wyładować na kimś swoje nerwy, odprężyć się.

Fred kontynuował:

— Oto na przykład rzecz, której ojciec nigdy nie zrozumie. Nie można mu nic wyjaśnić, bo zaraz zacznie opowiadać o swoich trudnych początkach. O ciężkich okresach, sile pięści. Podczas gdy czasy się zmieniły. On musiał jeździć po jarmarkach, myśleć najpierw o pracy, potem o przyjemności itd. Powiem ci jedną pożyteczną rzecz: stara generacja może być rozumiana przez Greków. Ja mam inne zdanie.

Lekko uderzył się w czoło. Theresa odetchnęła swobodnie. Wszystko było dobrze.

— My młodzi — kontynuował — mamy dość oczekiwania. Nie będziemy czekać, jak czekali ci durnie. My nie mamy czasu do stracenia. Szybko trzeba realizować, organizować, burzyć i budować na nowo. Tak to jest — podsumował nie bez goryczy.

Chciała mu zadać ważne pytanie, które męczyło ją od jakiegoś czasu. Spytała nieśmiało:

— Twój ojciec zwrócił koszty?

— Zwrócił koszty?

— No, bankowi...

— Jakiemu bankowi?

— Fundusze...

— Fundusze? — zdawał się nadal nie rozumieć.

Musiała mu przypomnieć, że został wydalony z banku za sprzeniewierzenie pieniędzy. Pytanie rozbawiło Freda, właściwie był zadowolony, że je zadała.

— Od dawna się tak nie śmiałem. Musiałabyś zobaczyć ojca, ślinił się z wściekłości...

— Ale czy zapłacił?

Spojrzał na nią z politowaniem.

— Moja biedna Thereso, a co chciałabyś, aby zrobił? Żeby pozwolił zhańbić imię swojej rodziny, wytarzać je w błocie? Ha! Nie. Czy zdajesz sobie sprawę? Uspokój się, wiem o co mi chodzi, dokąd idę. To tak jak z tym samochodem. Ty nie chciałaś. Więc ułożyło się czy nie? Niczego nie ryzykowałem. Mieliśmy, być może, kłopoty ale powiedz, czy nie uważasz, że się powiodło? Nie bój się, powiedz, żyjemy w Republice. Powiedz, jeśli masz zaufanie...

— Ależ tak, Fred, mam zaufanie, przysięgam ci...

Nie pozwolił jej skończyć. Udowodnił jej, że nie było to prawdą. Ludzie tacy jak on, wyprzedzali epokę. Logiczne jest więc, że spotykają tylko niezrozumienie i nieufność. Jednak sprawa z bankiem pokazała, że on ma rękę mistrza. A dlaczego?

— Powiem ci, Thereso. Życie jest podobne do wojny, stykają się w nim dwie armie. Armie proletariackie to piechota, armie szlacheckie to lotnictwo. I teraz musisz sobie wybrać, gdzie chcesz spacerować: w gównie czy w lazurze, wstępujesz więc do wojska na ochotnika. To wszystko.

Theresa słuchała go z otwartymi ustami, a on upajał się jej zachwytem.

— Z drugiej strony, chcesz mi powiedzieć, że cokolwiek ryzykowałem? Zero. Albo moja poufna informacja dla Longchampa była dobra, zarabiałem forszę i odkładałem ją na miejsce. Albo on był skończony... i tak się stało. A potem? Być może bałem się policji? Ale ani sekundę nie wątpiłem, że najpierw zapukają do

drzwi mego ojca. On mówił rzeczy bezużyteczne. W sumie podwójna dobra akcja, dlatego że za każdym razem, gdy szkodzisz burżujom, to błogosławione posunięcie. A wreszcie, czy to ja pchałem się do banku? To tatuś chciał. A więc musiał bulić. Ja i bank... Wiesz dobrze, że moim powołaniem jest być pisarzem lub pracować w filmie. Nagroda Nobla albo Hollywood. Jestem urodzonym producentem. Gdyby dano mi tylko piętnaście milionów, zobaczyłabyś. Pomyśl! Piętnaście milionów! Gdy powiedziałem o tym ojcu, wkurzył się nieprzeciętnie. Mówił jak to on sam rozpoczynał z groszami. Wiadomo zresztą, że rodziny mieszczańskie to przeciwieństwo artystów.

Czuł na sobie wzrok Theresy, zrobiło mu się ciepło na sercu. To sprawiało, że był w tej chwili niemalże pogodzony z ludzkością. Wzruszył się.

— Wkurzony był jednak okropnie...

— Najważniejsze, że zapłacił.

— Nie miał innego wyjścia. Zdajesz sobie sprawę, nazwał mnie niegodnym synem. Nie byłem gorszy od niego. Niegodny to był on. O cóż go bowiem prosiłem? Piętnaście milionów. To jest minimum dla mojego pierwszego filmu. Potem nie potrzebowałbym już nikogo.

Prowadził ostrożnie marząc, oczy mu błyszczały.

— Do cholery, Thereso, piętnaście milionów! Miałbym te pieniądze, ja... Wiesz, co byśmy zrobili? Powiedz, Theresa!

Wiedziała to doskonale, ale zawsze chciała to usłyszeć po raz kolejny.

— Co byśmy zrobili? Wynajęlibyśmy apartament w Ritzu, dobrze byśmy się ubierali.

— Poślubiłabyś mnie?

— Oczywiście, trzeba by było, aby... Czekał... Jak się to nazywa? Ach! Tak, małżeństwo morganatyczne.

— Co to znaczy?

— Tak się mówi, gdy wielki człowiek poślubia kobietę z ludu.

— Dlaczego?

Zranił ją tym wymigiwaniem się od ich przyszłego małżeństwa. Podawał powody wagi państwowej:

— W mojej sytuacji, gdybym się ożenił, tracę wszystko. Sławny producent to rodzaj mitu. Jest uwielbiany przez wszystkie



dziewczyny, których marzeniem jest go poślubić. One są jakby jego współpracownikami, przyczyniają się do jego sławy.

Sądził, że ją przekonał. Tymczasem sprawił jej ból, płakała cicho, wciśnięta w fotel.

— Co ci jest? — spytał.

— Będziesz mnie zdradzał z tymi wszystkimi dziewczynami!

Wobec takiej naiwności, rzucił obelżywie przez zęby:

— Mieszczka!

Właśnie minęli Marly.

\* \* \*

Z nogą wspartą o ścianę, Julien czynił ostatni wysiłek. Nagle drzwi windy rozsunęły się.

Wyciągnął ramiona ku ciemności, ku niewidzialnemu wyzwolicielowi. Dotknął, powierzchnia była gładka i śliska. Zapalił zapalniczkę. Mur był biały i ślepy.

## 6.

Wyprzedzając oszołomioną służącą, Genevieve wpadła niemalże do jadalni.

— Georges! — krzyknęła. — Zdarzyła mi się straszna rzecz. Julien mnie zdra...

Nagle urwała. Dzieci spoglądały na nią z otwartymi ustami. Jej brat zamarł z uniesioną łyżką, jego żona również wyglądała na zaszokowaną. Małżonkowie wymienili spojrzenia. Georges spuścił głowę. Serce Genevieve zamarło.

— Nie jest to jednak powód, aby w ten sposób wchodzić do czyjegoś domu — stwierdziła Jeanne drżącym głosem powściągnąjąc niezadowolenie. Następnie zwróciła się do dzieci: — Powiedzcie: dzień dobry swojej cioci.

Genevieve ucałowała z roztargnieniem siostrzeńców, spoglądając na brata zamglonym wzrokiem. Jednak Georges trzymał głowę uparcie opuszczoną. Po chwili podniósł się ciężko.

— Przejdźmy do salonu — powiedział.

Drżąca podążyła za nim. Jeanne z pobłażaniem pokręciła głową. Służąca usiłowała się wytłumaczyć:

— Pani powiedziała mi, że...

— Możesz sprzątnąć ze stołu — ucięła Jeanne — położę dzieci. Bernard, Jean-Paul, do łóżka!

Dzieci wykonały polecenie bez słowa. Atmosfera była jak przed burzą.

W salonie Genevieve właśnie skończyła opowiadać o swoim nieszczęściu. George słuchał jej lekko zasapany, ze zmarszczonymi brwiami.

— Widziałam ją, Georges, rozumiesz, widziałam... tę małą dziwkę, wsiadała do samochodu...

— Moja biedna Genevieve — powiedział Georges spoglądając w kierunku jadalni. — Co zrobimy?

Przyjął odpowiednią postawę napełniając i zapalając fajkę, miał wygląd obojętny.

— Julien mnie zdradza! — Genevieve krzyknęła teatralnie.

Dał jej znak, aby ściszyła głos i powiedział:

— To się dzieje już od tak dawna, kochanie, że powinnaś się przyzwyczać...

— Georges!

Ten krzyk, krzyk o pomoc, był tak rozdzierający, że Georges naprawdę się zmartwił, objął szlochającą Genevieve. Znudzony, poklepywał ją delikatnie po ramieniu.

— Moja mała — powtarzał — przecież wiesz dobrze, że na niego nie można liczyć... Julien jest właśnie taki...

Łzy siostry sprawiały mu ból. Kątem oka jednak stale zerkał na drzwi, którymi mogła wejść jego żona.

— Nikt mnie nie kocha! — wzdychała płacząc i ocierając oczy.

— Ależ tak — szepnął — zobacz jaka jesteś! Nikt? Wszyscy, zawsze... Czy zawsze musisz tak dramatyzować?

Odsunęła się od niego, a Georges najwyraźniej odetchnął z ulgą, jakby trzymanie własnej siostry w ramionach było przestępstwem. Genevieve płakała coraz bardziej.

— Nigdy nie powinnam była poślubić mężczyznę młodszego ode mnie...

— Ale to zrobiłaś... a Julien cię kocha na swój sposób... Trzeba spróbować zrozumieć...

— Nie... Nie... Nigdy nie powinnam była go poślubić...

— Wiele razy ci to powtarzaliśmy — stwierdziła Jeanne wchodząc do salonu.

Nie słyszeli jak weszła. Georges obwinił się za swoje współczucie i na znak żony natychmiast usiadł przy niej. Wzięła go za rękę, jakby chcąc kontrolować jego reakcje. Była jeszcze bardzo piękną kobietą. Rysy jej twarzy, łagodnie potraktowane przez czas, miały w sobie coś bolesnego i stanowczego zarazem. Genevieve, siedząca sama w fotelu naprzeciw nich, czuła się oskarżona.

— O cóż chodzi tym razem? — spytała Jeanne obojętnym głosem.

Genevieve zagryzła wargi. Georges odpowiedział:

— Poszła po męża do biura i zobaczyła go odjeżdżającego z jakąś panienką.

Zabrakło jej tchu. Jej nieszczęście streszczone w tym suchych słowach nie zasługiwało na dalszy ciąg. Byli całkowicie obojętni na „tragedię jej życia”.

— Gdyby chodziło tylko o to! — krzyknęła. — Ale dziesięć minut wcześniej, przez telefon, był taki miły. I sądziłam, że...

Łzy nie pozwalały jej dalej mówić. Jej bratowa skomentowała beznamyślnie:

— Normalne, są mężowie, którzy są mili przed. I inni, którzy są mili po zdradzie — spojrzała twardo na Georges, który uśmiechnął się niezręcznie. — Mężowie chcą tylko uspokoić własne sumienie, ale w chwili gdy tamto już ich mało obchodzi. Znam nawet takich, którzy przynoszą prezenty żonom, zrywając z kochankami.

Nagle rozległ się suchy trzask, fajka Georges, złamała się pomiędzy jego zębami. Genevieve widziała ich oboje poprzez łzy. Jeanne wstała, aby podać Georgesowi inną fajkę, po czym kontynuowała spokojnie:

— Najciekawsze jest to, że czasami wartość tych prezentów jest proporcjonalna do długości związku... — To powiedziawszy uważnie oglądała swój piękny pierścień.

Georges zareagował gwałtownie.

— Mówisz głupstwa, Jeanne. Jeśli mówisz to tylko po to, aby sprawić przykrość Genevieve, to wiedz, że ona i bez tego ma dość. Jeśli ma to być aluzja do mnie, to przecież wiesz bardzo dobrze, że nigdy cię nie zdradziłem... Nie mam czasu.

Jeanne siedziała sztywno, z sarkastycznym wyrazem twarzy.

— Jest kilka sposobów na zdradzanie żony — powiedziała. — Są tacy, którzy zbyttno zajmują się interesami, inni... zbyt wiele czasu poświęcają własnej rodzinie...

Georges wzruszył ramionami. Opanowało go zmęczenie. O czym oni rozmawiają tyle czasu?

— Właściwie czego ode mnie oczekujesz, Genevieve? — pytał

rozdrażniony. — Że przyprowadzę ci Julię za szyję, prawiąc mu po drodze morały?

— Ależ ja nie wiem. Przyszłam tutaj, bo tylko was mam na świecie. Nie mogę przecież czekać grzecznie w domu, aż Julien skończy ze swoimi wybrykami i wróci...

— Jeśli wróci... — stwierdziła ironicznie Jeanne.

— Więc zostań tutaj — zaproponował Georges. — Zadzwońisz do domu od czasu do czasu, aby dowiedzieć się czy już wrócił. Właściwie można to sprawdzić już teraz. Pójdę zadzwonić.

Niemalże szczęśliwy opuścił salon. Obie słyszały, jak wykręcał numer. Po chwili Jeanne stanęła przed Genevieve.

— Posłuchaj mnie dobrze — zaczęła — nie życzę sobie, abyś mieszła Georgesa do swoich historyjek. To skończone. Wiesz doskonale jak bardzo cię kocha i nadużywasz tego. Dręczysz go. Później nie jest już taki sam...

Genevieve osunęła się w fotelu. Bała się. Głos Jeanne, powściągliwy i okrutny, dźwięczał jej w uszach. Z przedpokoju dobiegł jej niski głos Georgesa:

— Nikt nie odpowiada.

Genevieve wykonała ruch, jakby chciała iść do niego, żeby ją obronił, ale powstrzymała się. Zadowolona się uniesieniem głosu:

— Służąca musi być w kuchni.

— Próbuje, kochanie — krzyknęła Jeanne. — Z pewnością ktoś jest!

Po kilku sekundach znów pochyliła się nad Genevieve.

— Mamy dość trudności, aby nie być nieszczęśliwymi, rozumiesz? Ty masz swoje sprawy, ja mam swoje... My, moja mała Genevieve... my usiłujemy przynajmniej...

Oddychała ciężko, niemalże dyszała, gardło miała ściśnięte.

— ...usiłujemy przynajmniej nie być zbyt zazdrośni o ciebie. Właśnie tak.

Jej oczy błyszczały. Zdawała się żałować, że powiedziała za dużo. Genevieve wyjąkała:

— Ależ Jeanne, co ja ci zrobiłam? Zazdrosna o mnie? O mnie, kiedy jestem tak nieszczęśliwa... Ja nic nie mam, podczas gdy ty, ty masz pieniądze, mieszkanie, dzieci, męża, który cię kocha i którego ty też kochasz...

Jeanne otarła ręką czoło, przebiegł ją dreszcz. Przez chwilę milczała, po chwili znów zaczęła mówić, oddychając szybko.

— Ty nigdy nie cierpiałaś, nigdy nie pracowałaś. Wszystko było ci dane. Georges i Julien nigdy nie pozwolili, aby ci czegoś brakowało. Życie jest dla ciebie krową, którą wystarczy doić. To dlatego jestem zazdrosna. Ja muszę walczyć, aby otrzymać najmniejszą rzecz i najczęściej zostaję z pustymi rękoma. Ja rezygnuję z minimum, którego inni mogą mi dostarczyć. Ty, ty wymagasz od nich maksimum a priori!

Genevieve potrząsnęła głową.

— Jeśli sądzisz, że życie z Julienem jest łatwe...

— To ty sprawiłaś, że jest właśnie taki. Ty sama. Z twoimi wiecznymi kapryсами, popłakiwaniami, potrzebami finansowymi, nieodpowiedzialnością. Bez ciebie kto wie, czy Julien... — przerwała nagle i podniosła się, znów spokojna i surowa.

Słysząc kroki Georges, wszedł i z obłudną radością oznajmił:

— Jeszcze nie wrócił. Ale zdziwiłoby mnie, gdyby kazał jeszcze długo na siebie czekać. — Spojrzał na zegarek, po czym objął je obie ramieniem. — Jest pół do ósmej. Może poszlibyśmy we trójkę do kina?

Jeanne uczyniła wysiłek, aby się uśmiechnąć.

— To wspaniały pomysł, ale idźcie we dwójkę, jeśli chcecie. Ja wolę zostać z dziećmi.

— Coś nie w porządku? — zaniepokoił się Georges.

— Nie, nie... Niewielka migrena, to wszystko. Genevieve, idź z bratem, odświeżysz się. Podczas gdy obejrzyjecie film, Julien wróci i w ten sposób to on będzie na ciebie czekał.

Genevieve nerwowo szarpała chustkę. Jej strach sprzed chwili znikł. Czowała się zawiedziona pocieszeniami, do których miała prawo. Spóźniony szloch wstrząsnął jej piersią, urywając oddech. Chętnie umarłaby, gdyby to mogło ich poruszyć. Trzeba, aby coś powiedziała, zrobiła, wyrwała ich z tej obojętności.

— Chcę rozwodu! — krzyknęła.

Jeanne stanęła pomiędzy bratem a siostrą i stwierdziła:

— To nieprawda. Za wszelką cenę usiłujesz wzbudzić litość.

Ale Genevieve nie słuchała jej. Mówiła do brata, bardziej wrażliwego na jej cierpienie:

— Georges, tym razem to prawda, zapewniam cię. Nie chcę więcej widzieć Julienu. Sprawił mi zbyt wiele bólu...

Ukryła twarz w dłoniach wylewając kolejny potok łez. Georges chciał ją pocieszyć, ale powstrzymał się wobec chłodnego spojrzenia żony. Znał doskonale ten wyraz twarzy zwiastujący kilkudniowe dąsy. Zawyrokował:

— To już ustalone, rozwiedziesz się, kochanie... Ale teraz jest sobota wieczór... Od poniedziałku zajmę się tym...

Genevieve uniosła głowę.

— Zostawiasz mnie samą?

— Ależ nie — zdenerwował się. — Nie zostawiam cię samej, ale co chcesz teraz zrobić?

Urażona skierowała się ku wyjściu, zatrzymała się z godnością. Natychmiast potrzebowała przecież sprzymierzeńca przeciw Julienowi. Samotność w nienawiści przerażała ją.

Miała jeszcze jedną możliwość, z której nie zawahała się skorzystać.

— Jeśli chcę się rozwieść, to nie dla mnie, ale dla ciebie, Georges. Muszę ci to powiedzieć. Już od dawna leży mi to na sercu...

Georges westchnął mówiąc:

— Julien jest jak większość przedsiębiorców... cóż mógł zrobić w tych okolicznościach?

— To tak, jak myślałam! — krzyknęła Genevieve. — Ty nic nie wiesz!

Biegając ku niemu uwiesiła się na jego szyi, szczęśliwa, że udało jej się przerwać pancerz obojętności.

— Czy przypominasz sobie te dwa miliony, które pożyczył od ciebie w tamtym roku i których nie oddał ci w terminie?

Georges cofnął się zdziwiony. Pod nieruchomym spojrzeniem Jeanne, Genevieve zdjęła rękawiczki. Zapomniała o swoim zmartwieniu. Spokojny uśmiech pojawił się na jej twarzy. Kontynuowała:

— Potrzebowałeś tych dwóch milionów, aby dostać opcję... Przyszedłeś, aby wyjaśnić to Julienowi w domu... Już nie wiem... obciążenie Valparaiso...

Georges potwierdził ruchem głowy.

— On miał pieniądze, Georges! Ale powiedział ci, że nie ma ani grosza. W rzeczywistości szukał lokaty!

Georges stwierdził, że jest ciemno i nerwowo zapalił lampkę stojącą na kominku.

— A więc wyobraź sobie, że przyszedłeś mu powiedzieć o tym wspaniałym interesie, a on wykorzystał to za pomocą twoich pieniędzy. Nic ci nie mówiąc... Rozumiesz?

Georges zbladł. Chwycił się za serce. Jeanne pospieszyła ku niemu.

— Mój drogi, nie denerwuj się...

— Zostaw — odpowiedział zachrypniętym głosem.

Genevieve kontynuowała z zapamiętaniem:

— Potem oddał ci pieniądze z częścią zysku. Ale to nie wszystko. Twoje ubezpieczenie... Wiesz, wartościowe przesyłki, które ubezpieczałbyś przez swoje pośrednictwo...

— Współpracował z kolegą w gabinecie specjalistycznym... Tyle z tego mógł skorzystać, czyż nie?

— Jaki ty jesteś naiwny, mój biedny Georges...

— Do cholery! — wykrzyknął. — Miałem polisy w rękach nie raz, ale dziesięć razy!

— Więc po raz jedenasty wykpił cię na dziewięćset tysięcy franków...

— Traktory amerykańskie?! — zagrzemiał.

— Właśnie tak...

— Co ty opowiadasz? Miałem zapłacić za naprawy!

— Mówisz! Naprawy, w których chodziło o dziewięćdziesiąt tysięcy franków z groszami...

Georges opadł na fotel.

— A więc... Gdybym był miał...

— To było dla ciebie! — krzyknęła Genevieve. — Te traktory nigdy nie były ubezpieczone...

Czoło Georgesesa pokryte było kropelkami potu. Zawładnęła nim wściekłość. Uderzył lewą pięścią w prawą dłoń.

— Łajdak! — krzyknął.

Nagle wstał, jego wzrok był rozbiegany, chaotycznie wymachiwał rękoma.

— I kiedy pomyślę, że miał jeszcze tupet, aby tydzień temu prosić mnie o kolejne pięć milionów!



— Pięć milionów? — wykrzyknęła Genevieve.

— Tak! Zdajesz sobie sprawę? Ach! Nie cofnę się przed niczym.

— Ale co on chciał z nimi zrobić?

— Czy ja wiem? Opowiadał mi nie wiem jaką historię... — zaniepokojony uspokoił swoją żonę: — Nie dałem mu ani grosza. Ale to się tak nie zakończy! Nie!

Wybiegł. Genevieve i Jeanne stały jak zamurowane. Z różnych powodów.

— Jesteś zadowolona? — spytała Jeanne. — Zmusiłaś go teraz, aby się tobą zajął.

— Ale... gdzie on idzie?

— Co chcesz, abym ci powiedziała?

Jeanne odwróciła się, była znużona.

— Kiedy jest zły, niczego nie można przewidzieć. Prawdopodobnie poszedł szukać Juliana, aby dać mu po głębie...

Genevieve przestraszyła się.

— Nie!

Teraz ona wybiegła na zewnątrz, głośno wołając brata.

## 7.

Za pomocą małego scyzoryka Julienowi udało się oderwać od ściany kamienną płytkę. Po omacku udało mu się ją podnieść. Drżał z niecierpliwości. We wszystkich windach znajduje się wyjście, służące do konserwacji kabli i połączeń.

Opuszkami palców długo badał sufit. Nic. To mogło znajdować się tylko w podłodze.

Szansa: właz znajdował się tuż pod podłogą. Wyczuł jego kontury, chwycił za rączkę i pociągnął ku sobie. Płyta ustąpiła. Powiew zepsutego powietrza wpadł do kabiny. Klęcząc, pochylony do przodu oparł się na jednej ręce, drugą badając przestrzeń pod windą. Miał nadzieję, że znajdzie kable, wzdłuż których mógłby zsunąć się na parter. Ale jego palce nie natrafiły na nic. Zawziął się, leżąc na brzuchu i wyciągając ramiona penetrował dalej. Na próżno. Ogromnym wysiłkiem woli powstrzymywał się przed wybuchem wściekłości. Nie mógł nic znaleźć. Kable powinny biec wzdłuż muru, którego nie mógł dosięgnąć.

W ciemności zamknął na chwilę oczy. Istniało tylko jedno wyjście: zawiesić się rękoma na kablu i balansować niebezpiecznie opierając nogi na murze... Zaczepić się na kablach i pociągnąć je w swoją stronę...

Perspektywa wolności, odzyskanej nawet z narażeniem życia, natchnęła go odwagą. Zapaliwszy zapalniczkę usiłował zbadać próżnię. Ujrzał czarną dziurę bez dna, gdzie malutki płomień rzucał więcej cienia niż światła. Poczuł, że nigdy mu się nie uda z braku odwagi psychicznej. Cofnął się drżąc na całym ciele. Zaśmiał się nerwowo, ściany próżni odpowiedziały mu ironicznie.

Fregata zatrzymała się pod słabo oświetlonym napisem: *Aux Lilas, hotel-restauracja*.

— Odpowiada ci to? — spytał Fred.

Theresa wyrwana ze swoich myśli, wzdrygnęła się.

— Co?

— Czy chcesz tu spędzić weekend? Według mnie to nie wygląda źle...

Poprzez zaparowaną szybę ujrzała zarys budynku. Nie miała ochoty wysiadać.

— Jest zamknięte — stwierdziła.

— W takich miejscach przyjmują gości przez cały rok. Chodź, idziemy.

Chciał otworzyć drzwi. Powstrzymała go.

— Fred! Poczekaj... A gdybyśmy po prostu wrócili?

Młody człowiek wyglądał na mocno zaskoczonego.

— Nie żartuj! To wszystko, co zdołałaś wymyślić? Wrócić? Żeby iść gdzie?

— Moglibyśmy spędzić weekend u mnie.

— Dziękuję. W mansardzie Mimi Pinson!

— A jutro poszlibyśmy do kina.

— Nie mając forsy?

— A tutaj... czym zapłacisz?

— Mamy czas aż do jutra wieczór. Więc nie niepokój się ciągle o przyszłość.

— Fred... Proszę...

Zaśmiał się.

— Jaka jesteś głupia. Nigdy nie należy się bać. Zaufaj mi. Znajdę jakieś środki.

— Jakie?

— Co cię bierze?

— Boję się, Fred.

To wyznanie sprawiło, że wstrzymał oddech. On również się bał. Ale nie mógł się do tego przyznać. Uspokoił ją bez większego przekonania:

— Zadzwońię do ojca. Wyśle czek, aby uniknąć skandalu.

Pomysł nie wydawał się przekonać Teresy.

— Ponadto możemy mieć problemy z tym ukradzionym samochodem.

Spostrzeżenie zastanowiło Freda. Zmarszczył brwi zastanawiając się przez chwilę.

— To prawda. Musimy być bardzo ostrożni.

Rozejrzał się wokoło i spostrzegł na tylnym siedzeniu kapelusz i starannie złożony płaszcz nieprzemakalny. Uśmiechnął się.

— Widzisz? Wszystko gra. Najważniejsze, aby nie mogli nas rozpoznać. Rozumiesz? Ty też zarzucisz na ramiona i głowę moją marynarkę... powiedzmy z powodu deszczu. Ja w tym płaszczu i w kapeluszu będę nie do rozpoznania. Pozostaje nam tylko nie pokazywać się w pełnym świetle. Czekaj...

Pogrzebał w jednej z półek, po chwili śmiejąc się wyciągnął rewolwer.

— A to na wypadek, gdyby oberżysta robił trudności...

— Fred, proszę cię, odłóż to... Nie dotykaj tego!

— O la la! — Odłożył broń na swoje miejsce. — Z tobą nawet pożartować nie można. Chodźmy tam, trzeba tylko uważać!

Drzwi samochodu trzasnęły. W budynku ktoś odchylił firankę, drzwi otworzyły się. Na mokrym żwirze słychać było każdy krok. Deszcz przestał padać. Jednak nadal było zimno, z gałęzi spływały krople deszczu. Właściciel hotelu zdawał się nie być zaskoczonym widząc ich tak opatulonymi.

— Dobrze państwo trafili! — wykrzyknął na powitanie. — U nas jest ciepłutko.

— Niech pan będzie tak miły i wprowadzi samochód na podwórze — odpowiedział Fred zmieniając głos.

Hall oberży sprawiał miłe wrażenie, z fotelami, niskimi stolikami i kasą, za którą właścicielka, jowialna grubsza pani, wystawiała rachunki. Uśmiechnęła się do nich ukazując zęby.

— Proszę państwa, cóż za okropna pogoda! Ale jutro będzie słoneczko, sami państwo zobaczą. Zapowiadali...

Przerwała nagle. Nowi goście przeszli bardzo szybko i to wydało się jej podejrzane. Na wpół stojąc spytała zaniepokojona:

— Państwo sobie życzą?

Fred szturchnął Theresę łokciem. Zaczęła nieśmiało:

— Chcielibyśmy pokój na weekend.

Stali teraz w cieniu rzucanym przez schody, czuli się nieco

swobodniej. Zawodowy uśmiech pojawił się na twarzy właścicielki.

— Rozumiem — pogroziła im żartobliwie palcem. — Zapewne podróż poślubna...

— Właśnie tak — odpowiedział Fred.

W drzwiach wejściowych ukazał się właściciel.

— Daj im pokój numer osiem, Mathildo. Jest gotowy... Wprowadzę samochód, proszę pana.

Znikł w ciemnościach. Jego żona zapaliła lampę naftową stojącą przy kasie mówiąc:

— Mamy problemy ze światłem. Ale jeśli chodzi o podróż poślubną, wszystko jest przewidziane. To światło odpowiada okolicznościom... Mam nadzieję, że państwu nie przeszkadza?

— Ależ nie — odpowiedział Fred. — Ma pani rację. To bardziej romantyczne.

Właścicielka kontynuowała prowadząc ich po schodach do pokoju:

— Gdyby nie to, mogłabym umieścić państwa razem z nami na parterze. Teraz oczywiście jest niewielu gości, to nie sezon. Ale będzie państwu wygodnie. I kuchnia tutejsza...

Weszli na piętro idąc wzdłuż rzędu pokoi.

Właścicielka spytała gości:

— A propos, czy państwo już jedli kolację? Może przynieść coś ciepłego?

— Tak, herbatę — powiedziała Theresa.

— Tosty, masło, ser — dorzucił Fred.

— I marmolada — zakończyła właścicielka. — To ciekawe, młodzi zawsze chcą zeszczupleć, jedzą śniadanie w miejsce kolacji. Za chwilę wszystko przygotuję. Proszę, oto państwa pokój.

Otwierając pokój numer osiem, weszła pierwsza stawiając lampkę na kominku. Pokój był duży, umeblowany praktycznie, chociaż nie bez smaku. Łóżko było niskie i szerokie, przykryte kretonem dobranym do zasłon. Nieopodal stała ogromna szafa normandzka, zapewne rzadko wypełniana do ostatnich półek. Ponadto stół, dwa krzesła i duży fotel Voltaire.

— To państwu odpowiada? — spytała właścicielka uśmiechając się.

Theresa była zachwycona i złożwszy dłonie odpowiedziała:

— Bardzo tu ładnie, dziękujemy pani.

— Cieszę się. Więc zostawiam moje gołąbki. Idę przygotować herbatę i tosty... i przyniosę również karty do wypełnienia. Och! To nie dla nas, oczywiście...

— Nie warto — uciał Fred. — Może je pani z powodzeniem wypełnić sama...

— Jak państwo sobie życzą... My, państwo rozumieją, jesteśmy dyskretni, to część naszego zawodu... Widzę, że nie zrobilibyście krzywdy nawet muszce... tse-tse. — Roześmiała się, ale ponieważ nie zareagowali, dodała: — Ale policja, sami państwo rozumieją, żeby nie mieć kłopotów...

Fred spojrział na Theresę lekko się uśmiechając. Po chwili powiedział wyraźnie:

— Pan i pani Courtois. Ulica Molitor 118, Paryż.

Wydawało się, że młoda dziewczyna ma ochotę krzyknąć. Na szczęście właścicielka skierowała się już ku wyjściu.

— Pan i pani Courtois... doskonale.

Wychodząc zamknęła drzwi. Zostali sami. Fred zrzucił z siebie płaszcz i skoczył na łóżko.

— Ale praca! To wcale nie było trudne!

Theresa opadła bezwolnie na łóżko.

— Powiedz coś! Nieźle to zorganizowałem! Jestem asem czy nie?

Nieco odprężona, Theresa spoglądała na Freda. Jaki to jest dzieciak! Ale jednocześnie podziwiała go, jego przebiegłość, inteligencję.

Wyciągnął ku niej ramiona.

— Dasz buzi swojemu geniuszowi?

Zbliżyła się ostrożnie, jeszcze trochę zdenerwowana z powodu drzwi nie zamkniętych na klucz. Gdy była już w zasięgu jego ręki, chwycił ją i przyciągnął ku sobie. Żarłocznie całował jej świeże wargi. Poddała się. Ręce chłopca krążyły pod swetrem w poszukiwaniu nagiego ciała. Wyprostowała się wzdychając:

— Fred, mój drogi...

Nagle odskoczył od niej usłyszawszy przeraźliwy pisk opon. To właściciel próbował wprowadzić fregatę na parking.

— Co on robi? Rozwali mi skrzynię biegów! — jęknął Fred.

Theresa położyła dłonie na karku chłopca. Odetchnął głęboko

i przyciągnął ją ku sobie, kładąc dłoń na jej piersi. Westchnęła z rozkoszy. Fred na moment odsunął się od niej, aby podrapać się w nos. Tak było zawsze, gdy odczuwał pożądanie — swędziało go nos. Wziął ją ponownie w ramiona, pożądanie nadało męskości rysom jego twarzy. Drżenie jego mięśni sprawiło, że dziewczyna otworzyła oczy, aby go widzieć: kochała go jeszcze bardziej w momencie, gdy stawał się mężczyzną.

\* \* \*

Na dole właścicielka przygotowywała jedzenie.

— Wytrzymaj nogi, Charles — rzekła do męża — nie wnoś mi błota. Powiedz, czy zerknąłeś w samochodzie na nazwisko właściciela?

— Tak! — odkrzyknął. Był w złym humorze. — Julien Courtois.

— Zgadza się. To nazwisko, które mi podałeś... To tylko ostrożność, czyż nie...? Co ci jest?

Zbliżył się niezadowolony.

— Było nam tak dobrze i spokojnie...

— Skarż się. Przecież w ten sposób zarabiamy na życie.

— Gdybyśmy jeszcze byli pewni, że mają czym zapłacić.

— Ma samochód. Nie zostaniemy z pustymi rękoma.

Wlała wodę do filiżanki. Charles wziął tosta i chrupał go spokojnie.

— Tosty to wspaniałe wynalazek. W ten sposób można pozbyć się czerstwego chleba...

Mathilde odsunęła tacę i rzekła surowo:

— Nie jedz wszystkiego. Zostaw im trochę.

— Nie przejmuj się tak. Oni mają coś innego do roboty niż jedzenie — wskazał ruchem głowy na sufit.

— Skąd to wiesz?

— Widziałem cienie...

— Ach tak, to dlatego nie było cię tak długo. Stary świntuch.

Wzruszył ramionami połykając ostatni kęs.

— W każdym razie oni są małżeństwem.

— Niewykluczone, że się mylisz — mruknęła tajemniczo ko-

bieta. — Założę się, że to nie jest jego żona. Widziałeś te ich konspiracyjne miny?

— Chcesz, żeby to mnie zastanowiło? — wyciągnął rękę po kolejnego tosta. Uderzyła go lekko po dłoni.

— Powiedziałam ci, że już dość.

Podnosząc tacę skierowała się w kierunku schodów. Gdy przechodziła obok niego, wystudiowanym gestem klepnął ją w pośladek. Roześmiała się.

— To przez tych młodych masz takie pomysły?

\* \* \*

— Fred, Fred, kochasz mnie?

W głosie Theresy wyczuwało się niepokój. Tym razem Fred nie wysilał się na pozowanie. Jego spokojna twarz była niewinna i zadziwiająco młoda. Chciałoby się powiedzieć: mały chłopiec. Kilka razy potrząsnął głową. Zapukano do drzwi.

— Czy można wejść? — zapytała Mathilda.

Theresa przestraszyła się.

— Sekundę! — krzyknęła.

Naga wskoczyła do łóżka, podczas gdy Fred doprowadził ubranie do porządku.

— Proszę wejść.

Właścicielka zawodowo dyskretnym spojrzeniem rozejrzała się po pokoju. Theresa bardzo zażenowana usiłowała wyjaśnić:

— Poczuliśmy się jak u siebie... Nasze ubrania były mokre...

Nagle przypomniała sobie słowa Freda i szybko odwróciła się, aby nie można było jej poznać. On rozciągnięty na łóżku, chował się za poduszkę. Ale Mathilde była zajęta czymś innym. Dyskretnie spoglądała na bieliznę dziewczyny, rozrzuconą po całym pokoju. Postawiwszy tacę na stole przybrała fałszywie rozczulony wyraz twarzy, wyraz twarzy ludzi już niemłodych, którzy są zazdrośni o młodość.

Wróciwszy do męża uśmiechnęła się tajemniczo.

— Charles! Co ci powiedziałam przed chwilą?

— Nie pamiętam już. — Był zaskoczony.

— To nie jest jego żona.

— Powiedziała ci to?



— Nie, ale widziałam jej bieliznę. To biedna mała. Gdybyś to widział... On mimo wszystko z takim samochodem musi mieć dobrą sytuację! A zresztą... ona nie miała biustonosza.

— I co z tego? — zdziwił się Charles.

— Jak to? Wszystkie mężatki noszą biustonosze! To jest na pewno jego kochanka. Nie jego żona.

\* \* \*

Fred rzucił się w kierunku tostów.

— Kochasz mnie? — spytała ponownie Theresa.

Patrzył na nią śmiejąc się. Wyglądała jak zbłąkany pies ze swymi smutnymi oczyma, schowana pod pościelą.

— Wszystko w swoim czasie. Jedz — odpowiedział.

— Nie jestem głodna.

Czuła się nieszczęśliwa, miała ochotę litować się nad sobą, ale nie ośmieliła się dąsać. Z Fredem to nigdy się nie zmieni. Napełniła filiżankę, którą wypił jednym haustem. Najspokojniej w świecie jadł tosty z serem i konfiturą.

— Żeby cię kochać, najpierw muszę nabrać sił.

Uśmiechnęła się lekko. Swobodne zachowanie Freda i jego zapewnienia zawsze ją zwodziły. Odstawił filiżankę i pocałował ją w dłoń. Czule pogłaskał jej policzek.

— Zabawna jesteś — stwierdził, dumny z niej. — Twoja namiętność występuje z brzegów niczym piana... — Spodobało mu się to porównanie. — Co o tym myślisz? To piękne jako obraz... Namiętność porównana do piany... Pozostawia cię to obojętną?

Chciała bawić się z nim, ale była zbyt przygnębiona. Wybuchnęła:

— Co ci jest?

— Nic, Fred, zapewniam cię.

— Więc dlaczego się dąsasz? Jesteśmy tu dla ciebie... Tak, tak, nie protestuj. Myślisz, że to jest dla mnie? Ja lubię spędzać weekendy na medytowaniu. Zrobiłem to dla ciebie. Kradnę samochód i finansuję ci pobyt na wsi...

Lubiła go, gdy wpadał w złość. Bóg wie dlaczego, ale był to jeden z męskich atrybutów. Przerwała mu nieśmiało:

— Myślisz, że będziemy mogli pobrać się niedługo?

Właśnie pił drugą filiżankę herbaty, zakrztusił się.

— Ty to masz pytania! Skąd mogę to wiedzieć?

Nalegała przysuwając się do niego.

— Przecież mnie kochasz. Sam powiedziałaś, że chcesz mnie poślubić.

Włożył do ust ogromny kęs tosta, aby dać sobie czas na zastanowienie. Nie mógł stracić twarzy przed tą jedyną osobą, która traktowała go poważnie. Theresa usiadła na fotelu. Płaszcz, który miała na sobie, rozchylił się ukazując nogi tak kuszące i zgrabne w półcieniu. Fred zakończył swoje medytacje.

— To niesłychane! Poświęcam życie, aby walczyć z przesądami mieszczańskimi, a ty mi tu o ślubie... Nie jesteś zdolna od czasu do czasu poświęcić interesu dla dobra ogółu?

Tak naprawdę wcale nie chciał się zdenerwować, Theresa była taka ładniutka. Wzruszył ramionami i usiadł na brzegu fotela kładąc jednocześnie dłoń na jej odkrytym kolanie.

— Zresztą co ci to da? Czy teraz nie jesteś szczęśliwa?

— Tak, Fred, ale jest jeszcze coś...

— Przestań! Pomyśl o nas. Jesteśmy tutaj razem...

Głos Freda stawał się chrapliwy, jego dłoń głaskała ciało dziewczyny. Theresa czuła się zniewolona przez uczucia, jednak broniła się. Ciągłe do niej mówił, znał bowiem siłę własnych słów i ich wpływ na nią. Chciał ciągle widzieć się wielkim w jej oczach. Już się nie broniła, zaczął od pocałunku, z zasady wówczas zupełnie traciła głowę. Jednak tym razem uwolniła się z jego objęć pytając znów:

— Fred, poślubisz mnie?

— Oczywiście — odparł pośpiesznie — to uzgodnione, czyż nie?

Chciał nadal ją całować, aby zlikwidować ten niezrozumiały upór.

— Mimo że jest to mieszczańskie? — nalegała, cofając się przed jego pocałunkami. — Fred, odpowiedz jasno... Nie zostawisz mnie?

Tego było aż nadto dla próżności chłopca. Podniósł się z kolan.

— Odpowiedzieć ci jasno w tych okolicznościach, to uwłacza mojej godności. Posłuchaj mnie dobrze, bo sama nigdy nie zdasz sobie sprawy. Jeśli chodzi o świadomość, nic nie jesteśmy sobie winni. Spędzam z tobą przyjemnie czas, tobie również dobrze jest

ze mną. Nie można powiedzieć niczego innego. To tyle, jeśli chodzi o twoje pytanie.

Była godna uwielbienia z głową lekko pochyloną usiłując zrozumieć. Płaszcz miała rozchylony na piersiach.

Nagle złagodniał, pocałował jej dłoń mówiąc żartobliwie:

— Prawdę mówiąc, jestem nawet wariatem dla ciebie. Znasz moją zasadę: Freddy kocha najlepiej!

Wybuchnął śmiechem i klęknął przy niej biorąc ją w ramiona. Theresa pozwoliła mu na wszystko. Skapitulował:

— Oczywiście, że zostaniesz moją żoną. Czego bym nie zrobił, aby zdenerwować ojca?

— Naprawdę, Fred? Przyrzekasz?

Szeroko otworzył oczy.

— Co ci jest, Thereso?

Uśmiechnęła się uspokojona, z oczu spłynęły jej łzy radości.

— Jestem w ciąży, Freddy.

Otworzył usta, ramiona mu opadły. Przytuliła się do niego.

— Jestem taka słaba, Freddy... Taka mieszczańska jeszcze... To nie moja wina, ale... Nigdy nie miałabym odwagi, aby wychować je sama...

## 8.

Genevieve stała nieruchomo w przedpokoju mieszkania na ulicy Molitor, stała opuszczona jak żaglowiec pozbawiony wiatru, przy końcu swej wędrówki. Zmęczona spoglądała na brata. Oddychał ciężko, jego twarz była jeszcze zagniewana. Wymownym gestem kazał służącej oddalić się i usiadł ciężko.

— Czy jesteś teraz przekonana? — spytał. — Nie ma go tutaj... Mogłaś się upewnić...

Usiłowała odpowiedzieć „tak”, ale nie mogła. Słowa grzęzły jej w gardle i ciągle miała wrażenie, że coś utraciła, że cud się nie udał. Georges odwrócił się, był najwyraźniej w złym humorze.

— Warto było? Biegłaś za mną jak szalona po tych schodach, zbulwersowałaś moich sąsiadów, pod pretekstem, że w międzyczasie on musiał wrócić. Kiedy pomyślę, że cię słuchałem... — Podniósł się z trudnością. — Dobranoc, Genevieve. Spróbuj zasnąć.

— Idziesz?

Georges skinął głową.

— Idę się położyć. Z tym nie najlepiej — rzekł dotykając serca.

— Sądziłam, że chciałeś..

— Dać mu po mordzie? Tak, czasami wpadam w gniew. Ale teraz wolę zająć się moim zdrowiem...

Nagle zrobiło mu się jej żal, spróbował się uśmiechnąć.

— Rozchmurz się, kochanie, jutro rano pogodzicie się i... — zamilkł widząc twarz siostry wykrzywioną ze złości.

Z trudnością wymawiała słowa:

— Nigdy! Słyszysz?! Nigdy! Gdyby jeszcze tu był. Jak on mógł mi to zrobić? Nigdy mu nie wybaczę! Nie opuszczaj mnie, Geor-

ges. Nie zostawiaj mnie samej, proszę cię. Przypomnij sobie, że przyrzekłeś ojcu opiekować się mną...

— Ależ nie zostawiam cię samej...

Rozgorączkowana mówiła dalej:

— Przyznaj, że mi nie wierzysz...

— Ależ nie, wierzę ci... Rozwiedziesz się. Jeśli chcesz, to w poniedziałek pójdziemy do mojego adwokata.

— Nie! Za to, co ci zrobił...

Nie czekając na odpowiedź pobiegła do pokoju męża. Wyciągała szuflady z jego biurka w stylu Empire rozrzucając papiery wokół siebie.

— Czego szukasz? — spytał podążając za nią.

— Jego rachunków. Prawdziwych. W przedsiębiorstwie wszystko jest sfalszowane z powodu urzędu podatkowego, z powodu ciebie i innych swoich dłużników, których wykorzystywał.

Zaniepokojony Georges stał w drzwiach marszcząc brwi. Podała mu trzy grube zeszyty.

— Masz, weź i obejrzyj.

Nie wydawał się być przekonany.

— Dlaczego miałyby zapisywać swoje malwersacje?

Wybuchnęła śmiechem.

— Ach! Mój biedny Georges, jesteś zbyt naiwny, aby się w tym wszystkim połapać. Tak bardzo zagmatwał wszystko, pobierał forszę i wydawał. Już nawet nie wiedział, od kogo pożyczął. Wieczorami czytał mi to dla rozrywki. Śmialiśmy się z tego... — Spojrzawszy na ściągniętą bólem twarz brata pohamowała się trochę. — Ale nie z ciebie, zapewniam cię. Nigdy nie śmialiśmy się z ciebie, Georges. Nie pozwoliłabym na to... — Gwałtownie przylgnęła do brata, który przytulił ją do siebie. — Wiesz, jak bardzo cię kocham, Georges, jak bardzo mi na tobie zależy. Nie zostawiaj mnie w rękach tego drania. On mnie kiedyś zabije. Jest do tego zdolny...

— Ależ, kochanie, nie denerwuj się tak.

Rozdarty między potrzebą spokoju a czułością, delikatnie gładził jej włosy. Destrukcyjna wściekłość siostry przerażała go. Z pewnością będzie jej potem żałować.

— Posłuchaj mnie. Noc przynosi radę. Obmyślimy wszystko w poniedziałek. Aż do tej pory nic nie możemy zrobić. Jeśli jesteś

nadal zdecydowana, wniesiemy pozew o rozwód i czekając... połóż to na miejsce — podał jej zeszyty, których nie chciała wziąć. — Schowaj je, żeby nawet nie wiedział, że je widziałem.

Genevieve przemogła się, aby mówić spokojnie:

— Sądzisz, że jest to tylko jeden z moich zwyczajnych kryzysów? Mylisz się. Już wiesz wszystko, nie chcę wracać do mojej decyzji. Zależy mi, aby postawić siebie samą przed faktem dokonanym. To dlatego daję ci jego rachunki. Trzeba go wsadzić do więzienia. To posłuży do rozwodu.

Poklepał ją po policzku.

— To ty jesteś naiwna, kochanie. Fakt, że jesteś żoną oszusta, nie unieważnia ślubu. To nie ma z tym nic wspólnego. Potrzebujesz bardziej przekonującego powodu.

— Przyłapmy go na gorącym uczynku — zaproponowała.

— Gdzie?

Zastanawiając się gryzła palce.

— Musi być na Montmartrze. Chodźmy tam.

Georges rozłożył ramiona w geście bezsilności.

— Nie do nas należy przyłapanie go na gorącym uczynku, to musi zrobić komisarz policji.

— Mam pomysł! A gdybym tak zawiadomiła komisariat o zniknięciu mego męża?

Naprawdę zmęczony Georges usiadł na brzegu łóżka. Przyciągnął siostrę ku sobie.

— Ta historia z rozwodem to na serio?

— Tak, Georges.

— Zastanów się dobrze, moja mała. Jeśli ci na tym bardzo zależy, będę postępował inaczej. Dotychczas oszczędzałem Julię, abyś ty była szczęśliwa. Jeśli go już nie chcesz, będę działał metodycznie, aby odsunąć go od ciebie.

— Zależy mi na tym, Georges. Chcę, żebyś go wsadził do więzienia.

— W porządku, chodźmy.

Zaniepokoiła się.

— Gdzie?

— Twój pomysł jest wspaniały. Zawiadomisz policję o zniknięciu męża. Będą go szukać i jeśli znajdą go w towarzystwie tej pani, być może wówczas zeznanie inspektorów będzie miało

taką samą wartość, jak przyłapanie go na gorącym uczynku. Zna-  
jąc numer wozu, łatwiej będą mogli go odnaleźć.

— A to? — spytała wskazując na zeszyty.

— Wniosem skargę w poniedziałek rano.

— Natychmiast, Georges. Jesteś zbyt dobry, litujesz się nad  
nim, a on na to nie zasługuje.

— Możliwe, ale nie wówczas, gdy się naprawdę zdecyduję.  
Będę kontynuował sprawę nawet bez ciebie. Masz jeszcze czas,  
żeby powiedzieć nie, jeszcze nie zacząłem... — Usiłował uchwycić  
jej umykające spojrzenie. — Zostawiamy tę sprawę? — zapropono-  
wał.

Spojrzała na niego oczyma pełnymi łez.

— Chcesz, żebyśmy porozmawiali o tym jeszcze jutro ra-  
no? — spytał.

— Co będziesz teraz robił?

— Powiedziałem ci już. Idę się położyć.

— A ja?

— Nie wiem, kochanie.

— Nie, Georges. Nie zostawimy tak tej sprawy. Nie opuszczaj  
mnie.

Włożył zeszyty do kieszeni swego płaszcza i rzekł do siostry:

— Chodźmy na komisariat. Słuchaj: powiesz, że twój mąż nie  
wrócił dziś wieczorem do domu. Powiesz o waszej rozmowie tele-  
fonicznej, ale nie mów, że widziałaś go odjeżdżającego samocho-  
dem.

— Dobrze.

Wyszli razem, tuż obok siebie. Zupełnie tak jak kiedyś, gdy  
siostra szła obok swego dużego brata.

\* \* \*

U istot słabych upór zastępuje czasami wolę. Julien zdecydował  
się spróbować. Zszedłby wzdłuż kabli. Odwagi dodawało mu  
wspomnienie sukcesów gimnastycznych jeszcze z czasów szkol-  
nych, gdy profesor zawsze stawiał go za przykład, był wówczas  
najlepszy w ćwiczeniach na linie.

Najpierw usiadł spuszczać nogi, następnie ostrożnie prze-  
ślizgnął się przez otwór.

Odczucie próżni ogłuszyło go, przez chwilę walczył z zawrotem głowy.

Próbował wyobrazić sobie, że wymiary próżni są od tej chwili ograniczone. Wyciągnięty, starał się dotknąć muru nogami. Ale było za daleko. Zagryzł wargi. Musiał to zrobić. Na szczęście czuł, że jest w formie. Powoli jego tułów, potem głowa zniknęły w otworze.

Zawieszony na rękach, z palcami zaciśniętymi na śliskich brzegach włazu, zaczął się bać. Miał wrażenie, że to koniec. Czuł niemal jak puszcza palce i długo leci w dół, na końcu rozbijając się. Ocknął się z koszmaru zdziwiony, że jeszcze oddycha, dyszy ze strachu, ale żyje. Instynktownie, aby uspokoić przyspieszone bicie serca, wspominał spokojne i szczęśliwe życie z Genevieve,, które od tak niedawna udało im się stworzyć. Nie myślał o Bordgrisie. Tylko o zdobytej ponownie wolności... ale najpierw musi wyjść z tego więzienia!

Dreszcz energii przebiegł wzdłuż jego mięśni. Udało się. Był w pełni sił fizycznych. Spróbował jeszcze raz. Jego nogi tak gwałtownie uderzyły o mur, że przez chwilę zdawało mu się, że upadnie. Ale radość, że udało mu się dotknąć muru, zniweczyła strach. Więc to było możliwe! Badał dokładnie ściany próżni w poszukiwaniu kabli. Już wiedział, że tam są.

Pierwsza próba nie udała się. Mur okazał się śliski. Wspiął się, aby zbadać jego drugą stronę. Ponownie wstąpił w ciemność.

Nagle dziki krzyk wyrwał się z gardła Juliena. Coś poruszyło się pod jego stopą! Balansował niczym na trapezie. Tak... Tak... Z pewnością to są kable i jemu udało się je dosięgnąć. Łzy spływały po jego policzkach, a on nawet o tym nie wiedział. Palce aż zbieleły utrzymując ciężar ciała. Wyrzucił naprzód lewą stopę i niemalże osłabł z emocji czując muśnięcie na swojej kostce. Kabel! Miał go! Ostrożnie owinął go wokół uda. Potem zwykłą igraszką będzie trzymanie kabla w dłoniach.

Rozgorączkowany zapomniał, że jego ręce... Lewa nagle ustąpiła. Przestał oddychać, zamknął oczy w ciemnościach. Kabel wymknął mu się.

Utrzymując ciężar ciała jedynie na lewej ręce, wołał Genevieve na pomoc: To dla ciebie to zrobiłem!... W przyspieszonym tempie ujrział przed oczyma całe swoje życie. Nie ośmielił się już oddy-



chać. Nie zdawał sobie sprawy, że jego ręka sama z siebie, jakby automatycznie, znów chwyciła brzeg włazu. Po chwili wróciła świadomość, śmiertelnie zmęczony nie poruszał się. Jego oddech, szybki i krótki, wypełniał ciemną ciszę jego przeraźliwej egzystencji.

Jego odrętwiały umysł znów zaczął pracować. Ostatkiem sił wrócił do kabiny, nie był już w stanie poruszać się. Drżał na całym ciele, na wpół omdlały, niemalże unicestwiony.

\* \* \*

Komisariat był podobny do wszystkich komisariatów w Paryżu, posępny i ponury, z plakatami na ścianach. Dyżurującemu najwyraźniej chciało się spać, ziewał pisząc oświadczenie. Genevieve cała się trzęsła, Georges cały czas musiał ją wspierać.

— Courtois z „S” czy „Y”? — spytał żandarm przecierając oczy.

— O, I, S — pośpieszył z wyjaśnieniem Georges.

— O której godzinie dzwonił do pani?

— Słucham?

Genevieve była nieobecna duchem. Georges przygryzł wargi.

— O której godzinie Julien do ciebie zatelefonował?

— On... On do mnie nie telefonował...

Żandarm rozbudził się i uważnie przyglądał się kobiecie. Georges potrząsnął siostrą.

— Przecież mówiłaś mi, że rozmawialiście przez telefon.

— Tak, ale to ja do niego dzwoniłam.

— Chyba pół do siódmej — powiedział Georges.

— Od tego czasu pani go nie widziała?

Georges czekał, aż Genevieve odpowie. Ona myślała o czymś innym. Bała się tego przybytku sprawiedliwości. Brat odpowiedział za nią:

— Nie, proszę pana, nigdzie go nie ma. Ani u niego w domu, ani w biurze, ani u mnie. Nigdzie.

Żandarm zadowolił się stwierdzeniem:

— A jednak gdzieś musi być.

— Kiedy będzie pan mógł powiedzieć nam, czy...

Tamten wykonał gest, który mógł oznaczać wszystko.

— To czasami jest do załatwienia w ciągu kilku minut... dzwoni-  
my do szpitali, do kostnic... Kwestia szansy.

Genevieve zaczęła popłakiwać.

— Będzie pan tak uprzejmy i zawiadomi mnie, gdy będzie coś  
wiadomo? Moja siostra pójdzie do domu, czekając... Nie mogę  
zostawić jej samej w takim stanie...

— Pański adres? — westchnął funkcjonariusz prawie zasypia-  
jąc.

\* \* \*

Julien podjął kolejną próbę. Tylko teraz nie wiedział już, z któ-  
rej strony mur jest dobry. Orientował się jako tako. Zaczynał już  
tyle razy. Pot spływał mu z czoła, wrócił do swoich niebezpiecz-  
nych akrobacji.

W drugiej próbie udało mu się chwycić kabel. Trzymał go ca-  
łym sobą. Był tak szczęśliwy, że pozwolił sobie na odpoczynek.

Już wiedział co ma robić. Musi zejść, trzymając się kabla, aż na  
parter, włączyć prąd. Zniszczyć kompromitujące papiery w swoim  
biurze. Uwaga! Nie może zapomnieć o zatarciu śladów swego po-  
bytu w windzie i o wyłączeniu prądu przed wyjściem. Ale co  
powie Genevieve, gdy wróci do domu? Potem o tym pomyślę!  
Mocno trzymał kabel. Jego pierś unosiła się regularnie. W tym  
samym rytmie powoli opuszczał się na rękach coraz niżej. Upajał  
się wyższością człowieka nad materią. Połączenie siły mięśni z ro-  
zumem wprawiało go w dumę. Niczego nie żałował.

Nagle jego noga, owinięta wokół kabla, natrafiła na opór. Obraz  
tyle razy obserwowany, nigdy nie odczuty, oślepił go. Przystanek  
końcowy! Wszyscy wysiadają! To już koniec!

Tak blisko celu?

Ale na jakiej wysokości mógł się znajdować? Równie dobrze  
mógł to być parter jak ósme piętro! A może po prostu puścić  
kabel?

Sam nie wiedział. Mimo wszystko jednak opanowała go irracjo-  
nalna chęć, aby na przekór wszystkiemu wierzyć w możliwość  
powodzenia. Zapomniał jednak o podstawowej sprawie: rozwinięty  
kabel musiał rozciągać się wzdłuż dwunastu pięter. Kabina znaj-  
dowała się na wysokości około szóstego piętra...

Założyć to znaczyło zrezygnować z uwolnienia się. Chyba, że

wyrzeknie się życia. Puści się i zdechnie na dole. Wolał wyobrazić sobie, że znajduje się kilka metrów nad ziemią. Owinąwszy sznur kilka razy wokół ramienia, zawiesił się... miał nadzieję, że uda mu się dotknąć ziemi palcami stóp. Nic... A być może znajdował się kilka centymetrów od celu? Okrutność własnego losu napełniła go wściekłością. A gdyby tak skoczyć, aby się przekonać? I nagle zobaczył siebie spadającego w przestrzeń, żeby zginać, żeby skończyć... Kiedy?

Uporczywie trzymał kabel. Coś, czkawka lub szloch, wstrząsało nim. W najlepszym z wypadków utrzyma się jeszcze na kablu... narażając swoje nędzne życie.

\* \*

Genevieve nie miała już odwagi. Już nawet nie miała sił, aby płakać. Bała się Georges, jego zmarszczonego czoła, twardego spojrzenia. Wychodząc z komisariatu, wzięła go pod rękę.

— Szybko, straciliśmy już dość czasu — powiedział.

— Gdzie teraz idziemy?

— Zobaczysz.

Niemal wepchnął ją do samochodu, szybko ruszył z miejsca. Prowadził nerwowo. Był późny wieczór.

Żał mu było siostry, ale pewne posunięcia trzeba było wykonać koniecznie. Nie ośmielał się spojrzeć na nią w obawie, że wyczyta w jej oczach chęć zmiany decyzji. Cisza wydała mu się nieznośna.

— Dopóki to wszystko się nie skończy, zostaniesz w domu.

— Tak, Georges.

Pogłaskał ją po rękę.

— Powiedz, czy pamiętasz, co mówiłaś przed chwilą?

— Tak.

— Ty też będziesz przesłuchiwana. Nie możesz sobie przeczyć. To nie jest trudne. Pamiętaj, że nic nie wiesz. Czekalaś aż do dziesiątej wieczorem i zawiadomiłaś o zniknięciu. Bałaś się, że mąż miał wypadek. Uświadom to sobie. Zresztą ja też tam będę.

— Dobrze, Georges.

— Rozumiesz — kontynuował — to ułatwi rozwód. Nigdy nie podejrzewałaś, że mąż cię zdradza. Jesteś biedną nieszczęsną żoną, która się niczego nie domyślała...

— Zgoda, ale...

W zdenerwowaniu uderzył dłonią o kierownicę.

— Nie ma żadnego „ale”. Jeśli zmienisz zdanie, masz moje słowo, że zostawię cię samą.

— To nie to.

— A więc co?

— Właśnie myślałam... Wyobraź sobie, że on naprawdę miał wypadek.

— Gdyby tak było, powiedzieliby to od razu w komisariacie.

— Georges, dlaczego jedziemy na Montmartre?

Westchnął, mając po dziurki w nosie całej tej historii.

— Jeśli uda mi się ustalić gdzie on jest, a potem zawiadomić policję, to będzie lepiej... Nie stchórzysz?

— Nie, nie — odpowiedziała zamyślona.

Skrećili w lewo w kierunku bulwarów. Genevieve odezwała się z nutą żalu w głosie:

— Nie sądzę, aby...

Uniósł się.

— Posłuchaj! Nie trzeba było zaczynać! Ostrzegalem cię. Teraz pozwól mi działać.

Plac Pigalle roił się od samochodów i ludzi. Georges zostawił wóz przed apteką. Wysiadając z samochodu Genevieve odkryła całe niemal nogi, grupa czarnych amerykańskich żołnierzy otoczyła wóz wydając dzikie okrzyki na całą dzielnicę. Georges pociągnął siostrę za rękę.

Mieli trudności z przedostaniem się przez tłum. Zwłaszcza Georges, któremu zdawało się, że widzi sylwetkę Julienu i rzucił się naprzód.

Przed klubem nocnym grupa ludzi oglądała z zaciekawieniem podświetlone fotografie nagich kobiet. Musieli ominąć tych amatorów sztuki. Jakiś człowiek zbliżył się do nich. Georges go nie spostrzegł, Genevieve wzięła go za żebraka i ze ściśniętym sercem otworzyła torbę. Teraz z kolei nieznamy się pomylił, myśląc że ona chce coś kupić od niego. Aby zachwalić towar i zachęcić do kupna, mężczyzna pokazał ukrywaną w dłoni fotografię. Niewinnie rzuciła na nią okiem. Natychmiast zebrało się jej na wymioty.

— Georges! — wrzasnęła.

Sprzedawca uciekł. Georges podbiegł do niej i chwycił za ramiona.

— Nie można cię zostawić samej nawet na minutę! Co się znów stało?

Wyciągnęła rękę.

— Tam... Ten mężczyzna...

— Julien?

— Nie... On chciał... Och!

Georges wykonał gest wyrażający niezadowolenie i zatrzymał przejeżdżającą taksówkę.

— Z tobą nic mi się nie uda. Wracaj. Tak będzie lepiej. Powiesz Jeanne, żeby ci dała pokój gościnny. Jak wrócę, opowiem ci wszystko. Bądź spokojna.

Nie chciała. Wepchnął ją jednak do wozu, rzucając taksówkarzowi:

— Ulica Varenne...

\* \* \*

Julien ostatkiem sił wspiał się do kabiny, ręce miał zakrwawione. Bez oddechu zwałił się na podłogę. Na chwilę stracił rozeznanie w tej strasznej rzeczywistości. Potem powoli świadomość wróciła. Odwrócił się na plecy. Papieros...

Potrzeba zapalenia stała się najważniejsza. Miał papierosy w kieszeni marynarki. Drżącymi palcami wyjął całą paczkę. Jak w dobrych, starych czasach wojny. Na szczęście Bóg wynalazł tytoń!...

Biała paczka *Disque Bleu* odznaczała się w ciemności. Niezręcznie zaczął rozrywać papier. Paczka wysunęła mu się z rąk i upadła tuż przy otworze, zachwiała się i spadła... Zdrętwiały z wściekłości zawiesił się nad przepaścią. Powstrzymywał oddech w tej przerażającej ciszy. Usłyszał lekki odgłos na dole, bardzo daleko... Paczka upadła na ziemię.

Julien zaczął płakać, uderzając pięściami w podłogę, krzyczał niczym opętany...

\* \* \*

Fred i Theresa spali trzymając się za ręce. We śnie twarze ich były czyste niczym twarze aniołów.

## 9.

Samochód z tablicą TT, nowy jaguar, jechał po drodze do Wersalu ciągnąc ogromną, białą przyczepę. Za kierownicą Pedro Carrassi spoglądał jednocześnie na drogę i swoją żonę, obserwując ją we wstecznym lusterku. Zależało jej, aby siedzieć z tyłu. Był niespokojny, ale przybrał jowialny ton.

— Nie uważasz, że to jest ciekawe, kochanie? Wystarczy wyminąć rowerzystę, aby w tym samym momencie minął cię inny samochód?

Nic nie odpowiedziała.

— Wszystko w porządku, Germaine? Czujesz to powietrze... Ach! Te wakacje czekające na nas!

Jego żona nie poruszyła się. Pedro, widząc jej zimne i twarde spojrzenie, spuścił oczy. Zadrżał.

Przez chwilę jechali w ciszy. Czy ona się czegoś domyśla? — zastanawiał się. Zacisnął dłonie na kierownicy i zwilżył wargi przed kolejną próbą pojednania.

— Czy nie jesteś zadowolona, że jedziemy na wakacje?

Nie odpowiedziała. W lusterku widział tylko jej źrenice, wymowne i tchnące nienawiścią. Nie do zniesienia. Ogarnęło go zniechęcenie. Wszystko było niepotrzebne. Przełknął ślinę.

— *Anda, muchacha* — powiedział na głos. — Uśmiechniesz się do pana?

Kiedyś, gdy byli jeszcze szczęśliwym małżeństwem, sepleniący akcent jego kraju rodzinnego rozśmieszał Germaine. Ale teraz było inaczej. Wstydział się, że robi z siebie błazna, przerażała go własna sytuacja. Powiedział do niej spokojnie:

— Posłuchaj, Germaine. Myślałem, że chciałaś zostać z tyłu,

aby trochę pospać. Ale jeśli siedzisz tam tylko po to, aby odgrywać damę, to możesz usiąść obok swego męża, aby mu dotrzymać towarzystwa.

Dużo go kosztował ten lekki ton. Nigdy nie umiał dobrze kłamać. Jedno zdanie pociągało za sobą drugie. Cóż znaczyła ta postawa Germaine, jeśli nie wiedziała, gdzie jechali w rzeczywistości? Opanowało go uczucie winy, był zdesperowany. Miał tylko jedno pragnienie. Zatrzymać samochód, wziąć żonę w ramiona i czuć zapach jej ciała, ciepły i słodki, z którego nie trzeba byłoby zrezygnować. Otrząsnął się. Nie może poddać się rozpacz. Cokolwiek by go to kosztowało, Germaine musi pojechać do swoich rodziców, do Grasse, nie domyślając się, co ją czeka.

— Jutro, około południa, zobaczysz swoich rodziców. Nie sprawia ci to przyjemności?

Instynktownie położył nogę na hamulcu.

— Usiądziesz obok mnie, moja malutka? Będziemy mogli porozmawiać.

Usta żony nadal były zaciśnięte. Udawał, że tego nie zauważył. Wyłączył silnik, wysiadł i kłaniając się niczym muszkieter jeszcze raz spróbował zażartować:

— Gdyby pani zechciała iść za mną...

Germaine nie poruszyła się. Nie mógł już dłużej ignorować takiego zachowania.

— Kochanie, od tak dawna czekamy na te wakacje! Jeszcze wczoraj, gdy kupiliśmy samochód i przyczepę, wydawałaś się tak szczęśliwa! Od lat nie widziałaś swoich rodziców. Jedziemy z tak daleka. Co ci jest? Powiedz mi.

Wsiadł i usiadł obok niej, wziął ją za rękę, którą odsunęła suchym gestem.

— Germaine! Dlaczego się gniewasz? Co ja ci zrobiłem???

Odwróciła się gwałtownie ku niemu, otworzyła usta, ale nic nie powiedziała. Wbiła paznokcie w dłoń Pédra i rozplakała się.

— Powiedz, kochanie, co ci jest? — zapytał.

Szlochając rzuciła się mu na szyję. Szukała jego ust. Pedro zamknął oczy i starał się uniknąć pocałunku. Czar prysł natychmiast.

— Brzydzisz się mną — powiedziała. — Mogłam być tego pewna!

Objął dłońmi jej twarz.

— Jak możesz, jak w ogóle śmiesz mówić coś podobnego, Germaine? Dla ciebie oddałbym wszystko, cały świat, przecież dobrze wiesz...

Z głową opartą o ramię męża uspokajała się powoli, słuchając tych słów. Głaskał delikatnie jej szyję, wolno przesuwając po niej palcami. Nie stać go było na nic więcej, mógł ją pieścić, trzymać w ramionach, ale nic poza tym.

— Pedro — szepnęła — nie dręcz mnie.

— To ty sama sprawiasz sobie ból. Przecież ja nie mówię nic takiego, co mogłoby...

— Dlaczego nie pozwoliłeś się pocałować? — wykrzyknęła z błyszczącymi oczami.

Uśmiechnął się.

— A dlaczego gniewasz się od razu? — spytał i natychmiast tego pożałował.

Źrenice Germaine zwięzły się gwałtownie, a usta zacisnęły w wąską kreskę. Zaczęła się trząść.

— Germaine!

Objął ją ramieniem i przycisnął do siebie z całej siły.

\* \* \*

Patrząc na nich z daleka, poprzez nie dosuniętą zasłonę, można było sądzić, że całują się namiętnie.

— Chodź stąd, nie patrz na to — powiedziała Theresa ciągnąc Freda za rękę.

— Idioci! Są naprawdę śmieszni! — wykrzyknął krztusząc się ze śmiechu. — Kiedy kobieta tego nie chce, to znaczy, że nie chce. Ja nigdy cię nie zgwałciłem, co?

— Nie, ale chodź już.

Poszedł za nią niechętnie. Już coś innego zaprzątnęło mu głowę.

— To są na pewno Brazylijczycy — mruknął przez zęby.

— Skąd wiesz? — spytała Theresa. — Ja bym nie była taka pewna...

— Trzeba było patrzeć uważniej. Nie zauważyłaś małej chorągiewki na błotniku? To Brazylijczycy.

Odszedł pośpiesznie. Cały czas od rana był w złym humorze.



Theresa wlokła się za nim starając się zrozumieć jego nerwy.

Czekał na nią z chmurnym czołem, dając jej gwałtowne znaki, żeby się pòspieszyła.

— Co teraz zrobimy, Fred?

— Ty sobie nawet nie zdajesz sprawy, w jakim stanie jest nasza biedna Francja! — krzyknął pomijając pytanie. — Istnieje już chyba tylko dla uchodźców. Czy możesz mi powiedzieć, dlaczego ci kolorowi tak nas wkurzają?

— Nie denerwuj się.

Mimo goryczy starał się uspokoić:

— Masz rację, to niczego nie zmieni.

Pchnięty nagłym przypiływem czułości objął ją i delikatnie pocałował w szyję. Idąc tak przy niej czuł się jak mały chłopiec z bagażem doświadczeń. Nagle pomyślał o nie narodzonym dziecku i zrobiło mu się wstyd.

— Mam tylko ciebie — szepnął — ciebie jedyną, kochanie...

Po chwili powróciła do niego ta natrętna myśl i wypełniła go całego jakimś dziwnym, nieznanym lękiem.

— Dziecko! — krzyknął wznosząc ku niebu zaciśniętą pięść.

— Dziecko! To wcale nie jest takie zabawne!

Theresa pociągnęła go za rękaw i spojrzała mu prosto w oczy.

— A co ze mną? — spytała.

Uśmiechnął się lekko zaskoczony, ponownie przyciskając ją do siebie.

— Ty czy ja to prawie to samo, rozumiesz? Ładna historia! Ojciec wypieprzy mnie z domu. To jasne.

— Nie, Freddy.

— Co — nie?

— Dobrze wiesz, że nie wygna cię z domu. Raczej mnie nie wpuści. W najgorszym wypadku zawsze będziesz miał jakiś dach nad głową.

Fred chwycił ją za ramiona.

— To ja będę zabawiać się, a moja żona i dziecko przymierać głodem, jak w melodramatach? Myślisz, że taki jestem?

Wzięła jego rękę i położyła sobie na głowie. W oczach błysnęły jej łzy.

— Nie, Fred, ale czasami dobrze jest usłyszeć coś takiego...

Pocałowała go unosząc się na czubkach palców. Szli dalej.

— Skąd weźmiesz pieniądze? — spytała.

Zacisnął pięści.

— Pieniądze! Ciągłe pieniądze! Cholerny szmal! Gdybym tylko go miał...

— Fred, nie oszukujmy się. Nie masz nic. Trzeba coś zrobić.

— Jak? Szmal jest tam, zobacz, tam.

Ruchem ręki wskazał samochód z przyczepą campingową daleko za nimi.

— Im nigdy nie brakuje forsy. Szmal jest tylko dla kolorowych: jaguar za milion, dziewczyny gwałcone na tylnym siedzeniu za kilka marnych peset. Boże, gdybym miał trochę forsy... Nie wiesz, jak to zrobić?

Pozwoliła objąć się w biodrach i prowadzić. Westchnęła. Nigdy nie mogli dojść do końca dyskusji. Z Fredem było to niemożliwe.

— Pojedziemy nad morze — myślał głośno — dopracujemy scenariusz, potem pojedziemy do Paryża nakręcić wnętrza. I powiem ci, że to, czego ci teraz najbardziej potrzeba, to rola... Czekaaj, daj mi pomyśleć...

— Przypuszczam, że rola matki...

— Wracajmy! — zdecydował, gwałtownie ściągnięty na ziemię. — Nie można z tobą poważnie porozmawiać.

Zawrócili w ciszy. Słońce grzało, pogoda była piękna.

\* \* \*

Cudzoziemiec z niezwykłą delikatnością przemawiał do żony, która powoli uspokajała się słuchając jego słów.

— ...a kiedy pobraliśmy się, pamiętasz, czyż nie obiecałem ci, że pewnego dnia zabiorę cię do Francji? Właśnie teraz nadszedł ten dzień i oto jesteśmy w twoim kraju. Wkrótce zobaczysz swoich rodziców. To będzie wielkie święto, coś jak powrót syna marnotrawnego, nie sądzisz?

Potok słów zdawał się ją usypiać. Ułożył ją na ławce. Przesunął ręką po twarzy odwracając się jednocześnie, żeby nie zobaczyła, że płacze.

— Pedro — zawołała.

Zanim się odwróciła, wytarł oczy.

— Tak, kochanie?

— Musiałam zostawić torebkę w przyczepie, gdzieś między bagażami. Możesz mi ją przynieść?

Uśmiechała się. Pedro przyjrzał się jej uważnie. Była urocza.

— Tak, oczywiście.

Jednym susem znalazł się w środku przyczepy campingowej. Wszystkie walizki Germaine były na swoim miejscu, ale torebki nie mógł nigdzie znaleźć. Zbliżył się do przedniej szyby, żeby w nią zapukać i w ten sposób zwrócić uwagę żony i zapytać ją na migi, gdzie położyła torebkę. Z góry dostrzegł Germaine wyjmującą skrycie swoją torbę z kąta, gdzie widocznie była wcześniej schowana. Momentalnie zaschło mu w gardle. Germaine otworzyła ją, wyjęła z niej miniaturowy rewolwer i sprawdziła magazynek. Zimny pot oblał mu czoło. Może czuła, że jest obserwowana, śledzona? Zamknęła torbę i odwróciła się. Pedro mimo paraliżującego strachu zdołał się uśmiechnąć. Germaine pokazała mu torbę, jednocześnie wypowiadając bezgłośnie „przepraszam cię”. Machnął ręką, że to nieważne i pokazał jej butelkę. Germaine kiwnęła głową.

Odwrócił się i rzucił na leżankę kryjąc twarz w dłoniach. Co robić? Co robić? Setny raz zadawał sobie to pytanie. Słyszając kroki żony podniósł się natychmiast.

— Co robisz, Pedro?

— Jest tak ładnie, więc pomyślałem, że można wynieść stolik i krzesła i wypić aperitif na świeżym powietrzu.

\* \* \*

Fred wymyślał Theresie, która szła zbyt wolno.

— Mówiłem, że lepiej było wziąć samochód! Ale nie, PANI chciała iść na piechotę! Bo PANI po prostu się boi!

To ostatnie słowo zawsze wywoływało na jego twarzy grymas, którego nigdy nie mógł opanować. Jego głos stał się ostry:

— Wejdiesz pierwsza. Nieważne czy cię rozpoznają, czy nie. Ja to co innego, rozumiesz zresztą. Musisz zrobić tak, żeby przy wejściu nie było nikogo. Potem dasz mi znać.

## 10.

Wyglądał na zmęczonego, wynędzniałego i załamane go. Przedstawił się, niedbale machając legitymacją służbową.

— Inspektor Givral. Przychodzę w sprawie zgłoszonego zaginięcia.

Zaskoczona służąca pospieszyła do salonu.

— Proszę pana, proszę pana, to policja!

— Wreszcie! Chyba jednak istnieje jakaś sprawiedliwość we Francji — powiedział Georges do Jeanne i Genevieve.

Jeanne krzyczała na przygnębioną Genevieve:

— Przestań już! Rozumiem, że to jest straszne, ale przecież sama chciałaś się rozwieść, nie? Więc po co to wszystko? Uspokój się!

Genevieve zadrzała.

— Policja... Taki wstyd...

— To nie jest odpowiednia chwila na skrupuły. Idź tam, moja droga, no, dalej, śmiało! — powiedział Georges i pchnął ją nieznacznie ku drzwiom, żeby dodać otuchy.

— Georges, chodź ze mną... — błagała.

— Zaraz przyjdę. Nie bój się.

Inspektor siedział przy wejściu i machał nogami, robiąc przy tym dziwne miny. W chwili, gdy zobaczył Genevieve, wstał uprzejmie i natychmiast usiadł z powrotem.

— Proszę mi wybaczyć, że przeszkadzam w niedzielę. Pani Genevieve Jourlieu, żona pana Courtois?

Potwierdziła w milczeniu, z sercem bijącym jak oszalałe, żeby tylko niczego nie chciał od niej wyciągnąć...

Inspektor ciągnął monotonnym głosem:

— Zgłosiła pani zaginięcie męża... — spojrział do czarnego notatnika. — Wczoraj, w sobotę, o dwudziestej drugiej czterdzieści, zgadza się?

Wyrwał się jej krzyk przerażenia:

— Odnalazł go pan? — Zaczęła wyłamywać palce u rąk. — On nie żyje, prawda?

Givral spojrział na nią ponuro i zarazem z lekkim zdziwieniem.

— Nie, droga pani. Proste uzupełnienie danych.

Genevieve opadła na krzesło.

Ciekawe — pomyślał. — Wygląda na zawiedzioną, że on żyje...

Głośno powiedział:

— Po raz ostatni widziała go pani tego samego wieczora, w sobotę, o osiemnastej trzydzieści. Zgadza się?

— Niezupełnie — wtrącił Georges, pojawiając się w najbardziej odpowiednim momencie.

— Ależ tak! — zaprotestowała. — Spotkałam...

— Proszę pozwolić mi powiedzieć — przerwał Georges zwracając się do Givrala. — Ona go NIE WIDZIAŁA, tylko rozmawiała z nim przez telefon. A to nie to samo!

Inspektor pokiwał głową, ssąc końcówkę ołówka.

— W porządku — powiedział notując sprostowanie. — A gdzie wtedy znajdował się pani mąż?

— U siebie, w biurze. Przy bulwarze Haussmanna, w budynku *Uma-Standard*. To na rogu...

Givral machnął ręką, że wie gdzie to jest, więc Genevieve zamilkła patrząc, jak zapisuje coś w notatniku.

— Jest pani pewna, że nie dzwonił do pani z innego miejsca?

— To ja do niego dzwoniłam.

Inspektor zaczął masować sobie kostki u nóg. Nie wyglądał już tak służbiście.

— Jestem na nogach od południa w sobotę — uśmiechnął się przeproszająco. — Siłą rzeczy...

— Widzę, że pracuje pan nawet w niedzielę... — wtrącił Georges.

— To zależy. Gliniarze pracują na zmiany.

Znowu zaczął gryźć ołówek. Genevieve zauważyła, że miał zadziwiająco białe zęby.

— Tak... To znaczy, że od tego czasu już go pani nie widziała?

Genevieve pokręciła głową, czyniąc beznadziejny wysiłek, żeby nie wybuchnąć płaczem. — Żadnej wiadomości o nim?

— Ani słowa? — upewniał się Georges.

Inspektor zamknął notatnik. Georges podszedł do niego.

— Niech mi pan powie: wiecie już coś?

— Nie, ale zaczniemy działać — odparł Givral pokazując na brulion przed schowaniem go do kieszeni.

W Georgesa jakby strzelił piorun.

— To znaczy, że do tego czasu niczego nie zrobiliście?! To znakomicie! Policja we Francji jest naprawdę niepowtarzalna!

Givral wzruszył ciężko ramionami.

— Szpitale i komisariaty zostały zawiadomione. Czego by pan chciał jeszcze? W sobotę wieczorem jest zawsze dużo takich „zaginięć”... Na ogół po północy wszystko wraca do normy.

Genevieve pohamowała ręką krzyk.

— Nie mówię tego po to, żeby panią obrazić — usprawiedliwiał się inspektor. — Ale mężczyźni... pani wie, co mam na myśli?

Nie panowała już nad sobą. Ukryła twarz w dłoniach i płakała. Georges był wściekły. Givral zagryzając wargi próbował jakoś naprawić gafę.

— Proszę mnie zrozumieć... Najczęściej wracają do domu w poniedziałek rano... Dlaczego pani tak płacze... A może wie pani, gdzie on teraz jest?

Gwałtownie podniosła głowę. Wyglądała teraz jak osaczone zwierzę. Georges wtrącił szybko:

— A propos... Chciałbym panu powiedzieć, że w poniedziałek rano mam zamiar wnieść sprawę do sądu o oszustwo przeciwko mojemu szwagrowi...

— Aha, oszustwo... Ale to już nie moja działka — stwierdził Givral sadowiąc się wygodniej.

— Owszem, bezpośrednio nie, ale mój szwagier ukradł mi pieniądze...

— Georges, błagam cię! To pana nie interesuje!

— Wręcz przeciwnie, droga pani. Lekarzowi, spowiednikowi i gliniarzowi trzeba powiedzieć wszystko, absolutnie wszystko. Czyli pan Courtois ukradł pieniądze. I sądzi pan, że właśnie dlatego uciekł?

— Nie. On ignoruje to całkowicie.

— Aha. I chce pan wnieść skargę do sądu?

— Tak. Na ręce prokuratora. Jutro rano. Całą sprawę odkryłem w sobotę późnym wieczorem.

— Tak... — westchnął głęboko inspektor. — Zdaje pan sobie sprawę, że nie mogliśmy wcześniej o niczym wiedzieć? Oczywiście, zechce mnie pan stale informować o przebiegu sprawy...

Georges ożywił się lekko.

— Czy pana zdaniem może być jakiś związek między zniknięciem a tą kradzieżą?

Genevieve powstrzymała go przesadnym gestem.

— Nigdy w życiu! Powiedział mi to wyraźnie przez telefon!

— Bardzo przepraszam, ale niech się pani zastanowi, jeżeli uciekł z jakąś kobietą, to logicznie biorąc, jest to mniej niebezpieczne niż zniknięcie bez śladu.

— Genevieve! — krzyknął Georges. — Jak w ogóle możesz tak myśleć?

Givral wstał i zaczął chodzić, przysłuchując się uważnie kłótni rodzeństwa.

— Niczego nie zrozumiałeś! — krzyknęła Genevieve.

— To ty tak twierdzisz!

Z wściekłości zabrakło jej słów. Inspektor wyciągnął notatnik.

— On nie wie, że pokazałam ci jego rachunki — syknęła.

— Musiał jednak wiedzieć, że jechał na zerze! Nie miał nic!

— Wcale nie! Przypomnij sobie, jak zapewniał mnie, że cała ta sprawa jakoś się ułoży, że wszystko będzie dobrze.

— Tak, oczywiście. Myślał już o ucieczce i robił aluzje.

— Powiedziałby mi o tym wcześniej! — krzyknęła. — Mówił, że będziemy razem szczęśliwi. On i ja.

— Mówił tak, żebyś się niczego nie domyśliła! Już wtedy spotykał się z tą swoją dziwką!

Genevieve zdawała się uginać pod ciężarem tych słów. Zapadła cisza, którą nagle wypełnił głos Givralla:

— To znaczy, że domniemane zniknięcie było planowaną ucieczką?

Georges spojrzał mu prosto w oczy.

— Fakty są zbyt oczywiste. Mój szwagier oszukał mnie. Mam na to niezbite dowody. I co więcej, ten ptaszek umawia się ze swoją żoną i jednocześnie zwiewa...

— ...ze swoją kochanką — dokończył Givral.

— To pan wiedział! — krzyknęła Genevieve.

— Ależ skąd! Pani brat właśnie to powiedział. Dlaczego wczoraj przy zeznaniu niczego pani nie wyjawiała?

Georges uznał za stosowne wtrącić się:

— Niech pan posłucha, panie inspektorze, zaraz pan wszystko zrozumie. Moja siostra domyśla się jedynie, że jej mąż uciekł z jakąś kobietą, oto cała prawda. Chcieliśmy po prostu, żeby policja go odnalazła, ale przede wszystkim zdobyła nazwisko tej kobiety. To wszystko. Moja siostra chce się rozwieść. Jutro idziemy do adwokata.

— To znaczy, że przyjechała pani do brata tylko dlatego, żeby się tu schronić?

— To jest akurat najmniej ważne — powiedział Georges.

— Tak, rozumiem... Ale jeżeli pani nie mieszka pod swoim własnym adresem, to skąd pani wie, że pan Courtois nie wrócił?

— Niech sobie wraca, albo nie! — krzyknął Georges. — Moja siostra nie chce już mieć nic wspólnego z tym bandytą!

Oczy Geneviève zaszły łzami.

— Pan coś wie, inspektorze. On wrócił, prawda?

Ogarnęła ją szalona nadzieja, była gotowa wszystko wybaczyć. Zanim Givral zdążył odpowiedzieć, krzyknęła do brata:

— Wrócił, widzisz? Nie musisz już go zaskarżać do sądu. Sprzedam biżuterię, futra, mieszkanie, wyjadę gdzieś za miasto. Wszystko ci zwrócę, co do grosza, obiecuję.

Kompletnie zaskoczony Georges nie wiedział, jak zareagować.

— Co ty opowiadasz, Geneviève? Przecież pan inspektor nie takiego nie powiedział... Skąd możesz wiedzieć, że on...

Genevieve nie słuchała go. Podbiegła do Givrala, chwyciła go za klapy podniszczonego płaszcza i potrząsnęła nim. Oglupiały Givral próbował odpowiedzieć.

— Ja... ja byłem tam, byłem na ulicy Molitor. Nie było nikogo. Może był i znowu zniknął...

— Przecież powinna być służąca! — jęknęła rozpaczliwie.

— Sama pani widzi...

Jeszcze raz, bezgranicznie zawiedziona, zaczęła popadać z jednej skrajności w drugą, od pobłażliwości do chęci zemsty.



— Zapewniam panią — zaczął inspektor — że w tej chwili nie ma u pani nikogo. Dzwoniłem wystarczająco długo.

— Na pewno służąca miała wolne popołudnie! — wyjaśniła takim tonem, jakby chciała wypowiedzieć wojnę.

— Jeszcze jedna sprawa. Czy ma pani jakieś zdjęcie męża? To ułatwiłoby nam poszukiwania.

— Tak, ale u siebie...

— Zaraz coś znajdę — wtrącił Georges i wyszedł pośpiesznie. Genevieve starała się unikać wzroku Givrala. Czuła na sobie jego ciężkie spojrzenie.

— Pani brat nie lubi pana Courtois? — spytał.

Pokręciła przecząco głową. — Przypuszczam, że to moja wina.

— A pani?

— Co ja?

— Kocha go pani?

Miała wrażenie, że ten człowiek został nagle obdarzony jakimś ludzkim ciepłem. Chciała rzucić się mu na szyję, żeby wreszcie wypłakać się na ramieniu kogoś, kto wszystko rozumie, ale wszedł Georges. Podał inspektorowi amatorskie zdjęcie. Genevieve błyskawicznie zaprotestowała:

— Nie, nie! Taki nie ogolony, wygląda jak bandyta!

— Bo to jest bandyta! — krzyknął Georges.

Givral schował zdjęcie do kieszeni.

— Czas na mnie.

Szukał spojrzenia Genevieve, żeby wzrokiem przekazać jej iskrę sympatii, ale bez skutku. Poczuli się nieswojo i zaczął się tłumaczyć:

— I jeszcze jeden dzień z głowy. Muszę wracać.

Nagle jakaś myśl błysnęła w głowie Georges'a. Ruchem ręki zatrzymał Givrala.

— Niech pan chwilę zaczeka. Skończył pan służbę, więc jest pan teraz zwykłym obywatelem, panie...

— Givral.

— ...panie Givral. Czy mógłby pan zeznawać pod przysięgą jako świadek, jak normalny obywatel?

— Jako świadek? — przestraszyła się Genevieve.

— Tak. Muszę sprawdzić jedno z twoich przypuszczeń.

W oczach inspektora pojawił się szybko stłumiony błysk.

— Chciałby mnie pan o to prosić? Chodzi o sprawę cywilną?

— Dokładnie tak. Jest to możliwe?

— O Boże, no pewnie! Pod warunkiem, że nie będzie żadnych kłopotów.

— Zapewniam, że nie!

— Georges, co ty chcesz zrobić?

— Zapomnij o tym! Jedna chwilka! — Wypadł z pokoju jak bomba.

Inspektor wziął Genevieve pod rękę.

— Niech się pani niczego nie obawia. W życiu wszystko musi się ułożyć.

## 11.

Zagłębeni w fotelach w hallu, właściciele hoteliku popijali calvados, na który pozwalali sobie zwykle w niedzielę po obiedzie.

— Nie ufam im — odezwała się nagle Mathilde.

Charles uniósł brwi w niemym pytaniu. Mathilde wskazała brodą sufit.

— Naszym gołębcom. Nie lubię ich manier.

— Jakich manier?

— Nie umiem tego wytłumaczyć. Nigdy ich nie widać. Rozpoznałbyś ich, gdybyś ich spotkał na ulicy?

— Na ulicy? No nie wiem. Ale gdyby się pokazali tutaj, to owszem.

— Charles, myślisz że to normalne, te ich sztuczki, żeby ich nikt nie zobaczył? Prześlizgują się po hotelu, ciągle chowając się w cieniu. Kiedy przynosi się im śniadanie, niby przypadkiem stoją w oknie i podziwiają widoki, oczywiście odwróceni plecami!

— Przecież sama mówiłaś, że to ucieczka. Jeżeli porwał tę małą, to nie po to, żeby dać się rozpoznać.

Mathilde pokręciła głową nie przekonana i dopiła swój kieliszek jednym haustem.

— Co oni mogą wyrabiać tam na górze?

Charles zaśmiał się cicho. Mathilde tupnęła z wściekłością.

— Idź tam zaraz i zobacz! Chyba tyle możesz zrobić.

Podniósł się ciężko i bezgłośnie wszedł na schody. Przez dziurkę od klucza zobaczył dwa niewyraźne ciała rozłożone na łóżku. Biedne dzieciaki — pomyślał przyglądając się — śpią.

\* \* \*

Freddy nie spał. Zmrużonymi oczami obserwował uważnie swoją przyjaciółkę. W popołudniowej ciszy próbował objąć myślą doniosłość tego nie przewidzianego wydarzenia: będę mieć dziecko! Co to znaczy — mieć dziecko?

Powiew gorącego powietrza wpadł do pokoju i Theresa odkryła się. Fred dostrzegł jej małe piersi. Pochylił się nad nią już całkowicie rozbudzony. Czując na sobie ciężar jego spojrzenia, dziewczyna obudziła się. Uśmiechnęła się pokazując jednocześnie płaski brzuch.

— Zastanawiasz się, jak będę wyglądać za kilka miesięcy?

— Tak... — wyjąkał zaskoczony. — To takie niezwykle... Ty sobie oczywiście nie zdajesz z tego sprawy, ale ja to... jakby to powiedzieć... to jakby...

— Odpowiedzialność z twojej strony?

Nie chciał tego, ale smukłe ramiona Theresy objęły go za szyję. Przyciągnął ją do siebie.

— Liczę na ciebie, Freddy... Mogę liczyć tylko na ciebie... Bez ciebie jestem zgubiona.

Wszystkimi możliwymi środkami starała się wymusić na nim wyraźną obietnicę, nawet w najbardziej nieodpowiedniej chwili uniesienia. Fred mruknął z niezadowoleniem, kryjąc usta w zagłębieniu jej ramion.

\* \* \*

Charles, skrępowany, cofnął się przełykając ślinę. Na dole żona zadała mu oczekiwane pytanie:

— No i co, widziałeś?

Zaśmiał się.

— Pozwoliłem sobie nawet rzucić okiem przez dziurkę od klucza. No, no, w tym wieku...

— Zaskoczyli cię czymś?

— A jak! Żebyś widziała!

— Mów. Co oni tam robią?

— A jak myślisz? — wykrztusił Charles i westchnął komicznie.

— Ach, nie robią tego jak my, to normalne...

Ich spojrzenia, lekko rozbawione, skrzyżowały się. Mathilde wstała. Miała zaróżowione policzki, jak zwykle po alkoholu. Char-

les przyglądał się jej. Była w bieliźnie szczelnie zakrywającej jej ciało. Uchwyciła jego spojrzenie i wybuchnęła śmiechem.

— Świnia! Chodź lepiej pomóc mi pozmywać naczynia. Chodź, to więcej warte niż struganie z siebie waźniaka.

— Waźniaka? — zapytał z udawaną niewinnością. Objął ją w pasie i zniknęli w kuchni śmiejąc się coraz głośniej.

\* \* \*

Theresa leżała w ramionach Freda. Zmuszała się do bezruchu, ale niecierpliwość nie dawała jej spokoju. Wreszcie nie wytrzymała.

— Nie odpowiedziałeś mi na pytanie, Freddy.

Odwrócił się z wyraźną nieufnością w oczach.

— Jakie pytanie?

— Czy mogę na ciebie liczyć?

— A o co chodzi?

— Chodzi o dziecko — wyjaśniła cierpliwie.

— No tak, znowu dziecko!

W panice próbowała znaleźć jakieś sensowne usprawiedliwienie.

— Freddy, co ja sama zrobię z dzieckiem? No powiedz, co ja zrobię, przecież nie dam sobie rady. Zrozum mnie!

— Uspokój się! — krzyknął krzyżując ręce na karku. — Nie rozumiem, jak w ogóle możesz mieć jakieś wątpliwości...

Starał się uniknąć jednoznacznej odpowiedzi, przeczuwając jakąś pułapkę. Niepewność wolał przykryć nieuzasadnioną złością.

— Nie mam żadnych wątpliwości, Fred, wręcz przeciwnie. Myślę, że potrafisz podołać swoim obowiązkom.

— Proszę cię, przestań! Masz taki dziwny sposób wyrażania się. Jakie moje obowiązki? Może coś jeszcze?

Podniosła się i popatrzyła łagodnie prosto w oczy Freda. Natychmiast odwrócił wzrok.

— Thereso, nie bądź głupia. Nie myśl, że definitywnie odcinam się od tego, co ty nazywasz moimi obowiązkami, ale mówisz to w taki obrzydliwy sposób. Po prostu odrobina taktu...

— Czy taktem nazwiesz również to, że chcesz mnie opuścić w takim stanie? — spytała oziębło.

Westchnął ciężko jak ktoś, kto sto razy wyjaśniał to samo. Przede wszystkim nie chciał żadnych przedstawień. Przyciągnął ją do siebie.

— Wiesz, chyba za bardzo łądżę się co do ciebie, zawsze starałem się doksztalcać cię intelektualnie, ale nie widzę rezultatu. Wyskakujesz nagle z jakimiś idiotyzmami i myślisz, że to w porządku. Widzę, że ciągle jeszcze jesteś tą małą kurewką, jak z powieści deł za cztery sou, którą zresztą byłaś sześć miesięcy temu, zanim cię nie spotkałem.

— Ale chyba kochasz mnie?

— Głupia! Nie możesz sobie wyobrazić, że cię nie kocham?

Szczerze wzruszył się czując, jak kuli się w jego ramionach.

— Boję się, Freddy...

— Czego?

— Boję się, że tu nie chodzi tylko o miłość. Urodzi się dziecko i potrzebny jest mu ojciec...

— Każdy ma jakiegoś ojca, to oczywiste — szepnął jej do ucha gryząc delikatnie jego koniuszek. — Oczywiście, że możesz na mnie liczyć, nawet bez wymuszania tego w taki sposób... Tylko co chcesz, żebym zrobił, co? Co to znaczy „liczyć na mnie”? To raczej na tatusia powinniśmy liczyć.

— Twój ojciec nie ma nic do tego! — krzyknęła.

— Chyba nie wiesz, co mówisz. Przecież to właśnie on ma forszę. Ale na razie sprzeciwia się naszemu małżeństwu.

— Gdyby chociaż miał powód...

— Nie ma żadnego powodu. Cholerny burżuj! Właśnie w takich sytuacjach burżuje najbardziej mnie wkurzają. Nawet nie wiedzą, co to skrupuły.

Theresa ukryła twarz w dłoniach i szloch wstrząsnął jej całym ciałem.

— Co on mi może zarzucić? Przecież on mnie nawet nie zna. Fred zawstydził się przed samym sobą, przytulił ją mocno.

— Kochanie, to nie tak... On nie mówi nic na twój temat, naprawdę. Chce, żebym najpierw się ustatkował...

— Ja też! Ja też chcę, żebyś był normalnym człowiekiem, żebyś pracował, żeby wreszcie skończyć z popełnianiem... — zawahała się widząc, jaką przykrość sprawiają mu te słowa.

— No, nie krępuj się — odrzekł z udaną godnością. — Proszę, mów dalej. Trzeba skończyć z popełnianiem czego?

— Och, Freddy.

Całkowicie pokonana, bezwiednie obsunęła się na poduszki. Było jej bardzo przykro.

Fred nie umiał wziąć odpowiedzialności za jej cierpienie, mimo że był jego przyczyną, wręcz przeciwnie — coraz bardziej zagłębiał się w złej wierze. Nagle uderzył się w pierś.

— To ja, łajdak z melodramatu! Na nic się zdały wszystkie moje nauki: ciągle jeszcze sądzisz ludzi według zasad zgniłego, zepsutego społeczeństwa... Mnie umieściłaś gdzieś w kategorii baranów, jak byle kogo, pod idiotycznym pretekstem: moje środki materialne nie są wystarczające. Jestem sam! Zupełnie sam!

Zaczął chodzić po pokoju w tę i z powrotem, z wyraźnie odmalowanym rozczarowaniem na twarzy. Początkowo Theresa nie próbowała go zatrzymać, ale po chwili, gdy przechodził koło jej łóżka chwyciła go za rękę i krzyknęła:

— Fred! BĘDZIEMY mieć dziecko!

Ta liczba mnoga natychmiast zerwała mu z twarzy maskę udawanej dojrzałości. Popatrzył na siebie z innej strony: gówniarz przerażony perspektywą zbyt ciężkiego obowiązku. Trwało to ułamek sekundy, ale Theresa zauważyła wszystko. Rozluźniła uścisk i puściła rękę.

— Fred, na miłość boską, bądź mężczyzną...

Mimo urażonej dumy nie zareagował gwałtownie. W odpowiedzi zaczął delikatnie głaskać jej nagie ciało,

— Niecały kwadrans temu mogłaś przekonać się, że...

— Nie mogłam. Zrozum, nie wystarczy kochać się, aby w ten sposób udowodnić swoją męskość.

— A tak poważnie, to... dziecko jest moje?

— Owszem, twoje. Nie wystarczy też zrobić dzieciaka, to potrafi każdy.

Nie miał odwagi zobaczyć siebie takim, jakim był naprawdę. Musiał jakoś się usprawiedliwić, wytłumaczyć. Jedyne wyjście widział w ataku.

— Tylko mnie mogło przydarzyć się coś takiego! — wrzasnął wyciągając ręce pod sufit. — Na szczęście wszyscy się kochają, wszyscy to robią. Wszyscy. O, na przykład dziś rano, widziałas

tych dwoje kolorowych... Myślisz, że co oni robili w swoim jaguarze za trzy miliony? No pomyśl. Im na pewno nic nie będzie. Tylko mnie spotykają takie niespodzianki.

— Co możesz o tym wiedzieć? — odpowiedziała gwałtownie. — Może też mają jakieś kłopoty?

Mówiła głośno, klęcząc na łóżku, po raz pierwszy agresywna, cudowna w złości, drobna i drżąca, broniąca nie narodzonego dziecka i starająca się z powrotem umieścić na cokole tego, którego kochała, a którego chciała zrzucić za wszelką cenę. Fred wyczuł w niej prawdziwego wroga. Zmieszany, nie bardzo wiedział co powiedzieć.

— Możliwe, że mają kłopoty — rzekł z wątpliwością w głosie. — Ale on ma pieniądze, nie tak jak ja.

Próbował ją objąć, ale uwolniła się rozzłoszczona.

— Kto ci powiedział, że on ma pieniądze, co?

— Trzeba być taką kretynką jak ty, żeby myśleć, że cudzoziemiec przyjeżdża na wakacje do Francji bez grosza. Nawet więcej ci powiem: ta tłusta świnia nosi forszę przy sobie.

Był na dobrej drodze. Zadowolony z siebie przesuwiał rękę po jej plecach, pieszcząc je wnętrzem dłoni.

— Cudzoziemcy nie mogą wychodzić tak normalnie z całą forszą przy sobie. Co mogą zrobić? Wymieniają wszystko na czarnym rynku. Wszędzie mają swoich ludzi, swoje wtyczki, którzy im zamieniają ich forszę na franki. Tylko widzisz, jest jedna przeszkoda: nie mogą u nas otworzyć konta bankowego. Tak więc czy chcą, czy nie chcą, muszą nosić wszystko przy sobie, całą forszę. Gdybyś tak zobaczyła jego portfel... Założę się, że jest cholernie nadziany. Dwa kawałki... Kto wie, może nawet trzy. Rozumiesz teraz, niedouczone idiotko?

Myślał, że ten wywód definitywnie zamknie jej usta, ale Theresa gwałtownie wstała i stanęła przed nim naga.

— Niech ma nawet milion w kieszeni. Możesz mi powiedzieć, czy to coś zmieni?

Fred zmarszczył czoło.

— Co to ma znaczyć?

— To znaczy, że od wczorajszego wieczoru nie chcesz odpowiedzieć mi na pytanie — westchnęła głęboko. — Fred, jesteś zwykłym tchórzem.



Poczuła ostre uderzenie w policzek. Oboje wydawali się zaskoczeni, on oglądający rękę, która uderzyła z taką łatwością, ona pozbawiona wszelkich złudzeń.

— Uderz lepiej tutaj — powiedziała głucho, pokazując brzuch. — Może w ten sposób pozbędziesz się dziecka. Tylko do tego się nadajesz.

Znowu uderzenie w policzek. Theresa zachwiała się. Chciał ją podtrzymać, ale prawie wbrew swej woli jego pięść uderzyła ją delikatnie w ramię. Upadła. Nie krzyczała i nie płakała. Nie mógł znieść jej spokojnego spojrzenia przeszywającego go na wylot. Poczul nieznaną dotąd rozkosz wypływającą z jego przewagi i gwałtowności. Kopnął ją. Jęknęła cicho i odwróciła się wypinając brzuch. Kompletnie stracił głowę i zaczął bić z całej siły.

Przestał po chwili, całkowicie wyczerpany i nagle zawstydzony swoim czynem. Zakrył twarz rękoma, żeby nie widzieć skulonego, nagiego ciała. Zacisnął zęby i odwrócił się.

— Niech ci to posłuży za lekcję...

Nie odpowiedziała nic. Fred nie był aż tak zły, fala czułości zalała mu serce. Nic nie mówiąc położył ją na łóżku. Nie ruszała się patrząc mu prosto w oczy.

— To wszystko wina tych gnojków z jaguara — mruknął i odwrócił się w kierunku okna. — Gnoje! Śmiecie! — krzyknął pokazując zaciśniętą pięść.

Ulżyło mu, wściekłość zniknęła.

— Wiem, co mam robić. Będziesz miała forszę, nie płacz.

Odwrócił się plecami do Theresy i nadąsany podszedł do okna.

— Pieprzony szmal! — krzyknął najgłośniejszym głosem, jak tylko mógł.

## 12.

Zza rozłożonej gazety Pedro obserwował swoją żonę. Od dłuższego czasu siedziała przygnębiona, nieruchoma i cicha. Poczul jej wzrok na sobie i natychmiast powrócił do lektury.

Jak zabrać jej broń w sposób inteligentny? Za bardzo ją kochał, by zaatakować otwarcie. Zresztą jej reakcji nigdy nie można przewidzieć.

— Chcesz trochę poczytać? — zapytał pokazując gazetę. — Chcesz? Nie?

Położył dziennik na stoliku i wziął do ręki plastikowy dzbanek do kawy.

— Kawy? Może jednak? — Uśmiechnął się maskując niepokój. Nalał sobie pełną filiżankę. — To naprawdę zabawne. Coraz częściej zachowujemy się jak Jankesi. Podobno chcą u nas założyć telefon, jak na Północy. Bo tam, wiesz, prostytutki można zamówić sobie na telefon.

Zaśmiał się cicho. Germaine podniosła głowę i wybuchnęła niepohamowanym, histerycznym śmiechem. Pedro przeraził się, cały czas trzymając dzbanek w ręku. Nie mogła się uspokoić. Zacisnęła nerwowo szczęki, musiał jakoś zareagować. Postawił dzbanek na stoliku, podszedł do Germaine i wymierzył jej policzek. Śmiech ustał. Westchnęła głęboko i wyczerpana pogrążyła się w przygnębieniu. Ukląkł przed nią chowając twarz w fałdach spódnicy. Płakał jak dziecko. Germaine głaskała mu delikatnie kark, patrząc gdzieś przed siebie.

\* \* \*

— Idę się przejść — powiedział Fred. — Idziesz ze mną?

Theresa pokręciła przecząco głową nie spuszczając z niego wzroku.

Wzruszył ramionami.

— No dobra. Chodź zobaczyć, czy droga jest wolna. Mogłabyś mi trochę pomóc, zamiast leżeć beczynn timer. Przecież dobrze wiesz, że nie mogę pokazać się tym ludziom.

Wstała bez słowa i naciągnęła na siebie płaszcz nieprzemakalny. Na korytarzu nie było nikogo. Zeszła na półpiętro i nasłuchiwała. Z kuchni dochodziły stłumione głosy Charlesa i Mathildy. Ruchem ręki dała znak Fredowi, że może schodzić.

\* \* \*

Nadchodził wieczór. Pedro poczuł, że ręka Germaine znieruchomiała. Spojrzał na nią. Zdawało się, że zasnęła. Delikatnie pocałował ją w rękę, następnie wziął w ramiona i przeniósł. Nie sprzeciwiała się, tylko bardziej przycisnęła torebkę.

— Nosileś mnie tak kiedyś... — szepnęła, głębiej wtulając się w pierś męża. — Jest mi tak dobrze...

Bez zbytniego wysiłku wniósł ją do przyczepy zamykając nogą drzwi za sobą. Położył ją na leżance i usiadł obok.

— Lepiej, kochanie?

Złośliwie zmrużyła powieki. Poczuł się niewyraźnie. W mętym świetle wpadającym przez okna, w oczach Germaine błysnęły łzy. Pedro pochylił się i pocałował ją. Objęła go ramionami. Położył się przy niej delikatnie, nie rozluźniając uścisku. Leżeli tak razem nieruchomo na wąskim łóżku. Próbował przypomnieć sobie, że już tak było między nimi dawniej. Nie, nie tak dawno, jakieś sześć, siedem miesięcy temu. Przed śmiercią ich dziecka, przed „wypadkiem” Germaine... Chwilę potem starał się odegnać te myśli i odnaleźć pozorny spokój w tym niewinnym uścisku. Nagle gwałtowne światło wyrwało go z odrętwienia. Zdawało się, że przenika cienkie ścianki przyczepy i wdziera się do środka razem z warkotem silnika. Po chwili samochód odjechał zostawiając przyczepę w półcieniu.

Pedro z powrotem rzucił się na posłanie.

— Kochasz inną kobietę, prawda? — spytała Germaine ochrypłym głosem.

Nie odpowiedział. Machinalnie sięgnął ręką do kontaktu i zapalił światło. Germaine zasłoniła ręką oczy, ale próbowała patrzeć przez palce.

— Pamiętasz, co mi kiedyś powiedziałaś? Że kobiety ozięble są jak kominki, w których nigdy nie rozpala się ognia.

Brazylijczyk zrozumiał, ale nie potrafił odpowiedzieć. Germaine nie była już kobietą dla niego. Kochał ją, ale pewne rzeczy uległy zmianie. Udowodnić miłość swojej żonie w tej sytuacji przekraczało jego siły. Odwrócił się, aby nie mogła spojrzeć mu prosto w oczy.

— Czemu nic nie mówisz? — spytała tym samym zachrypniętym głosem.

Zbliżył się do niej biorąc ją za rękę.

— Germaine, zawsze kochałem tylko ciebie... Przyrzekam ci.

Wyrwała mu je natychmiast. Chciała powiedzieć coś złośliwego, ale nic nie przychodziło jej do głowy. Drżąc podniosła z ziemi torebkę i otworzyła ją. Pedro zbladł. Zapomniał o tym. Jak mógł zapomnieć? Starając się ją uspokoić stracił najlepszą okazję do przechwycenia torebki. Teraz to już koniec — pomyślał — wyjmie rewolwer i strzeli...

— Germaine — wyjąkał — chyba mi wierzysz?

Odzyskał miarowy oddech. Zdenerwowana grzebała w torebce, ale wyciągnęła z niej tylko chusteczkę do wytarcia oczu.

Przeżycie było zbyt silne, musiał usiąść.

— Wierzę ci, Pedro.

Ta nagła zmiana zaskoczyła go. Nic już nie rozumiał. Germaine uśmiechnęła się, starannie pudrując twarz.

— Wierzę ci, jeżeli chodzi o przeszłość... — dodała wyjmując szminkę.

Pomalowała wargi przeglądając się w małym lusterku, następnie z wściekłością wrzuciła do torebki puderniczkę ze szminką i krzyknęła:

— Ale jeżeli chodzi o teraźniejszość i przyszłość, jesteś zwykłym kłamcą! Wiem wszystko.

Z powrotem zaczęła grzebać w torebce. Tym razem Pedro nie wahał się. Rzucił się na nią. Zaczęła się szarpać.

— Puść mnie! Nie chcę już ciebie! Zabraniam ci...

Broniła się wszystkimi siłami. Oszołomiony starał się unieruchomić jej rękę, czując nagle strach przed śmiercią. W walce uderzył łokciem o wyłącznik. Pograżeni w ciemności walczyli dalej, ale nie wiedząc tak naprawdę dlaczego i po co. Pedro poczuł nagle pod palcami skórę torebki i pamięć natychmiast mu wróciła. Ale w tej samej chwili Germaine zdołała się uwolnić. Zapaliła światło i cofnęła się, rozczochrana i zdyszana, z ręką w torebce.

— Nie pokonasz mnie tak łatwo — syknęła. — Wiem, dlaczego przyjechaliśmy do Francji. Wiem bardzo dobrze. Chcesz się uwolnić ode mnie i polecieć do swoich kochanek. Ale ja się na to nie zgodzę, słyszysz? Wolę...

Pedro stał bez ruchu i patrzył na nią z wyrazem beznadziejnej rezygnacji w oczach.

— Skończ to, co zaczęłaś — powiedział zmęczonym głosem.

W tej chwili prosił tylko o śmierć. W gruncie rzeczy po co żyć, skoro straciło się wszystko co bliskie sercu — pomyślał.

Powoli wyjmował rękę z torebki. Na jej twarzy malowało się dzikie zadowolenie. Pedro zamknął oczy niezdolny do dalszej walki. Niech wreszcie strzela, niech to się skończy — pomyślał.

— A to? — krzyknęła Germaine. — Może zaprzeczysz?

Otworzył oczy i zobaczył, że macha jakimś listem. Rozpoznał go natychmiast. Odpowiedź teściów. Musiała go wczoraj znaleźć i schować do torebki.

Rozwinęła kartkę i zaczęła czytać na głos:

— ...*mój biedny Pedro, jak bardzo musisz cierpieć... Co im napisałeś, żeby ich też nabrać? Co to jest takiego, że ty cierpisz, a ja to znoszę? Słuchaj dalej: Tak, masz rację, ona będzie bardziej szczęśliwa tutaj, przy nas, na Południu, w kraju dzieciństwa, przy swoich rodzicach... Zamkniemy ją w szpitalu doktora Frazelles, w Canet...*

Zgniotła list i rzuciła mu w twarz.

— *Zamkniemy ją...* To znaczy, że chcesz mnie zamknąć. Dokończyła myśl. Każdy sposób wydaje ci się dobry, żeby się uwolnić ode mnie, bo ci przeszkadzam. Nawet zrobić ze mnie wariatkę.

Pedro zakrył twarz dłońmi. Był wyczerpany do granic możli-

wości. Nie mógł przewidzieć, co ona teraz zrobi albo co powie, ani nie mógł znaleźć lekarstwa na jej stan.

Germaine szlochając rzuciła mu się w ramiona.

— To nieprawda, Pedro, nieprawda! Mam tylko ciebie na świecie.

— Ależ nie, kochanie, nie jesteś wariatką. Nie kocham nikogo innego, tylko ciebie.

— Błagam cię, nie zabieraj mnie na Południe.

— Chcesz, żebyśmy dziś wieczór zostali tutaj? Prześpimy się w przyczepie, jak dwoje kochanków, którymi przecież jesteśmy, a jutro zobaczymy...

— Tak... Tak... Obiecujesz?

— Przysięgam.

Odsunęła się bezsilnie i usiadła na podłodze, plecami opierając się o nogi męża. Pedro powoli odzyskiwał zmysły i zdolność do rozmowy. Obok niej zobaczył torebkę. Nie poruszając się podniósł ją i przesunął za plecami.

— Jeżeli uważasz mnie za wariatkę — odezwała się — to dlaczego...

Przerwał jej:

— Nie uważam cię za wariatkę, Germaine. Przeżyłaś straszny szok i musisz się z tego wyleczyć. Musisz prowadzić uregulowany tryb życia, żeby całkowicie wyzdrowieć, żebyśmy mogli odnaleźć nasze zagubione szczęście.

— To dlaczego napisali: *zamknąć*?

— Zwykle przejęzyczenie, kochanie.

Zamilkła na chwilę i znów spytała:

— Ale dlaczego nie „zamknąłeś” mnie w Brazylii, blisko siebie? Po co ta cała komedia z wakacjami, z przyczepą campinową?

— Bo chciałem, żebyś odwiedziła rodziców, których tak bardzo kochasz, kraj twego dzieciństwa. W Brazylii nie byłoby tak samo jak tu, we Francji. No i przecież tyle rozmawialiśmy o wakacjach we Francji, że...

Zdawało mu się, że zobaczył jakąś twarz przyklejoną do szyby. Błyskawicznie otworzył drzwi, ale usłyszał tylko odgłos szybko

oddalających się kroków w ciemnościach. Jakiś cień zniknął za drzewami.

— Nie masz wstydu!?! — krzyknął Pedro. — Świnia!

\* \* \*

Fred czerwony na twarzy, splunął.

— Sam jesteś świnia, brudny imigrancie — powiedział półgłosem.

Z daleka widział jak cudzoziemiec zamyka drzwi od przyczepy campingowej. Odszedł w kierunku hotelu, przeskakując bruzdy.

\* \* \*

— Co ty robisz? — spytał Pedro.

Germaine otworzyła miniaturową szafę, wyjęła z niej pościel zwiniętą w rulon i wsadziła sobie pod pachę.

— Posłuchaj, kochanie, nie zabraniaj mi tego. Jestem już spokojna i wierzę we wszystko, co mi powiedziałeś, ale tutaj nie czułabym się dobrze...

— Nie rozumiem.

— Prześpię się na zewnątrz, w lesie.

— Ale dlaczego?

Wyglądała na zniecierpliwioną.

— Boję się, że kiedy usnę, to ty mimo wszystko będziesz chciał stąd wyjechać...

Nie chciał się jej sprzeciwiać.

— No dobrze, możemy to zrobić inaczej. Daj mi pościel, ja pójdę spać do lasu.

Germaine wybuchnęła śmiechem.

— Nie, Pedro. Wtedy na pewno wzięłbyś mnie za wariatkę.

— Jak to?

— Nic prostszego. Kiedy usnę, zamkniesz mnie najpierw, a potem usiądziesz za kierownicą.

Pocałowała go w czubek nosa i już w drzwiach życzyła mu dobrej nocy.

— Kolorowych snów, Pedro.

Odprowadzał ją chwilę wzrokiem. Przestraszy się ciemności

i wróci — powiedział sobie. Cień Germaine zniknął między gałęziami. Nikłe światelko jej latarki pojawiało się i znikało, jakby szukała odpowiedniego miejsca. Wreszcie zgasło (jeżeli nie zasłonił go jakiś krzak).

Pedro westchnął i położył się na leżance. Pod ręką miał torebkę żony. Czuł się bezpiecznie.

\* \* \*

Fred otworzył bramę ciężko dysząc. Z ogrodu można było dostrzec właścicieli hoteliku w czasie przygotowywania kolacji w kuchni. Pchnął drzwi wejściowe i zniknął w półcieniu schodów.

Mathilde postawiła garnek na ogniu.

— Mów co chcesz, Charles, ale twój „pan Courtois” jest mimo wszystko dziwny z tą swoją ostrożnością, żeby tylko, broń Boże, nikt go nie zauważył.

Jej mąż zaśmiał się cicho.

— Jeszcze trochę i pokłócimy się...

— Co to ma znaczyć?

— Pomyśl, on nigdzie nie ruszyłby się bez niej. Zresztą widziałem ją, jest naprawdę milutka, możesz mi wierzyć.

— Myślisz, że się tak wygłupia z tą ostrożnością, bo boi się żony?

— Całkiem możliwe...

Na piętrze Fred otworzył drzwi. W świetle lampy zobaczył leżącą na łóżku Theresę. Nie ruszała się. Po cichu przeszedł przez pokój zatrzymując się przy oknie. Spojrzał w kierunku, gdzie powinna stać przyczepa campingowa.

\* \* \*

Pedro zgniótł papierosa w popielniczce i spojrzał na zegarek. Wpół do jedenastej. Wyjrzał na zewnątrz spodziewając się ewentualnego powrotu Germaine, ale nic nie zobaczył. Wyszedł z przyczepy. Cisza i samotność. Gałęzie uginały się co chwilę pod podmuchem wiatru. Wrócił w złym humorze i położył się. Co jej strzeliło do głowy, żeby fundować sobie rewolwer?

Otworzył torebkę żony. Zaczął w niej grzebać po omacku, ciąg-



le natrafiając na szminkę, puder i te wszystkie drobiazgi, które kobieta zazwyczaj nosi, a które stanowią tajemnicę poliszynela. Zaklął. Opróżnił zawartość torebki rozrzucając wszystko nerwowo. Zapalił papierosa, żeby się uspokoić. Stało się jasne: rewolweru nie było. Musiała go zabrać, kiedy zainteresował się włóczęgą, który próbował przeszkadzać im wieczorem.

## 13.

Denise, dyplomowana sekretarka, w życiu prywatnym była nowoczesną dziewczyną, w której zderzyły się dwie sprzeczności. Z jednej strony za zaletę uważała szybkość podejmowania decyzji, z drugiej — wierzyła w skuteczność starych, dobrych przepisów, jak na przykład spanie z jaśkiem.

Jednym wymachem nóg zrzuciła buty i założyła kapcie.

— Nie rozbierasz się? — spytała Paula.

Paul, nadąsany, przypalał papierosa od papierosa. Odwrócił się i warknął:

— Nie. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

Ta szorstka odpowiedź zaskoczyła Denise akurat w chwili, gdy lekko przechylona do tyłu powabnym gestem odpinała biustonosz.

Każda miłość ma swój własny klimat. Miłość Paula i Denise była burzą.

Uśmiechnęła się smutno.

— Proszę cię, najdroższy, jeżeli chcesz mi coś powiedzieć, to pośpiesz się. Jest już późno, a ja wcześniej rano muszę iść do biura.

Nienawidził jej i kochał zarazem, gdy w jednej chwili z wielkiej damy stawała się rozkapryszonym dzieckiem.

— Wyobraź sobie, że ja też — odpowiedział nie znajdując nic lepszego.

Denise podeszła do niego, naga, kusząca, apetyczna. Zarzuciła mu ręce na szyję.

— Ładnie to tak gniewać się od wczoraj? — spytała tonem tak łagodnym, jakby to było pytanie skierowane przez chrześcijańskiego męczennika do lwa na arenie.

Jej duże i jędrne piersi w szczególny sposób podniecały Paula.

Mruknął coś w odpowiedzi nie mając ochoty wdawać się w dyskusję.

— Zrozum, kochanie, mamy dla siebie tylko półtora dnia w tygodniu. Nie zmarnujmy tego — powiedziała zrezygnowanym głosem.

Chciał jej udowodnić, że w tym wypadku zgadza się z nią całkowicie.

— Nie, przestań, sprawiasz mi ból — mruknęła wyrywając się. Nie spodobało się to Paulowi.

— No brawo! Tak, o to chodzi. Ciągłe trzeba płacić ci okup. Wślizgnęła się do łóżka przykrywając nagie ciało czystą pościelą.

— Okup? Jaki okup?

— Wszystko musisz wiedzieć. Wszystko. Najpierw mały striptiz, a kiedy czujesz, że dostatecznie mnie podnieciłaś, zaczyna się przesłuchanie.

Denise została brutalnie ściągnięta na ziemię.

— O to ci chodzi? To dlatego gniewasz się na mnie, kochanie?

— Nie! — krzyknął. — Nie dlatego. Niczego nie rozumiesz.

— No to wyjaśnij mi, o co ci chodzi, Paul.

— O właśnie. Ciągłe wyjaśnienia, nawet w momencie, kiedy...

— Ale co ci w tym tak bardzo przeszkadza? Powinnam wiedzieć, nie uważasz?

Prawie pokonany machnął ręką z rezygnacją.

— No dobrze, znów masz rację. Zawsze masz rację. Twoja logika jest zdumiewająca.

Najczęściej wykorzystywał kłótnię, żeby się rozebrać. Postanowił zostać. Denise, już spokojna, wstała nie troszcząc się o pościel.

— To wszystko, co ci leżało na wątrobie?

— Nie, coś jeszcze zostało — mruknął zdejmując spodnie.

— No to mów, śmiało. Czyżby zabrakło ci odwagi?

Paul dotknięty do żywego odwrócił się z nogami zaplątanymi w spodnie, z trudem utrzymując równowagę.

— Tobie zapewne jej nie brakuje, kiedy latasz za swoim szefem?

Denise uderzyła się w pierś.

— Ja? Ja latam za swoim szefem? Co jeszcze wymyślisz?

Paul już zdążył uwolnić się od spodni. Złożył je starannie i wsunął pod materac.

— Odkryję — zaśmiał się szyderczo. — Odkryję, nie wymyślę.

— Ostatecznie nie jestem taka złośliwa.

— Przygadał kociół garnkowi.

— Zostaw te głupie przysłowia na inną okazję — ucięła krótko Denise.

Paul miał zwyczaj zapamiętywania różnych sentencji, aby potem popisywać się nimi w przedsiębiorstwie, ale Denise nie lubiła tego i za każdym razem, gdy wyrywał się z czymś takim, dusiła go w zarodku.

— Na pewno w żadnym wypadku nie odezwałbyś się w ten sposób do Juliette.

Paul pomyślał, że ją zaraz zabije. Wrzasnął na cały głos i natychmiast uciszył się pokazując ściany, a przez to sąsiadów, którzy nie musieli wiedzieć, „że już mnie nie kochasz”.

— Chyba nie zaprzeczysz — syknął Paul — że mizdrzyłaś się do tego nadzianego lalusia, gdy ja na próżno czekałem na ciebie...

— To Juliette — mruknęła Denise w zamyśleniu.

Pomyślała jeszcze przez chwilę i określiła przyjaciółkę jednym słowem: — Krowa.

— Krowa czy nie, chyba nie zaprzeczysz?

— To kłamstwo! Ach, gdybyś tylko mógł siebie teraz zobaczyć! W czasach inkwizycji zrobiłbyś oszałamiającą karierę.

— A dla ciebie najbardziej odpowiednią epoką byłaby raczej starożytna Grecja ze swoimi kurtyzanami.

Nagle sparaliżował ich ostry dźwięk dzwonka. Wymienili spojrzenia.

— Zostań tutaj — powiedziała Denise sięgając po szlafrok. — Zobaczę, kto to może być o tej porze.

Zamykając drzwi od sypialni przeszła przez swoje małe mieszkanie, dwa pokoje, kuchnię i mały przedpokój.

Otworzyła drzwi i natychmiast poznała panią Courtois w towarzystwie dwóch mężczyzn. Jeden szturchnął drugiego łokciem i ten wyjął legitymację służbową, na której Denise zobaczyła tylko jedno słowo: POLICJA.

— Co się stało?

— Zwykła formalność — odpowiedział ogłupiały Givral.

— Pani Courtois, czy coś się stało? — spytała, jeszcze raz si-  
ląc się na odwagę.

Genevieve otworzyła usta, aby odpowiedzieć, ale nie była w  
stanie. Trzymała wilgotną chustkę przy oczach i wycierała łzy.  
Georges z trudem powstrzymywał się, aby nie wybuchnąć.

— Mamy powody sądzić, że nie jest pani sama — powiedział.

— No i co z tego? — odpowiedziała śmiało. — Przeszkadza  
to panu?

— Proszę sobie wyobrazić, że rzeczywiście nam to przeszkadza.

Ruchem ręki zaprosił Givrala do środka, ale Denise stanęła  
na drodze.

— Dokąd pan idzie?

— Policja — wybełkotał inspektor.

— Policja. Przecież widzę, nie urodziłam się wczoraj. Ma pan  
nakaz? Nie. Zresztą gdyby nawet pan miał, kazałabym panu ster-  
czeć tutaj do rana.

— Mówiłem, że tak będzie — powiedział Givral do Georgesesa.

— Pozwoli nam pani wejść czy nie?

— Nie!

Obaj mężczyźni stali niezdecydowani, Givral bawiący się gu-  
zikiem od płaszcza skłonny ustąpić i Georges powstrzymujący  
wybuch złości. Denise panowała nad całą sytuacją wyraźnie  
igrając z nimi.

Genevieve ponownie rozplakała się. Denise wzruszył ten wi-  
dok.

— Czy powie mi pani wreszcie, co się stało?

— Mój mąż zniknął.

Sekretarce wyrwał się krzyk zaskoczenia. Zakryła dłonią usta  
ściskając jednocześnie rozchylający się szlafrok.

Oczy Georgesesa o mało nie wyszły z orbit. Givral wykorzystał  
chwilę słabości Denise.

— Właśnie w tej sprawie przyszliśmy do pani.

Denise zebrała fałdy szlafroka.

— Jak to?

— To my powinniśmy o to zapytać — odpowiedział Georges.

— Zaraz, to jest rozmowa głuchych czy nienormalnych?

— Musi nam pani pomóc — powiedział policjant. — Pani jest  
ostatnią osobą, która go widziała, czyż nie?

Cofnęła się, aby mogli wejść do pokoju. Givral powstrzymał ręką Georgesesa, który zapędził się pod drzwi sypialni.

— O której godzinie opuściła go pani?

— Wczoraj wieczorem. O szóstej dwadzieścia.

— Zawsze jest pani taka dokładna, co do godziny?

— To on tak ustalił.

Z uchem przy drzwiach Paul usiłował zrozumieć rozmowę. Dochodziły do niego tylko strzępki słów. Głosy podniosły się, Denise zdawała się być czymś oburzona.

— Ależ to czyste szaleństwo! Jeżeli tak myślicie, to jesteście stuknięci.

Niczego nie rozumiał z biadolenia Genevieve, natomiast całkiem wyraźnie usłyszał głos Georgesesa.

— Nie byłbym tego taki pewien.

— Zabraniam panu — krzyknęła Denise.

Drzwi otworzyły się gwałtownie. Osłupiały Georges znalazł się przed nieznanym, prawie nagim mężczyzną, który słuchał przez dziurkę od klucza. Wybełkotał coś w rodzaju przeproszenia i zniechęcił się z otwartymi ustami.

Jedyną rzeczą, której Paul nie mógł znieść w tej najintymniejszej sytuacji, było ośmieszenie. Jego pięść instynktownie wylądowała na twarzy intruza. Georges zatoczył się. Genevieve krzyknęła. Denise parsknęła śmiechem, a w ramionach Givrala znalazło się ciało Georgesesa.

— Niech się pan już nie rusza — szepnął mu do ucha. — Zrobił pan więcej niż trzeba.

Denise zdenerwowała się.

— Jest pan z siebie zadowolony? Tym lepiej. Jutro nie będzie panu tak wesoło. Zapewniam pana, że to się na tym nie skończy. Zaskarżę pana. A pana, panie podrobiony policjancie, będę o wszystkim informować na bieżąco. To naprawdę znakomity pomysł.

Uspokoila się nieco, widząc Genevieve coraz bardziej szlochającą.

— Dobrze pani tak! A teraz się wynoście!

Odprowadziła ich w milczeniu i zatrzasnęła za nimi drzwi. Stała jeszcze chwilę przysłuchując się dyskusji na korytarzu. Uderzony mężczyzną zarzucał pani Courtois to, co nazwał jej prze-

czuciem. Givral starał się ich uspokoić i wyprowadzić. Denise wzruszyła ramionami i zrezygnowała z dalszego podsłuchiwania. Paul czekał na nią.

— Widzę, że nie tylko ja myślę, że śpisz ze swoim szefem.

Z rękami na biodrach przyglądała mu się uważnie.

— Wiesz co? Nudny jesteś. Chyba nie mamy zamiaru spędzić reszty nocy na kłótni.

Zdjęła szlafrok, rzuciła go na łóżko i chwyciła kochanka za ramię.

— Straciliśmy już dość czasu — powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu.

## 14.

W hotelowych kominkach hulał wiatr, świszcząc przy tym, jakby skarżył się żałośnie. Było ciemno i gorąco. Chwilami przelaływał deszcz. Na drodze mgła zostawiała brunatne plamy.

Fred odkrył się i odwrócił głowę próbując zobaczyć, czy Theresa śpi. Nie mógł być tego całkowicie pewien. Jej ramiona unosiły się i opadały poruszane miarowym oddechem. Położył głowę na poduszce mokrej od potu.

Nie mógł zmrużyć oka.

Potrzeba było tej idiotycznej kłótni, jakby życie nie było dość skomplikowane! Od tego czasu Theresa zamknęła się w sobie i nie odezwała się ani słowem. Poczul ogarniającą go falę złości i zacisnął szczęki.

No tak. Niby nie jestem mężczyzną, ale to ja muszę o wszystkim decydować. Wszystko robić. Wszystko!! Wyjechać do Paryża wcześniej rano, bo samochód kradziony i lepiej nie dać się złapać gliniarzom. Zapłacić za hotel: jak? Znaleźć wyjście z wielkiego problemu: Theresa i bachor. Rozprawić się z ojcem... I mimo tego nie jestem mężczyzną — myślał.

Jedynym sposobem uniknięcia tego wszystkiego, przynajmniej prowizorycznie, było zdobycie forsy. Theresa to prawdziwa kretynka. Sto razy zasłużyła sobie, żeby zostawić ją samą. Fred należał do tej kategorii ludzi, którzy bardzo chcieliby umrzeć, ale pod warunkiem, że nie oszczędziłoby to tych, którzy zostają przy życiu.

Ponownie spojrzął na drugi koniec łóżka. Oczywiście, spała sobie spokojnie odcinając się od odpowiedzialności, której brak zarzucała mu cały czas. Dość tego! Miał tego dosyć!



Wysunął jedną nogę z łóżka, potem drugą i na bosy obszedł łóżko dookoła. Pochylił się nad śpiącą, czyżby udawała, że śpi? Theresa miała zamknięte oczy i oddychała spokojnie. Podeszedł do okna, odsunął zasłonę i oparł rozpalone czoło o zimną szybę.

Na zewnątrz panowała noc. Słabe, mleczone światło odsłaniało szkielety kwietniowych drzew, targanych wiatrem na wszystkie strony. Czasami w zagłębieniu kory więzła kropla deszczu, błyszcząc i huśtając się, jakby dawała znaki. W kącie podwórka stała fregata, podobna do dzikiego zwierzęcia czającego się na ofiarę.

Fred wzdrygnął się i poczuł na sobie kłujący wzrok Theresy. Odwrócił się. Leżała bez ruchu śpiąc spokojnie. Doprowadziło go to do wściekłości. Śpi sobie, jak gdyby nigdy nic! Twierdzi, że ja nie jestem mężczyzną! Ja jej pokażę... — pomyślał.

Zaczął ubierać się, jakby od niechcienia. Nagle znieruchomiał z podniesioną nogą i skarpetką w powietrzu. Theresa westchnęła ciężko i przekręciła się na drugi bok. Jej delikatna twarz pojawiła się na moment w słabym świetle wpadającym przez okno i zniknęła w cieniu. Fred naciągnął skarpetki i zasłonił okno. Z butami w ręce otworzył cicho drzwi. Theresa zamrugła oczami, ale niczego nie zauważyła. Kiedy był już na korytarzu, poruszyła się naciągając delikatnie kołdrę na piersi.

Fred podeszedł do samochodu i puścił hamulec. Na pochyłej, zwirowej drodze fregata toczyła się z hałasem. Zatrzymał samochód przed bramą i wysiadł. Zaczął mocować się z ciężkimi skrzydłami powodując zrzęty żelaza.

Na parterze rozsunęła się lekko zasłona.

Mathilde krzyknęła zaskoczona i oburzona widokiem.

— Charles! Wstawaj na Boga! TWOI klienci najnormalniej w świecie uciekają!

Wyrwany ze snu podbiegł do okna drapiąc się po głowie.

— Co on robi? Coś się popsło? Dlaczego nie włączy silnika?

— Żebyśmy go nie usłyszeli. Idź tam, zatrzymaj tego gnojka. Pchnęła go ku drzwiom. Zaprotestował gwałtownie.

— Czekaj chwilę. Zastanówmy się, bo możemy zrobić coś głupiego. Widziałaś tę małą?

— Na pewno siedzi w samochodzie.

— Czyli nie widziałaś jej. Idź i zobacz, czy została w pokoju.

— Oszalałeś? Po co?

— Dziś po południu pokłócili się. Może jest sam? Kto ci powiedział, że nie może pojechać sobie na samotny spacer?

— O tej porze? Tylko ty możesz mieć takie głupie pomysły.

— Idź. Zanim otworzy bramę, zdążysz już wrócić.

Wbiegła na schody przeskakując po dwa stopnie naraz. Przed drzwiami pokoju zawahała się tylko przez sekundę i delikatnie chwyciła za klamkę.

Widząc ten ruch Theresa odwróciła się i zamknęła oczy. Sądziła, że to wraca Fred. Mathilde westchnęła z ulgą widząc ją w łóżku i wycofała się bezszelestnie.

Tymczasem Fred wyjechał na szosę zostawiając bramę na wpół otwartą. Przez brudną szybę Charles nie spuszczał z niego oka.

— No i co? — spytał słysząc wracającą Matyldę.

— Jest w pokoju.

— I kto miał rację?

— Ty, oczywiście, że ty.

Charles spojrział jeszcze na Freda, który jedną ręką trzymając kierownicę popychał samochód nie włączając silnika, i wrócił do łóżka mruczając przez zęby.

— Kiedy pomyślę, że obudziłaś mnie na próżno w środku takiego pięknego snu...

— ... w którym ta mała zajmowała moje miejsce w wyrku — przerwała Mathilde.

— Nigdy nie można z tobą inteligentnie porozmawiać — rzucił owijając się kołdrą.

\* \* \*

Z otwartymi ustami, ciężko chrapiąc i zaciskając powieki przed oślepiającym światłem, Julien Courtois próbował uwolnić się od koszmaru. Nie mógł poruszyć się z głową wciśniętą w kąt kabiny. Krzyknął: NIE i obudził się.

Dyszał ciężko potrząsając głową, jakby chciał odpędzić ostatnie obrazy koszmaru. Był podobny do konającego, z brudną i zaróżnioną twarzą, z posklejanymi włosami i rękami, którymi wycierał twarz pozostawiając na policzkach smugi jakiegoś smaru.

Nagle zerwał się z miejsca.

— Światło! — krzyknął.

Światło zapaliło się. Podskoczył, stracił równowagę, oparł się o ścianę kabiny i pospiesznie nacisnął palcem pierwszy z brzegu guzik. Maszyna nie zareagowała. Nacisnął mocniej i bardziej gorączkowo. Na próżno. Spojrzał na tablicę z przyciskami i wybuchnął chrapliwym śmiechem. Naciskał guzik STOP.

Gdy tylko cofnął palec, zgasło światło.

— Światło, do cholery! — wrzasnął.

Natychmiast odzyskał świadomość: to musiał być nocny stróż. Usłyszał krzyk, zaczął szukać, znalazł najpierw trupa Bordgrisa, potem mordercę w windzie... Koniec.

Instynktownie przywarł do ściany, z rozłożonymi ramionami, jakby bał się, że nocny stróż może go zobaczyć. Z bardzo daleka usłyszał jakiś krok, który dźwięczał na posadzce dużego holu na dole. Żeby tylko niczego nie usłyszał... Wyteżał słuch. Spierzchnięte wargi i ciało przyklejone do tej przekłetej, metalowej ściany...

W niezwyklej, nocnej ciszy wyraźnie zadźwięczała brama wejściowa. Odważył się oddychać. Nieskończenie długie westchnienie wyrwało mu się z piersi. Powoli prześlizgnął się skurczony, z ciałem wstrząsanym konwulsyjnym szlochem.

— Wyrolowałem go! — wykrzyknął chrapliwie, aby usłyszeć dźwięk własnego głosu. Opanował go nerwowy śmiech, który przyniósł pewną ulgę. Zaczął chodzić.

— Jestem zadowolony — powiedział podnosząc głos. — Będę mówił, co będę chciał. Jestem sam, robię to, co chcę.

Wyprostował się groźnie i nagle zdał sobie sprawę, że jest bliiski utraty zmysłów. Ukrył twarz w dłoniach zmuszając się do odzyskania jasności umysłu.

— Spokój... Tylko spokój — dodawał sobie odwagi. — Spokój... Rękawem wytarł wilgotne czoło.

Która mogła być godzina? Jego fosforyzujący zegarek wskazywał trzecią. Rano? Po południu? Którego dnia? Której nocy?

Bolała go szczeka. Czuł się wyczerpany, rozbity, znużony. Zeszywniały kark odmawiał mu posłuszeństwa. Usiadł obejmując nogi ramionami i opierając brodę o kolana. Był sam. Może martwy? Czy to była śmierć? Siedzenie w zamknięciu i ukrywanie się, gdy tylko przechodziła obok jakaś inna istota ludzka? Odмова uwolnienia z jednego więzienia, z obawy, żeby nie znaleźć się w drugim, jeszcze gorszym?

Uszczypnął się. Nie, czuję. To nie jest śmierć. W takim razie to jest piekło.

Jego policzki wydeły się. Razem z oddechem wydmuchał całą swoją niechęć, urazę. Gotowy rozczulić się nad samym sobą, przeklinał los.

Los? Ale czy nie byłoby to po prostu usprawiedliwianie siebie samego z powodu niepowodzeń? Człowiek zawsze powołuje się na los w chwili klęski, kiedy zwycięża — zasłania się nim, kiedy przegrywa — oskarża go.

Odnalazł coś w rodzaju pozoru energii. Sam kieruję swoim losem. Właśnie po tym można rozpoznać silnego człowieka.

Gdyby tylko miał papierosa...

Zasnął z trudem, wracając do swojego koszmaru.

\* \* \*

Silny wiatr poruszał całą przyczepą, która skrzypiała przy tym niemiłosiernie. Wyglądała jak statek na morzu.

Pedro usiadł na leżance, żeby popatrzeć przez okno w stronę, gdzie wieczorem zniknęła jego żona. Nie zobaczył prawie nic. Zaklął cicho. Nie można jej zostawić samej w takim stanie. To idiotyczne. A jak zacznie padać deszcz?

Założył buty i wyszedł. Stał przed krzakami i krzyknął:  
— Germaine!

Stał przez chwilę wyczekując odpowiedzi. Zrobił kilka kroków do przodu i zawołał jeszcze raz. Nic.

Odgarniając ręką gałęzie wszedł jeszcze głębiej, ale gęste zarośla nie chciały przepuszczać światła latarki. Nigdy nie znalazłby jej w tych ciemnościach. Poczul jakieś ukłucie. Obleciał go strach. Nagle znalazł się na drodze, dziesięć metrów od przyczepy.

— Tym gorzej — rzucił zrezygnowany wchodząc do środka.  
Sen jednak nie przychodził.

\* \* \*

Germaine obudziła się drżąca i mokra od rosy, z tym dziwnym uczuciem, które wydłuża sen. Ten sen nigdy się nie zmieniał.

Pedro zamykał ją w klatce i oddalał się z dzieckiem, które ona wołała wyciągając ręce przez kraty. Pedro śmiał się szyderczo. Jednym ruchem zabijał małego. Wtedy ona chwyciła za broń i ... i w tym momencie budziła się. Jak zawsze, gdy tylko odzyskiwała całkowitą świadomość, chciała biec do Pedra, ale tej nocy nie było go przy niej...

Słuchała świszczącego wiatru i szelestu liści. Dookoła niej cała przyroda szumiała, żyła w oddechu gałęzi, które zdawały się ją wachlować. Śpiwór ścisnął ją jak klatka. W palcach, blisko serca trzymała broń. Nagle, zupełnie blisko usłyszała jakiś hałas i omal nie krzyknęła ze strachu. Zerwała się natychmiast na równe nogi trzęsąc się, z rewolwerem przed sobą.

— Kto tam?

Noc nie zdradziła swego sekretu.

Całkowicie wyczerpana oparła się o pień drzewa. Jakiś liść ją poślaskotał.

— Pedro... — wyjąkała.

\* \* \*

Fred zatrzymał fregatę na szczycie wzniesienia. Przygryzał wargi i zmuszał się do spokoju. Myślał, co zrobić, ale na nic nie mógł się zdecydować.

\* \* \*

Pedro usiadł na łóżku i zapalił papierosa.

\* \* \*

Germaine dostrzegła gdzieś daleko między gałęziami maleńkie, migoczące światełko, które mogło być zapalniczką jej męża. Pobiegnęła w tym kierunku, ale ogień zniknął. Wściekła na siebie brnęła dalej raniąc nogi w jeżynach.

\* \* \*

Światła — pomyślał Fred. Nacisnął przełącznik i pomylił się zapalając je jeszcze raz. Zgasił natychmiast.

\* \* \*

Germaine sapiąc, niespodziewanie znalazła się na drodze. Woda z ostatniej ulewy jeszcze nie wyschła. Coś poruszyło się za nią. Odwróciła się przerażona z pistoletem gotowym do wystrzału. Trzęsła się coraz bardziej. Na szczycie wzniesienia, w odległości trzystu, może czterystu metrów, zapaliło się dwoje oczu, żeby natychmiast zgasnąć. To musiał być Pedro. Odnalazł ją i pokazywał drogę, żeby nie zbłądziła. Z rozwianymi włosami zaczęła biec w tym kierunku.

Dziesięć kroków od samochodu Fred musiał się zatrzymać. Trząsł się z zimna jednocześnie pocąc się obficie. Przyciskając do ciała płaszcz nieprzemakalny Courtoisa zadrżał myśląc: Zapomniałem czegoś... Ale czego? Gdyby był nagi, doznałby tego samego wrażenia. Nagle w głowie błysnęła mu myśl, pobiegł do samochodu i chwycił rewolwer, który znalazł przedwczoraj w schowku. Z bronią w ręku poczuł, że może przeciwstawić się całemu światu. Przez chwilę bawił się pistoletem, obracając go na palcu jak kowboj. Gotowy do odjazdu zdrętwiał nagle słysząc szybkie kroki. Momentalnie zaschło mu w gardle. Coś lub ktoś rzucił się na niego. Z gardła wydobył mu się jakiś nieartykułowany dźwięk. Gdyby mógł, zacząłby krzyczeć.

— Pedro... Pedro...

Próbował odepchnąć intruza, ale ten przytrzymał mu rękę. Uderzył go drugą. Tą, w której trzymał rewolwer. Rzucił się do ucieczki. Strzał. Fred poczuł ból w ramieniu. Kula przeleciała mu koło ucha. Stracił głowę i zaczął strzelać. Jeden raz, drugi.

„Coś”, nieprzyjaciel runął na ziemię. Patrzył ogłupiały. Germaine skręcała się na ziemi jęcząc błagalnym głosem:

— Pedro... Pedro...

— Co ona mówi? — powiedział sam do siebie.

\* \* \*

Pierwszy strzał wyrwał Pedro ze snu. Podniósł się. Germaine! Kiedy usłyszał drugi strzał, był już na zewnątrz krzycząc:

— Germaine!

Biegł w kierunku wystrzałów dostrzegając niewyraźny, nieruchomy kształt. Ale kiedy tylko zbliżył się do niego, kształt — czyżby to była Germaine? — odwrócił się i zaczął uciekać.

Nagle potknął się o ciało żony.

— Germaine, to ja, kochanie, uspokój się...

Musiał coś zrobić. Prawdopodobnie miała kryzys.

— Daj mi ten rewolwer... Daj mi go...

Ogłuszające trzaśnięcie. Myślał najpierw, że Germaine spoliczkowała go, ale natychmiast zrozumiał.

— Nie, Germaine, nie!

Znowu huk, zupełnie blisko niego... Coś wybuchło mu w mózgu, a palce momentalnie zeszywniały.

— Daj... mi... ten... — wyjąkał z trudem.

Trzeci wystrzał przerwał mu w pół słowa. Przewrócił się w tył z ustami pełnymi krwi...

— Moja biedna Germaine... Co ty zrobiłaś? Kto się teraz tobą zajmie?

Cień, który wziął za Germaine, pochylił się nad nim.

— Moja kochana... — wycharczał resztkami sił.

\* \* \*

Julien znalazł w kieszeniach resztki tytoniu. Cierpliwie, końcem palca zebrał je na dłoni. Poświęcił jedną stronę z kalendarzyka, żeby skrócić papierosa. Wprawdzie trochę chudy, ale to więcej niż nic.

Zapalił go zapalniczką. Czasu starczyło mu tylko na jedno pociągnięcie. Papier spalił się błyskawicznie.

## 15.

Serce starego hotelarza biło z ogromnym podnieceniem: powiedziano mu, że Theresa czeka na niego! Leżała nieruchomo na poduszkach ze słodkim uśmiechem na twarzy. W jej spojrzeniu można było dostrzec pewną złośliwość, której Charles nigdy nie zdołał rozszyfrować. Zgiętym palcem zapraszała go do siebie. Serce Charlesa zaczęło skakać z radości, nie trzeba było mu dwa razy powtarzać.

Zdecydowanym ruchem zerwał koc, który przykrywał dziewczynę i ... rozczarował się ogromnie. Przeklęta Mathilde, zawsze daje gościom trzydzieści sześć koców!

W oczach Theresy pojawiła się ironia. Cały czas leżała nieruchomo. Charles usiadł na skraju łóżka. Była cudowna! Brutalnie i pośpiesznie ściągnął drugi koc, pod którym pojawił się trzeci. Zaczęła się śmiać. Charles zakrył jej usta dłonią, żeby ją uciszyć. Kciukiem drugiej ręki pokazał ścianę, za którą spała jego żona. Theresa wybełkotała coś w odpowiedzi i ogarnięta szałem zaczęła rozbierać się ze wszystkiego, co miała na sobie. Całkowicie pochłonięci sobą, zaplątani w koce, nie potrafili wybrnąć z sytuacji, oddzieleni mimo wszystko próbowali się obejmować. Odżyła w nich dzika żądza przodków.

Dostał gęziej skórki wiedząc, że ma przed sobą ostatnie przykrycie. Pod nim było ciało Theresy. Chwycił palcami za brzeg ostatniego koca i już miał krzyknąć... ale nagle usłyszał, jak Mathilde, daleka i jednocześnie bliska, budzi go.

— Charles! Charles!

Machnął ręką, jakby się bronił.

— Zostaw mnie.



Theresa uśmiechała się zjadliwie i zaczęła drwić z niego.

— Idziesz, stary świntuchu?

Podskoczył i rzucił się na posłaniu, z otwartymi oczami. Mathilde trzymała go za ramię i potrząsała nim powtarzając:

— No i co, idziesz, stary świntuchu?

Z trudem przełknął gęstą ślinę, nie godząc się na rzeczywistość.

— Cholera! — zaklął. — Musiałaś...

Przetarł zaczerwienione oczy, język mu się plątał, miał sucho w gardle.

— Co się dzieje? Pali się?! — krzyknął wściekły.

Mathilde wzruszyła ramionami.

— Wrócił.

— Kto? Kto wrócił?

— Facet. Julien Courtois, czy jak tam się nazywa. Nie słyszysz?

Owszem. Wyteżając słuch można było usłyszeć wyraźny warkot silnika, przenikający nawet ściany. Charles był wściekły.

— No i co z tego? Chcesz, żebym się zdenerwował? Musiałaś mnie budzić?

Mathilde wbiła w niego wzrok ciężki od zarzutów.

— Nie czas na żarty. Ten gówniarz przyjechał wcale nie kryjąc się, wysiadł prawie biegiem i zostawił włączony silnik. Rozumiesz?

— Nie.

Mathilde zrobiła pogardliwą minę.

— Zakładam się o twój piękny sen przeciwko równie pięknej, bezsennej nocy, że przyjechał po swoją kochankę. Zrozumiałeś? Idź. Sprawdź to.

Charles westchnął głęboko. Jak Mathilde wbije sobie coś do głowy... Melancholijnie sięgnął po spodnie.

\* \* \*

Wyrwana ze snu Theresa ubierała się. Zapinała spódnicę. Zazwyczaj w takich momentach Fred przyglądał się jej, ale teraz stał odwrócony do niej plecami, zdenerwowany, patrzył przez okno.

— Pośpiesz się — warknął.

— Przecież się śpieszę... — była bliska płaczu walcząc z zapęciem przy spódnicy. — Ale nie rozumiem...

— Zaraz zrozumiesz.

Chciał ją uderzyć, żeby pomóc jej przy zakładaniu swetra, ale opanował się widząc jej delikatne piersi.

Co mu jest? — pytała samą siebie i nagle przypomniała sobie wczorajszą awanturę. Pokłóciliśmy się, to prawda... Nie chciała już tego, ale cóż...

— Jest prawie czwarta rano — wysyczał. — Pomyśl o tym. A ukradziony samochód? O tym też nie myślisz. Wszystko ja muszę robić, wszystko na mojej głowie. Musimy zostawić wóz w mieście, zanim na dobre się rozwidni. Jasne?

Oczywiście, że wszystko było jasne, nawet wtedy, gdy myślała logiczniej niż on.

— A jak chcesz zapłacić za hotel?

— Nie twój interes. Pośpiesz się, to wszystko, o co cię proszę. Theresa wsunęła swoje małe stopy w płaskie pantofle.

— Jestem gotowa.

Fred ścisnął ją za rękę i pociągnął za sobą. Upewniwszy się, że nie ma nikogo na korytarzu, pociągnął ją na schody. Zeszli po omacku, przeszli przez hall omijając wiklinowe fotele, które rzucały delikatny cień. Strach chwycił Theresę za gardło. Żeby tylko hotelarze nie obudzili się. To byłby skandal.

W chwili gdy przechodzili przez ogród, nagle sparaliżował ją głos Mathilde:

— Nie, moi kochani. Żeby wyprowadzić się nie płacąc rachunku, trzeba wstać jeszcze wcześniej. Za weekend należy się pięć tysięcy franków.

Theresa już chciała wszystko wyznać, ale poczuła na ramieniu dłoń Freda zabraniającą wyjawienia tajemnicy. Jak zwykle myśli o wszystkim...

— Pięć tysięcy franków? — mruknął zmienionym głosem Fred.

Theresa złożyła ręce i zaczęła się modlić: Boże, Boże, spraw, żeby znalazł pieniądze!

— ...za jedną osobę — dorzucił Charles chrypiąc.

Ogromnie zaskoczona Theresa zobaczyła, jak Fred zaczął przetrząsać kieszenie. Oszalał — pomyślała — nigdy nie uda mu się

oszukać ich w ten sposób. Jednak cud nie zaskoczyłby jej... Fred wyciągnął zmięty banknot dziesięciotysięczny i podał jej. Teresa wzięła go i oddała Mathilde. Ta chwyciła go natychmiast.

— Usługa nie została wliczona — wtrąciła.

Fred jeszcze raz wepchnął rękę do kieszeni i wyjął coś, co wyglądało jak nieforemny plik banknotów. Odwrócił się, żeby nie mogła nic zobaczyć. Odliczył dwa tysiące franków, które pokonały tę samą drogę, co pierwszy banknot, a resztę schował z powrotem.

— Szczęśliwej podróży! — rzuciła Mathilde zgryźliwie.

Usłyszeli jeszcze Charlesa, który próbował nieco złagodzić agresywność żony.

— I przyjeżdżajcie, kiedy tylko chcecie. Zawsze będziecie tu mile widziani.

Ale Mathilde musiała mieć ostatnie słowo. Wychylając się przez drzwi krzyknęła:

— Tak, ale w biały dzień, żeby można było zobaczyć wasze twarze.

Brama trzasnęła i Mathilde odwróciła się.

— Stary piernik! Jak tylko zobaczysz kawałek tyłka, gotów jesteś puścić nas z torbami.

Wyrwał jej pieniądze, które trzymała i pomachał jej nimi przed nosem.

— Na co się skarżysz? Przecież ci zapłacili. Czego jeszcze chcesz?

Nie umiała odeprzeć tego argumentu. Charles zaczął atakować.

— Na co jeszcze czekasz? Czemu nie zapalisz światła? Wyglądamy jak spiskowcy w tych ciemnościach.

Nie czekając poszedł w głąb mieszkania. Światło zaskoczyło go dokładnie przed lustrem, które odbijało wizerunek mężczyzny w podeszłym wieku, w pogniecionych i źle zapiętych spodniach i w wełnianej podkoszulce na bladej piersi.

— Ach! Jak ty wyglądasz — szydziła Mathilde.

— A ty? — odpowiedział szybko. — Myślisz, że jak wyglądałaś rzucając się na tych dwoje jak wampir?

— Gdybyś siebie teraz zobaczył... — prychnęła.

— Widzę się...

Ogarnął go śmiech. Klepnął żonę w tyłek z głośnym plaśnię-

ciem, chwycił ją w pasie i pokazał jej ich wspólne odbicie w lustrze.

— Mimo wszystko tworzymy piękną parę, co?

Stawał się zbyt napastliwy. Mathilde broniła się dla zasady.

— No wiesz... Przestań...

— Dlaczego przestać? No tak, jesteśmy za starzy...

— Chodzi o tę małą, co?

— ... przecież jesteśmy jeszcze dość młodzi...

— To chyba o mnie.

Obejmując się i śmiejąc wolno poszli do sypialni zostawiając światło w przedpokoju. W chwilę potem pojawił się Charles w ka-lesonach, w złym humorze.

— Najgorsza robota jak zawsze dla mnie.

Przekręcił wyłącznik i pobiegł do żony.

\* \* \*

Czerwona fregata mknęła sto na godzinę po Zachodniej Autostradzie w kierunku Paryża.

— Nie jedź tak szybko — błagała Theresa. — Boję się.

— Bałabyś się jeszcze bardziej, gdyby nas złapali z kradzionym samochodem.

Pochylony nad kierownicą próbował dojrzeć coś w ciemności.

— Najlepszym sposobem na spotkanie z gliniarzem jest taka szybka jazda w nocy...

Nie odpowiedział, ale zwolnił.

— Widziałeś się z ojcem? — spytała.

— Z ojcem? Dlaczego? Po co?

— No... Kiedy wyszedłeś...

— Więc nie spałeś?

— To on ci dał pieniądze na zapłacenie hotelu?

— On? Chyba osza...

Nie dokończył słowa. Zmarszczył czoło myśląc intensywnie i odezwał się nerwowo po chwili.

— Tak. Widziałem się z ojcem i powiedziałem mu wszystko. Dał mi dziesięć... Chciałem powiedzieć piętnaście tysięcy. Jeden banknot dziesięciotysięczny i pięć po tysiąc.

Nastąpiła chwila ciszy. Theresa przerwała ją.

— Powiedziałeś, że to dla nas?

Zaskoczony zaczął się wiercić na siedzeniu.

— Ach, gdybyś go zobaczyła obudzonego w środku nocy! Uwierz mi, straciłaś niezłe przedstawienie. Był tak zdziwiony, że dał mi forszę bez dyskusji.

Próbował żartować, lecz myślami był gdzieś indziej. Nalegała.

— Teraz już wie?

— O czym?

— O tobie i o mnie.

Nie odpowiedział, ale wzburzył się jeszcze, zakłopotany tym wzrokiem, który rozbierał jego duszę do naga, i terroryzowany myślą, że mógłby powiedzieć zbyt dużo i odkryć obciążającą go prawdę.

— A ten wóz, co mam z nim zrobić? — zapytał.

Właśnie wjechali do tunelu. Na jego końcu znajdował się most Saint-Cloud.

— Nie wiem — odpowiedziała Theresa. — Myślałam, że można by go zostawić tam, skąd został zabrany.

Fred pokiwał głową.

— Niegłupie, niegłupie.

Wzruszona dzieciennym tonem przytuliła się do niego. Był jej za to wdzięczny. Dygotał cały.

— I nie łam sobie głowy z powodu tego wozu. Kupię ci inny, zobaczysz.

Więc powiedział ojcu, ale nie chciał się przyznać. Zawsze ta jego duma. Uśmiechnęła się w cieniu. Dlaczego trząśł się tak przez cały czas? Mogłaby go o to zapytać, ale nie zrobiła tego. Ramiona Freda uginały się pod wpływem zmęczenia. Miał czkawkę. Minęła ich jakaś ciężarówka i oświetliła wnętrze samochodu. Płakał.

— Co ci jest, Fred?

— Nic... Ja... Chce mi się spać, to wszystko.

Poczuła ogromną litość nad tym dziwnie drżącym, dzieciennym głosem, który pojawił się u niego.

— Chodź odpocząć.

— Ale gdzie? Gdzie mogę iść?

— Do mnie — zaproponowała zdziwiona.

— Dziękuję, Thereso, jesteś miła... Bardzo miła...

Zatrzymał na chwilę samochód, żeby wziąć ją w ramiona, przytulić.

— Nie powinno się mnie zostawiać samego... Potrzebuję ciebie.

— Ja także ciebie potrzebuję, Fred... Potrzebuję mężczyzny...

— Mężczyzny? — krzyknął wysokim głosem. — Czy ja nie jestem mężczyzną? Czy nie przyniosłem ci pieniędzy?

— Tak... Tak...

Z pewnością tamta scena musiała go głęboko dotknąć. Theresa chciała się z tego wytłumaczyć.

— Przykro mi za to, co powiedziałam, Fred. Nie myślałam, wiesz...

Ukrył twarz w ramionach swojej kochanki. Usłyszała zaledwie:

— Nie trzeba... Nie trzeba popychać mężczyzny do ostateczności... Nie trzeba...

— Nie, kochanie, nie zrobię tego więcej.

Pogłaskał jej policzek. Coś ją zadrapało. Zegarek na przegubie jego ręki. Oburzyła się na to:

— Fred! Założę się, że zwędziłeś zegarek twojemu ojcu.

Jego reakcja zaskoczyła ją niesłychanie.

— Mam gdzieś ojca! Słyszysz? I ciebie też! Nie chcę, żeby mi stawiano idiotyczne pytania. Mam tego dosyć, rozumiesz? Dosyć!

Ponownie włączył silnik i brutalnie wrzucił bieg, powodując zgrzytanie skrzyni biegów. Samochód wyskoczył jak rakieta.

A ona nie śmiała więcej mówić. Być może dlatego, że już rozumiała i powzięła postanowienie, nie zdając sobie zbytnio z tego sprawy.

Fregata wjechała na Aleję Wersalską.

## 16.

Żarówka się zapaliła. Tym razem światło zajaśniało w mózgu Juliana Courtoisa. Skakał z przerywanym oddechem, oślepiiony, chroniąc sobie oczy rękoma, zbity z tropu.

Nocny strażnik? Znowu? Sprawdził machinalnie czas: piąta trzydzieści... Co to mogło w ogóle znaczyć? Jeśli życie zaczynało się dla niego od nowa po trzydziestosześciodzinnej przerwie, to nie był zdolny uwierzyć w to tak po prostu.

Krew uderzyła mu do głowy. W beładzie swych myśli, nieświadomie przywiedziony przez stłumiony zgiełk życia, który rodził się poza murami, nagła eksplozja pewnej sceny: portier albo sprzątaczką wzywa windę. Odkrywano go... Za nic!

Z pewnym zawstydzeniem, żeby nie sprawić wrażenia igrającego z losem, nacisnął guzik z dwunastką. Cudownie, bez hałasu i wstrząsu winda ruszyła.

Zatrzymała się po chwili, lecz on nie próbował nawet wysiąść. To było zbyt piękne. To musiała być jakaś pułapka. Ale jaka?

Tak! Nikt nigdy nie mógł przypuszczać, że spędził cały ten czas w tym budynku, w bliskości trupa Bordgrisa.

Blokując drzwi na wysokości podestu, w celu uniknięcia niespodzianki, odkrył linoleum i sprawdził przyśrubowanie klapy poruszając się nerwowo, jak osaczone zwierzę. Przy pomocy scyzoryka kończył gorączkowo swoją pracę mniej lub bardziej na ślepo. Małe ostrze pękło. Jego czubek gdzieś odskoczył. Stracił cenne minuty na jego odnalezienie. Teraz odciski. Starł je chusteczką z metalowej płytki, podłogi i drzwi. Czubkiem stopy wepchnął w rowek drobiny tytoniu, który próbował wcześniej

palić. Z pewnością sprzątaczką przejechałaby odkurzaczem i mokrą szmatą we wszystkich miejscach, ale lepiej dmuchać na zimne...

Otrzeptał swoją marynarkę, żeby nie wydać się zbyt brudnym w razie przypadkowego spotkania z kimkolwiek. Wyteżył słuch w gotowości. Cisza kompletna. Powoli, żeby uniknąć zgrzytania zawiasów, pchnął drzwi windy.

Nikogo na zewnątrz. Zrobił kilka kroków i odurzony wolnością słuchał dalej. Nic. Pobiegł w stronę swojego biura. Przy czekach, umowach i memorandum, które spoczywały sobie spokojnie na stole, nie można było czuć się dobrze. Te świstki były odpowiedzialne za wszystko! W momencie, gdy chciał je zniszczyć, jakiś fatalny skurcz żołądka zgiął go na pół. Trzymał się za brzuch, starając się nie krzyknąć.

Czyjeś kroki na zewnątrz postawiły go na nogi, jakby niewidzialna pięść uderzyła go w twarz. Błędny i nieruchomy słyszał te kroki coraz wyraźniej. Ostatnim wysiłkiem rzucił się do drzwi, żeby przekręcić klucz w zamku. Nadszedł ten moment. Kroki zatrzymały się przy drzwiach.

Wstrzymał oddech, przyklejony do ściany. Klamka obróciła się kilka razy. Bóle zniknęły. To nowe niebezpieczeństwo okazało się dużo groźniejsze niż myślał. Ten ktoś na korytarzu naciskał, pchał. Julien gryzł sobie wargi: nigdy dotąd nie wpadł na pomysł zmiany tego śmiesznie słabego zamka. Klamka poruszała się na wszystkie strony, ktoś usiłował wyważyć drzwi.

— Szuka pan czegoś? — zawołał jakiś kobiecy głos.

— Prawdę mówiąc, nie wiem...

To był Albert. Więc czego chciał? Sprzątaczką zaśmiała się.

— Pan to zawsze powie coś do śmiechu.

— Ja nie żartuję — odpowiedział Albert. — Zaczynam się starzeć. Mam jakieś wizje. Przychodząc dziś rano sądziłem, że rozpoznałem samochód jednego z pracowników. Chciałem się upewnić, że go tam nie ma. Rozumie pani, widziałem go w sobotę wieczorem, gdy odjeżdżał.

— To o niczym nie świadczy — odpowiedziała kobieta. — Mógł przyjechać dziś wcześniej, żeby popracować.

— To nie to — przerwał portier. — Zresztą niech mi pani powie, jak by wszedł przez zamknięte drzwi.



Oddalili się. Julien słyszał ich słabnące głosy.

— Szuka mnie pan? — pytał kogoś Albert.

— Tak, chciałem wiedzieć, czy malarze już skończyli.

— Gotowe, wystarczy tylko posprzątać.

— W takim razie zaczynam z moją ekipą. Musi tam być pełno kurzu i gruzu.

Ostatnie słowa były dla Juliena słabo słyszalne. Wytarł nerwowo ręce. Tym lepiej! W ten sposób znikwały ostatnie ślady jego pobytu w biurze obok. Jakiś cichy uśmiech zagrał na jego twarzy. Zdawał sobie sprawę, że Opatrzność nie opuszczała go przez cały czas. Potem gwałtownie chwycił się znowu za brzuch: ból powrócił.

Z trudem dotarł do biurka, spalił dokumenty, wyrzucił popiół przez okno i westchnął głęboko. Wreszcie!

Połknął kapsułkę, która utkwiała mu w przełyku. Podszedł do umywalki, żeby popić trochę wody. W lustrze nad umywalką zobaczył zbira o policzkach pokrytych brudnym zarostem, oczach bladych i podsiniąłych, poplamionych klapach marynarki. Uzbrojony w szczotkę do ubrań zaczął czyścić. Kurz leciał z niego jak z trzepanego dywanu. Zdecydowanie nie mógł się nigdzie pokazać w marynarce w takim stanie. Powiesił ją na wieszaku i nagryzmolił na kartce od bloku: *Denise, niech pani będzie uprzejma zanieść zaraz po przyjściu moją marynarkę do czyszczenia...*

Zawahał się. Jego sekretarka powinna być przekonana, że ta notatka została napisana w sobotę wieczorem. Dorzucił więc: *Weekend zapowiada się ciepło. W razie czego mam płaszcz nieprzemakalny w samochodzie.*

Przypiął kartkę do marynarki i wyszedł. Ale natychmiast wrócił z powrotem, silnie popychając drzwi. To sprzątaczkі ... w końcu korytarza idące w stronę świeżo wymalowanego biura. Wsłuchiwał się w ich kroki, rozmowy. Kiedy stwierdził, że weszły do środka, wypadł raz jeszcze na korytarz i rzucił się w stronę windy. To było jednak zbyt niebezpieczne. Na palcach wszedł na schody. Usłyszał sprzątaczkі, które swą paplaniną zagłuszały hałas odkurzaczy.

Był na drugim piętrze, gdy dobiegły go krzyki. Bordgris!

Przytrzymał się poręczy, aby nie wpaść w panikę. Z dołu doszło do niego wołanie portiera.

— Co się dzieje?

Odpowiedź padła z dwunastego.

— Szybciej, panie Albercie!

— A co się stało?

— Nieszczęście! Na pomoc!

Odkurzacz zamilkł.

Albert ściągnął windę na dół.

Julien pogratulował sobie, że jednak jej nie użył. Czekał, z bolesnymi nerwami, z zaciśniętymi szczękami.

Winda już mknęła na górę.

Julien wypadł dosłownie na ulicę. Biegł jak oszalały. Na rogu przy kawiarni, dwa kroki od swojego samochodu, znieruchomiał z przerażenia. Przed nim, na chodniku, prawie zmyte widniały półmetrowej wysokości litery, wypisane kredą, które czytał z dzieciinną trwogą: BÓG CIEBIE SZUKA.

Zatrzymał się nad mniejszym napisem i cofnął się. Poniżej odezwy Armii Salut jakiś włóczęga napisał: JESTEM W BISTRO-DU COIN. Ale Julien nie uśmiechnął się nawet. Siadł za kierownicą. Nie oddychał prawie próbując zebrać razem bieg wydarzeń. Czy niczego nie zapomniał? Dokumenty? Spalone. Bordgris? Wszystko wygląda na samobójstwo. Winda? Chyba żadnych śladów. Odciski? Wytarte. Marynarka? Jest przy niej kartka.

Trząsł się cały. Chwycił płaszcz nieprzemakalny i zarzucił go sobie na plecy.

Przekręcił kluczyk. Włączył pierwszy bieg i z rykiem samolotu wyskoczył w pierwszą na prawo ulicę, potem skręcił w lewo, potem jeszcze jeden zakręt ... i znalazł się znów przed napisem: BÓG CIEBIE SZUKA. Wzruszył ramionami. Czas oddalić się od tego przekłętą miejsca. Nacisnął mocno gaz i wpadł w poślizg. Wyprostował kierownicę w ostatniej chwili i pomknął wzdłuż bulwaru Haussmanna.

Na Richelieu-Drouot zauważył, że pomylił drogę. Zawrócił. Na szczęście ulice o tej porze były jeszcze puste.

Zacisnął ręce na kierownicy, żeby się nie trzęsły.

## 17.

Jeanne drgnęła obudzona świdrującym dzwonkiem telefonu i natychmiast podniosła słuchawkę.

— Tak, słucham?

Obok niej jej mąż przecierał oczy. — Kto to jest?

Wzruszyła ramionami: — Ale z kim pan chce rozmawiać?

Georges wyrwał jej z ręki słuchawkę i krzyknął z wściekłością do mikrofonu:

— Co się dzieje? Nie budzi się ludzi o tej godzinie!

Zatrzeszczało w słuchawce. Zaniepokoiła się widząc zaskoczenie Georgesesa.

— Zła wiadomość?

— Givral? — mruzczał Georges. — Więc czego pan chce?

— Co jest, Georges, jakaś niedobra wiadomość? To Julien?

Gestem ręki nakazał jej milczenie i wyteńczył słuch, już na dobre rozbudzony.

— Niech pan słucha, bracie — wybuchnął — mimo wszystko nie wyciągnął mnie pan z łóżka tylko po to, żeby mnie spytać, co u mnie nowego?

— Ależ tak, oczywiście — odpowiedział Givral. — Trzeba sprawdzić, nieprawdaż?

— Założę się, że go znalazł — wtrąciła Jeanne.

Georges zakrył ręką mikrofon i powiedział do żony:

— Pozwolisz mi słuchać? Nie, po prostu nie. Nie znalazł go. Halo! Nie mógł pan zadzwonić o przyzwoitszej godzinie?

— Niech pan nie przesadza. Mnie także wyciągnięto z łóżka.

— To jeszcze nie powód... Co? Wyciągnięto pana z łóżka? Dlaczego?

- Wiedziałam o tym, wiedziałam — jęknęła Jeanne. — Znaleźli go, ale nie chce ci tego powiedzieć.
- Jak to wyciągnięto pana z łóżka? Co to znaczy?
- Nic wielkiego, to już inna sprawa.
- Georges, rozdrażniony, odwrócił się do żony.
- No widzisz...
- Jeanne zaprzeczyła energicznie ruchem palca.
- Opowiada ci bajki. Jestem pewna, że dzwoni z Morgne. Spytaj go sam...
- Georges machnął ręką, żeby dała mu spokój.
- Błagam, Jeanne, nic nie słyszę przez ciebie... Nie, mówiłem do żony. Proszę się wytłumaczyć, Givral. Co się dzieje?
- Ależ nic, powtarzam panu, panie Jourlien. Chciałem wiedzieć, czy Courtois dał o sobie znać, to wszystko. A propos, pani Courtois jest cały czas u was?
- Oczywiście... Jest tutaj. Chwileczkę.
- Zepchnął Jeanne z łóżka.
- Idź się upewnić, czy Genevieve jest w pokoju. Szybko.
- Nerwowo szukając swoich pantofli założyła szlafrok i wyszła. Przy wejściu natknęła się na służącą.
- Coś się stało, proszę pani?
- Nie. Czy pani Courtois przypadkiem nie wyszła?
- Nie wiem.
- Jeanne otworzyła drzwi. Genevieve spała spokojnie z kołdrą podciągniętą pod samą brodę.
- Dziwka! — wykrzyknęła Jeanne. — Tylko ona ma prawo spać w tym domu.
- Omam nie trzasnęła drzwiami. Służąca przyglądała się jej ciętym wzrokiem i próbowała się uśmiechać.
- Jeanne wróciła do pokoju i usłyszała, jak jej mąż mówi:
- Chwileczkę, inspektorze, nie uchwyciłem sensu...
- Notatki, które pan trzyma... Tajne rozliczenia Julienu Courtois — Givral powtórzył spokojnie.
- Tak...
- Ciągłe jeszcze chce pan złożyć skargę na swojego szwagra, nieprawdaż?
- Naturalnie.
- Więc to bardzo proste. Nie będzie pan musiał się fatygować.

Jeden z moich kolegów przyjdzie je zaraz odebrać. Dormal. Nie zapomni pan nazwiska? Dormal.

— Dormal, zgoda, ale nie rozumiem... — Zobaczył Jeanne w nogach łóżka. — O, jest tu moja żona. Powie nam, czy pani Courtois jest w swoim łóżku.

Jeanne wzruszyła ramionami.

— Jest tam i śpi snem sprawiedliwego.

— No widzi pan, mówiłem. Śpi. Nie wyszła z domu. Teraz niech mi pan wyjaśni...

— Dziękuję — odpowiedział Givral.

— Halo! Halo!

Georges trzymał słuchawkę z wyrazem zdziwienia na twarzy, jak gdyby tłumaczono mu się z tej niestosowności.

— Wyobrazasz sobie? Odłożył.

— On coś ukrywa — stwierdziła Jeanne, kładąc się ponownie.

— Niby co miałby do ukrycia? Że znalazł go w kostnicy?

Wtedy nie potrzebowałyby notatek.

— Jakich notatek?

— Jego rozliczeń. Muszę je oddać jakiemuś policjantowi, który tu po nie przyjdzie.

— Jesteś zdecydowany zrujnować swojego szwagra? Powiedz mi...

Georges wznosił ręce do nieba.

— Ale ja nic z tego nie rozumiem, kochanie. Co chcesz, żebym ci powiedział?

Jeanne odwróciła się energicznie, ale zaraz uspokoiła się i powiedziała:

— W każdym razie, jeśliby coś odkrył, to nie dzwoniłby do ciebie, żeby spytać po prostu o nowiny.

Georges odkaszlnął.

— Może. Śpij teraz, jeszcze jest wczesnie.

Pociągnął na siebie kołdrę, odwrócił się kilka razy wzdychając głęboko.

— Dość!

— Jaki sens miał ten telefon? — zaniepokoiła się Jeanne.

— Czy ja wiem? Przyjemność budzenia uczciwych ludzi o świecie.

— I nic ci nie powiedział, kiedy byłam zobaczyć czy Genevieve jest w łóżku?

— Nie. Nic, prócz tego, co usłyszałaś lub zrozumiałaś. Wiele bym dał, żeby wsadzili do paki tego gnojka!

— Tak, oczywiście! W końcu to on ponosi całą winę! Ta twoja siostra świętoszka ona nie jest winna! To nie ona popchnęła go do ostateczności, to nie ona wymogła na nim pośrednio, że popęlnia rzeczy nie na miejscu. Z powodu tej więdzmy cały świat jest skłócony, a ten biedaczek, który nie jest bardziej zły niż ktokolwiek inny, jest tropiony przez policję, jak jakiś złoczyńca.

— To jest bandyta. Gdybyś wiedziała, ile mi ukradł!

— O nie, proszę cię, nie zaczynaj od nowa. Kiedy myślę, że to jego żona, która twierdzi, że go kocha, przyniosła ci te dokumenty... Twoja podła siostra.

Georges przyglądał się z zaskoczeniem swojej żonie siedzącej na łóżku, przemawiającej z gwałtownością.

— A co Genevieve tobie zrobiła?

— Mnie nic. Ale nam, Julien.

— To tylko biedula, która nie potrafi pokierować swoim życiem.

— Jedna z tych sierotek, które nie potrafią pokierować swoim życiem, ale świetnie dają sobie radę ze zniszczeniem życia innych, tak aby wszystko, absolutnie wszystko, w razie czego nawet bałagan, kręciło się tylko wokół nich.

Chciał jeszcze protestować, ale ona ucięła tę chęć definitywnym ruchem ręki.

— Śpij już. Nie ma co dłużej o tym dyskutować.

Nie nalegał. Nigdy, kiedy miała taki wzrok i mówiła takim tonem, nie próbował kontynuować. Leżąc plecami do siebie, próbowali oddychać regularnie.

— Śpisz? — spytał cicho po chwili.

Nie odpowiedziała, ale oczy miała szeroko otwarte.

\* \* \*

Fred cicho chrapał.

Theresa, z rękoma na karku, wpatrywała się w sufit swojego małego pokoju. Westchnęła. Podobał się jej ten pokój. Każdy

jego kąt był urządzony z miłością i pomysłowością ludzi bez forsy. Nawet po rewolucji, jaką było pojawienie się Freda. Wszystko było czyste, jasne, wysprzątane. Tapczan przy ścianie, róg kuchenny, biały stół z drewna znoszący kuchenkę gazową, obok zlew jak dla lalek z małym kranem i okno wstawione między dwa załamania skośnego dachu, i jej kwiaty...

Szafka, na której było około dwudziestu książek i dwa grube tomy *Concise Oxford Dictionary* z okresu, kiedy Fred zaczynał pisać pracę. Nigdy nie przekroczył jej tytułu: *Le Gentelmen's Agreement linguistique*.

Bez określonej przyczyny Theresa czuła, że widzi swój pokój ostatni raz.

Nie miał czasu, żeby jechać do Paryża, zobaczyć swojego ojca i wrócić. Fred mnie okłamał. Jego ojciec nie miał z pewnością żadnego motywu, żeby ofiarować mu swój złoty zegarek, który królował na nocnym stoliku.

Zafrapował ją jeden detal zauważony wcześniej. Utrzymawał, że ojciec dał mu jeden banknot dziesięciotysięczny i pięć tysięcy. Plik, który trzymał, był o wiele grubszy.

Oparta na łokciu patrzyła, jak śpi. Wydawał się cierpieć z ustami na wpół otwartymi, z powiekami jak zasłoną wściekle zaciągniętą na rzeczywistość.

Sięgnęła po marynarkę Freda przewieszoną przez oparcie krzesła, poszperała w kieszeni. Portfel. Fred takiego nie miał. Prezent od ojca? Po tym wszystkim, czemu nie?

Już miała odłożyć go na miejsce, ale rozmyśliła się. Lewa część przeznaczona była na notatki. Prawa miała kilka przezroczystych kieszonek na dokumenty, fotografie. Od razu rozpoznała na jednej z nich parę ludzi. Nawet wiedziała, że na to czeka. Wczasowicz i jego żona. Żadnego zdziwienia. Wprost przeciwnie, zdziwiło ją, że wiedziała o tym od momentu ucieczki.

— Fred — powiedziała cicho tonem pełnym wyrzutu.

Mruknął tylko coś nie otwierając ust. Spał jak kłoda.

Wypuściła portfel i trzęsąc się złożyła ręce. Potem wsunęła rękę do kieszeni jego spodni i wyciągnęła pieniądze. Dziesiątki papierów po dziesięć tysięcy franków. Płakała nie czując smutku, wycierała łzy palcami nawet nie zdając sobie z tego sprawy, z fa-

talizmem właściwym prostym duszom, które domyślają się, że to byłoby zbyt pięknie i musiało się tak skończyć.

— Co ty kombinujesz? — spytał Fred ze sztywnym językiem, nie otwierając oczu.

— Nic, śpij kochanie, śpij.

Odwrócił się do niej plecami. Po chwili znów było słychać regularne pochrapywanie.

Theresa wzięła do ręki złoty zegarek. Wspaniała, szwajcarski chronometr. Na jego kopercie był wygrawerowany napis, który odczytała: *Pedrowi od jego Germaine*. Jakiś szloch wydobył się z jej gardła. Podbiegła do zlewu, żeby zwymiotować.

Całe jej ciało pokryło się gęsią skórą. Z głową ukrytą w dłoniach próbowała myśleć, a ponieważ nie odłożyła tego przeklętego zegarka, tykanie w uchu stało się dla niej nie do wytrzymania. Przez otwarte okno widziała dookoła dachy. Zamachnęła się, żeby wyrzucić ten kompromitujący przedmiot jak najdalej od tego, którego chciała chronić. Zegarek uderzył o balustradę, odbił się i spadł pionowo na ulicę.

Wychyliła się, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza, ale niczego na dole nie dostrzegła. Tym gorzej, pomyślała. Nie będzie pojednania.

Delikatnie, żeby nie obudzić Freda, po cichu potarła zapalną i włączyła gaz. Małe niebieskie płomyki tańczyły w szarości świtu. Theresa wzięła talerz. Brzeg stuknął z brzękiem o spodek, który suszył się tuż obok. Odwróciła się, ale Fred spał.

Jeszcze nie zdawała sobie sprawy z tego, że powzięła pewną decyzję.

Zapalała banknoty po dwa lub trzy i pozwalała im dopalić się na talerzu. Nie czuła najmniejszego żalu niszcząc te pieniądze które ją wybawiały z kłopotu. Następnie wywróciła portfel z całą jego zawartością. Skóra długo nie chciała się zapalić, ale kieszonki z celofanu okazały się dużo mniej odporne.

Z talerzem w ręku wyszła na ciasny, ciemny i opustoszały korytarz. Poszła do toalety na podeście, zamknęła drzwi na rygiel, wyrzuciła popiół do sedesu i pociągnęła za łańcuch. Zasląbla z emocji. Wszystko wokół zawiroowało. Oparła się czołem o matową szybę drzwi. Jedną ręką gładziła swój brzuch, bełkocząc:

— Nie teraz, mój mały skarbie. To się zaraz skończy.



Po powrocie do pokoju opłukała talerz, wytarła go dokładnie i odłożyła na miejsce. Nad płomieniami gazu ogrzała sobie zmarznięte od zimnej wody palce. Znowu pogłaskała brzuch szepcząc z wielką czułością:

— Nie masz szczęścia, kochany. W każdym razie i tak naprawdę nigdy nie miałbyś taty... Jakiś starszy brat, trochę postrzelony...

Machinalnie zgasła płomień nie przekręcając kurka kuchenki gazowej.

Patrząc dokoła i słysząc lekki syk wydobywający się z palników, zdała sobie sprawę, że gaz jest otwarty.

Jej wzrok utkwiony był w małych, czarnych otworach, z których wyslizgiwała się niewidzialna i bezbolesna śmierć. Wszystko jedno. Coś rodziło się w jej głowie i sercu, ale nie wiedziała czy to jest szczęście, czy też smutek.

Wyrwała się z rozmyślań i podeszła do łóżka. Odkrywając kołdrę musnęła lekko ustami pierś swojego kochanka. Nie poruszył się. Cały czas na bosy, z figlarną miną łobuza, który robi to, co niedozwolone, szukała w szafie za prześcieradłami egzemplarza *Kwiatów zła*. Gdyby Fred widział ją czytającą te „trucs de midinette”, byłby wściekły do czerwoności.

Trzymając książkę w ręku położyła się obok niego. Zamarła na moment i zauważyła otwarte okno. Wzruszyła ramionami i pobiegła je zamknąć. Fred poruszył się mamrocząc:

— To nie koniec, nie?

— Tak, kochanie. To koniec. Wszystko skończone.

Ponownie weszła do łóżka, układając się jak matka zaraz po porodzie, przygotowana na odwiedziny rodziców i przyjaciół. Lecz ona czekała na coś innego. Na śmierć. Otworzyła książkę. Strona 224. Znała ją od zawsze.

Jej usta z lekka się uśmiechnęły. Dwa tytuły ukazały się ostentacyjnie jeden obok drugiego. *Śmierć kochanków. Śmierć nędzarzy*. Wyżej, tytuł rozdziału: *Śmierć*.

Instynktownie otworzyła usta, żeby złapać oddech i zaśmiała się cichutko:

— Ale jestem głupia!

Przeczytała:

*Zapachów lekkich pełne będą nasze łóża,  
Łóża jak grób głębokie — a w środku komnaty  
Będą dla nas w wazonach kwitły dziwne kwiaty,  
Rozkwitłe pod jaśniejszym błękitem przestworza.\**

Trochę poruszona, przeskoczyła oczami na inną stronę:

*To anioł, który trzyma w dłoniach magnetycznych  
Potęgę snu i dary widzeń ekstatycznych  
I które ściele łóża obdartym żebrakom...\*\**

— Obdartym żebrakom — powtórzyła.

Odrzuciła na bok przykrycie i podziwiała ciało Freda. Miała na sobie jeszcze podomkę i wzdrygnęła się, jakby to była jakaś profanacja. Zaraz zrobiła z nią porządek zrzucając ją z siebie. Jakieś niejasno obrzydliwe upojenie przenikało ją.

— Mój Boże, zegarek...

Ale jej myśl wirowała. To wszystko było tak mało ważne w wielkiej, czarnej dziurze, jaka ją wchłaniała... W cieniu... Cień się zaciera... Gilotyny też...

\* \* \*

Zegarek?

Poranna sprzątaczką udając się na rynek podniosła go z chodnika i odniosła na komisariat.

Są jeszcze uczciwi ludzie we Francji. Zresztą był zepsuty.

\* \* \*

Książka zsunęła się Theresie na kolana. Przytuliła się do Freda i wzięła go w ramiona. Jej umysł pomieszał już kochanka z synem. Jakieś delikatne ciepło wydobywało się z tego kochanego ciała. Jakby coś czystego i wiecznego, dalej niż myśl ludzka. W półświadomości mruknął niewyraźnie. Kołysała go, pieściła mu włosy.

---

\* Przekład Bronisławy Ostrowskiej.

\*\* Przekład Antoniego Langego.

— Śpij, kochanie. Nie obawiaj się niczego, mamusia wszystko zaplanowała. Nikt nie będzie wiedział. Nikt nie będzie o niczym wiedział... O niczym...

Chciała krzyknąć ze wszystkich sił: — NIC!

Żaden dźwięk nie wydobył się z jej ust, ale ona już tego nie zauważała.

W ciszy poranka słyszeć było tylko syczenie gazu, które wypełniało pokój.

## 18.

Pod koniec Alei Georgesesa V, Julien Courtois przejechał na czerwonym świetle i gwałtownie zahamował. Samochód zahuszał się na amortyzatorach, przyprawiając kierowcę o mdłości.

Jakiś policjant odwrócił się na odgłos pisku opon. Julien zgryzł sobie wargi aż do krwi. Uważaj, to próba. Nie obawiaj się niczego. Nikt nie może nic wiedzieć.

Policjant uśmiechał się podchodząc do niego. Broda Juliena na skutek dygotania, przybrała żaloszny wygląd.

— Co się stało, proszę pana? Nie obudziliśmy się jeszcze?

Wybełkotał:

— Kiedy wychodzi się tak wcześnie...

Policjant nadał się:

— Za bardzo się pan śpieszy. Nawet się pan nie ogolił...

Światło zmieniło się na zielone. Policjant uczynił wspaniałomyślny gest, żeby Julien jechał dalej.

Zmieszany kierowca zapomniał zgrać czynności. Skrzynia biegów zaprotestowała.

— Co jest, proszę się uspokoić — zażartował stróż spokoju — chyba nie zamęczysz pan wozu z tak błahego powodu.

— To dlatego — wyjąkał Julien chcąc się usprawiedliwić — że muszę zdążyć na pociąg. No i...

Policjant już go nie słuchał, kartkując świeże gazety w sąsiednim stoisku. Jakimś cudem udało mu się ustawić dźwignię biegów we właściwym położeniu i samochód ruszył do przodu. Ale silnik się zakrztusił.

— Jeszcze się na dobre nie obudził — zwierzył się munduro-

wy sprzedawczyni gazet, która chuchając próbowała ogrzać sobie dłonie.

— Jest zimniej niż wczoraj — odpowiedziała. — Zastanawiam się, jak radzą sobie inni.

Pokazała w gazecie mały urywek: *Z OSTATNIEJ GODZINY: Para wczasowiczów bestialsko zamordowana w lasku Marly. Morderca zbiegł.*

— Widział pan to?

Gliniarz zadzwonił zębami i potrząsnął głową. Sprzedawczyni skomentowała:

— Niektórzy to mają pomysły... Jechać na camping o tej porze!

— No... Przecież nie było tak zimno... A w ogóle to kalendarz się spóźnia, a nie wczasowicze się śpieszą!

— Niech pan powie... póki co... zabójca zbiegł...

Gestem ręki, odzianej w białą rękawiczkę, zapewnił ją:

— Dostaniemy go, niech pani będzie spokojna. Mamy oko, my...

Wracając nonszalanckim krokiem na swój posterunek, w rogu placu l'Alma, zobaczył czerwoną fregatę stojącą przy wjeździe na most. Z miejsca gdzie stał, słyszał gwałtowne szarpanie rozrusznika. Skierował się w tamtą stronę.

Julien zauważył w lusterku nadchodzącego policjanta. Przebiegł go dreszcz. Powtarzał: To jest dalszy ciąg próby. Trzymaj się mocno. Jeśli przejdiesz ten test, jesteś uratowany.

Policjant pochylił się nad nim.

— Niech pan tego nie robi, widzę, że właśnie zalewa pan silnik.

Julien był posłuszny. On nie może wiedzieć. Nikt nie może o niczym wiedzieć.

— Niech pan wrzuci dwójkę — kontynuował policjant. — Popchnę pana.

— Tak... Dobrze, powie mi pan, kiedy trzeba będzie puścić...

— Dalej...

Silnik zaskoczył. Policjant jednak zmarszczył brwi, wyrażając swoje podejrzenie.

— Proszę mi powiedzieć, jest pan bardzo zdenerwowany, już dwa razy zgasł panu silnik. Ma pan prawo jazdy?

— Ależ oczywiście.

— Proszę pokazać.

Nagle wydał się poważny, a nawet surowy. Julien plątał się między ubraniami i wyciągnął w pośpiechu dokumenty. Policjant je sprawdził, patrząc nieprzyjaznym okiem. Julien obgryzał sobie paznokcie.

— Dobrze. — Oddał mu jego prawo jazdy. — To musi być gaźnik.

Julien nie śmiał nawet oddychać.

— Dalej — powtórzył policjant. — Na dwójkę i jak tylko dam panu znać, proszę puścić...

Z białą pałką przytroczoną do boku zaparł się o bagażnik. Koła obróciły się z wolna. Policjant pchał i sapał. Prawie w połowie mostu krzyknął:

— Jużzzz...

Czerwona fregata szarpnęła i z rury wydechowej wydobyły się kłęby siniego dymu. Policjant został na miejscu i wycierał ręce w chusteczkę.

— To był na pewno gaźnik, nie? — krzyknął.

Ale samochód był już w pełnym biegu.

Zrobił lekceważącą minę: — Mógłby przynajmniej powiedzieć: dziękuję.

\* \* \*

Na ulicy Molitor Givral ukrył się w pretensjonalnej bramie głównej. Było mu zimno i przeklinał swój zawód. Słyszając nadjeżdżający samochód, wyrzucił zgaszony niedopałek. To była, rzecz jasną, czerwona fregata. Sprawdził numer rejestracyjny i zadowolenie pojawiło się na jego twarzy.

Mężczyzna wysiadł z auta i przeszedł obok niego posyłając mu to szybkie i zaszokowane spojrzenie, charakterystyczne dla włóczęgów z dzielnic peryferyjnych. Inspektor pozwolił mu wejść do budynku, a następnie w świetle lampy korytarza obejrzał fotografię, którą dał mu Georges.

Gwizdnął cicho. Jakiś mężczyzna podbiegł do niego.

— To on, szefie? Chyba oszalał, że tu przyszedł.

— Wszyscy w tej sprawie są szaleni, synu. Tu nie ma nic zrozumiałego. Ale zdajesz sobie teraz sprawę, co to jest instynkt?

— Dlaczego? Przecież pan sam przeklinał, kiedy komisarz pana tu przysłał!

— Dokładnie. To jest to, zawód... Więc zostań tu. Ja idę.

Młody asystent potarł sobie ręce, potem ogrzał je pod pachami. Julien, wycieńczony, zdawał się koncentrować pod drzwiami.

— Przepraszam pana... — Nieznajomy pokazał swoją legitymację.

Julien nie mógł opanować trwogi. Givral uśmiechnął się smutno.

— Pan jest z pewnością Julienem Courtois?

— Tak... Tak, dlaczego? — On także się uśmiechnął, odważnie, pomimo tik, który poruszał kącikami ust, rysując zmarszczki.

— Nic specjalnego. Pańska żona zgłosiła pana zniknięcie w sobotę wieczorem, więc... Czyż nie?

Julien zmieszał się: — Moja żona? — Zapomniał o niej. — Biedaczka, rzeczywiście... Musiała się niepokoić. Byłem nieobecny i... — urwał. Byłoby lepiej, gdyby mniej mówił. W każdym razie nikt nie mógł o niczym wiedzieć. Zaraz ją uspokoję.

Otworzył drzwi, wszedł do mieszkania i odwrócił się:

— Dziękuję panu.

Jego rozmówca postawił łagodnie nogę na progu, uniemożliwiając mu zamknięcie drzwi.

— Pana żony tam nie ma.

— Co pan opowiada? Stracił pan głowę?

— Nie ja, niestety. Ona jest u pańskiego brata.

— U Georges'a? Co za pomysł!

Potrząsnął nerwowo głową; głową, która nie potrafiła już uporządkować myśli krzyżujących się nawzajem, snujących się ze strony na stronę, uderzających o ściany czaszki, jakby to było więzienie.

— No właśnie — mówił dalej inspektor. — Wydaje się, że ona chce rozwodu.

— Ale to niemożliwe!

Wpadł do środka krzycząc: — Genevieve!

— Nie trzeba, proszę pana. Tam jej nie ma. Powtarzam panu, że schroniła się u brata.

Julien musiał usiąść. Tylko ani słowa o Bordgrisie. Co to w ogóle za historia? I ten glina, który nie przestawał... Co on mówi?

— Pan Jourlien, ze swej strony, wniesie na pana skargę, za oszustwo...

— Co?!

Podskoczył, pchnął nerwowo drzwi do sypialni i przetrząsnął gorączkowo sekretarzyk. Stojący za nim Givral spokojnym wzrokiem śledził jego poczynania z pewnym odcieniem żalu, jakby chciał zmusić go do przyznania się.

— Jeśli szuka pan swojej tajnej rachunkowości, to jeden z moich kolegów prawdopodobnie już ją niesie do prokuratora Republiki.

Julien nie chciał się odwracać. Najpierw musiał wziąć się w garść. Wszystko to, tak naprawdę, było mało ważne. To, co się liczyło, to był Bordgris. I dlatego nikt o niczym nie wiedział. Oprócz niego. I nieboszczyka. Do cholery! Wszystko szło dobrze, i gdyby nie ta winda...

— Pańska żona — konytnuował Givral — zwierzyła się swojemu bratu. O wszystkim mu doniosła.

Julien ani drgnął. To wszystko nie jest aż takie poważne.

Givral nie dawał spokoju.

— Samo życie, czego pan chce. Wszystko na pana spada tak od razu. Żona pana opuszcza, jest pan oskarżony przez swojego szwagra o oszustwo... A teraz my przychodzimy zanudzać pana w sprawie Marly...

— Marly?

Insektor zniżył głos: — Jednym słowem, jest pan załatwiony, panie Courtois.

Ku swemu wielkiemu zdziwieniu Julien, odwracając się twarzą do tego człowieka, zdawał się doznawać ulgi.

— Ba! Żądza pieniądza jest nieśmiertelna.

Spuścił z tonu — pomyślał policjant.

— Pozwoli pan, muszę przedzwonić.

Nie czekając Givral podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Julien porządkował myśli. Przekonać Genevieve. Pestka. Georges nie wniósłby skargi. Sfałszowane rachunki? Mógłby wykręcić się od płacenia grzywny Urzędowi Podatkowemu. W ostatecznym rozrachunku to Georges by zabulił. Givral obserwując go zauważył nikły uśmiech.

— Halo! Tak? To ty, Marcel? Givral. Możesz zdjąć Moroisa z obserwacji budynku *Uma-Standard*. Właśnie, dopiero co go dopadłem u niego w domu. Jasne, tata Givral jest zawsze na



miejscu! Uprzedź szefa, że go zabieram. I wyślij ludzi po wóz na ulicę Molitor... Frajer, przyjechał samochodem... Do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę.

— W drogę, panie Courtois.

Julien wyprostował się.

— Pan mnie aresztuje? Ma pan nakaz?

Givral rozłożył ręce, jakby przepraszając.

— Nie było czasu. Wszystko to było za szybko. Proszę sobie wyobrazić, że całą tę aferę odkryto o piątej nad ranem. Już za piętnaście szósta wyciągnięto mnie z łóżka.

— Wszystko to bardzo pięknie, ale mógłbym na przykład odmówić pójścia z panem.

— Oczywiście. Nie mógłbym nawet pana do tego zmusić.

— W takim razie...

Pokonał odległość dzielącą go od drzwi robiąc cztery szybkie kroki i schodził już ze schodów. Givral szedł za nim bez większego pośpiechu. Schodząc zderzył się z jakimś osobnikiem, który zapytał go grzecznie:

— Nie widział pan przypadkiem u góry mojego kolegi?

— Nie mam czasu, ja...

— Będzie pan go miał całkiem sporo, panie Courtois — wtrącił Givral widząc ich obu. — Idziemy.

Inspektor trzasnął mocno drzwiami. Wstrząs podobny do wyładowania elektrycznego przebiegł przez ciało Julienu. Te drzwi zamykały się wiele razy w jego snach o odzyskiwanej wolności.

Ten charakterystyczny hałas miał go już nie opuszczać przez wiele długich dni.

\* \* \*

W taksówce Givral pokazał mu poranną gazetę, wskazując na krótką informację z ostatniej chwili: *Para wczasowiczów bestialsko zamordowana w lasku Marly. Marly... Marly?... Morderca zbiegl.*

— Dlaczego pan mi to pokazuje?

Policjant nie odpowiedział i głośno zatrzasnął drzwi od samochodu, aż Julien podskoczył.

\* \* \*

Krata zatrzasnęła się za nim. Czy zamyka się ludzi za jakąś głupią skargę?

\* \* \*

Ktoś krzyknął:

— Drzwi! Jest przeciąg!

— Dobra, dobra, nie podniecaj się.

Gdzieś dalej trzasnęły inne drzwi.

\* \* \*

Ze wszystkich sił próbował zachować zimną krew.

O ile ja nie będę mówił, oni nie mogą o niczym wiedzieć. Gdyby tylko nie było tych wszystkich trzaskających drzwi.

W południe, razem z zupą podano mu przez kraty pierwsze wydanie dziennika wieczornego. Zlekceważył artykuł, który zajmował połowę pierwszej strony: *Para wczasowiczów zamordowana w lasu Marly*.

Co im odbija, żeby mnie zanudzać czymś takim?

*Policja zatrzymała mordercę.*

Ale szybko. Raz im się udało.

Rozłożył gazetę i z jego gardła wydobył się zdławiony krzyk. Pod nagłówkiem rozpoznał swoje zdjęcie, to, którego Genevieve nie cierpiała i które Georges zatrzymał. Chwycił za kraty i zaczął nimi trząść:

— Jestem niewinny! Wypuście mnie!

Nadbiegł strażnik:

— Gęba na kłódkę. Wkrótce będziesz się tłumaczył. Mnie to nie interesuje.

Rzucił się na pryczę. Strażnik wyszedł trzaskając drzwiami od korytarza. Julien miał drgawki i wybuchnął szlochem.

\* \* \*

Podczas długich godzin tłumaczył sobie: Spokój. Ani słowa. W gruncie rzeczy jesteś obroniony. Ta głupia pomyłka dotrze do

wszystkich, a w międzyczasie sprawa Bordgrisa przeminie nie zauważona. To niemożliwe, bo nie ruszyłeś tej przeklętej windy. Szczególnie nic na temat windy. *Uma-Standard*. Winda. Bordgris. Tajemnica.

Obok niego rozległo się jakieś trzaśnięcie. Krzyknął:

— Przestańcie trzaskać drzwiami, do cholery!

Julien zatkał sobie uszy.

\* \* \*

Komisarz — a może raczej sędzia śledczy? Dość młody. Wydawał się zimny i drobiazgowy. Miał dopinany kołnierzyk i wykrochmalone mankiety. Prawdopodobnie chciał podwyższyć swój status. Julien spróbował się opanować.

— Proszę pana, w tej historii jest jakaś straszna pomyłka, jakieś tragiczne nieporozumienie. Pokazano mi prasę i ku mojemu wielkiemu zdziwieniu stwierdziłem, że jestem zatrzymany z powodu zbrodni, podłej, łajdackiej, której nie mógłbym... Słyszysz pan? Nie mógłbym popełnić...

Zamilkł. Tamten musiał być chyba głuchy, bo nie zareagował. Uczynił nieznaczny ruch i jakiś mężczyzna podniósł się zza biurka i podszedł rozkładając płaszcz nieprzemakalny Juliena.

— Czy to pana ubranie?

— Tak. Dlaczego?

— To, które pan nosił podczas minionego weekendu?

Powinienem powiedzieć, że nie. Miałem marynarkę. Muszę być bardzo pewny swego.

— Zaiste. Zostawiłem marynarkę w biurze, prosząc sekretarkę o zanieśenie jej do czyszczenia, bo...

— Pana marynarka w ogóle mnie nie interesuje. Pytam pana, czy miał pan na sobie ten płaszcz w sobotę wieczorem, w niedzielę i w nocy z niedzieli na poniedziałek.

— Tak — odparł obrażony.

Komisarz zdawał się być zadowolony, więc Julien wyteńczył słuch.

Uwaga na pułapki. Oni są szczwani.

Mężczyzna odłożył płaszcz i sięgnął po rewolwer.

— Czy rozpoznaje pan tę broń?

Julien nie dowierzał własnym oczom, przyglądał się przedmiotowi. Bordgrisa zabiłem z jego własnego rewolweru produkcji włoskiej. Mój jest z manufaktury w Saint-Etienne... Można by powiedzieć, że to jest ten...

— No jak? Rozpoznaje pan tę broń?

— Mogę go wziąć do ręki?

— Proszę.

Zagarnął go, obmacał i sprawdził. Żadnej wątpliwości.

— To na pewno mój rewolwer.

— Kiedy go pan widział po raz ostatni?

— W sobotę wieczorem — odpowiedział bez wahania. — Był w mojej kieszeni. Już teraz nie wiem, czy zatrzymałem go przy sobie. Może włożyłem do skrytki w samochodzie.

Nie odpowiedział na dalsze pytania. Jego kieszeń... To była przecież kieszeń jego marynarki... To jest jakaś intryga marynarkowo-płaszczowa, którą trzeba wyjaśnić, zanim się odpowie.

Zresztą już nie pytali. Chyba byli zadowoleni.

W podwórzu stała czerwona fregata. Przesłuchanie zaczęło się od nowa.

— Czy to pański samochód?

Znowu wyczuł podstęp. Sprawdził starannie tablicę rejestracyjną, lewy reflektor z popękany szkłem, ślad od papierosa na tablicy rozdzielczej tuż obok popielniczki i rozdarty materiał na tylnym siedzeniu.

— Tak — uznał wreszcie — to na pewno mój samochód.

Wrócili do biura. Julien wyczuwał, że przegrał pierwszą bitwę lecz nie był zwyciężony. Wiedział dokładnie, że nie zamordował tej nieszczęsnej pary, wczasowiczów. Wiedział też, że nigdy nie był w Marly. Nie miał nawet pojęcia, przez którą rogatkę Paryża jedzie się do Marly.

— Julien Courtois, oskarżam pana o nocny napad z bronią w rękę, kradzież i morderstwo z premedytacją na osobie Pedra Carassi, obywatela brazylijskiego i jego żony Germaine, urodzonej w Tarivel, w nocy z 27 na 28 kwietnia, w Marly-le-Roi, Seine-et-Oise...

Wysłuchał do końca, a następnie oświadczył powoli:

— Protestuję zdecydowanie przeciwko temu oskarżeniu. Nie zabiłem tych ludzi. Nie mógłbym tego zrobić.

Zatrzymał się nad czymś, co wydawało mu się przepaścią — ujawnieniem swojego niepodważalnego, lecz niebezpiecznego alibi: windy.

\* \* \*

Tej pierwszej nocy spędzonej w prawdziwym więzieniu sporządził wstępne podsumowanie. Znał już wroga, przeciw któremu miał walczyć i który wydawał mu się śmiechu wart.

Adwokat o wyglądzie uczciwego faceta. Trzeba mu pozwolić mówić, a ja muszę milczeć. Zażądam widzenia się z Genevieve. Ona z tą swoją zazdrością! W co mnie wpakowała! To nie jej wina, oczywiście, ale moja wcale. Ostrożnie z Genevieve. Ostrożnie z adwokatem. Ani słowa o Bordgrisie, o windzie. Historia Marly weźmie w łeb, ponieważ wyjaśni się sama.

Nie mógł zasnąć i przekręcając się z boku na bok na swojej pryczy miał ochotę się roześmiać:

— To ja zabiłem Bordgrisa, bando palantów! Jestem facetem z windy!

Następnie powiedział sobie w duchu: ani słowa i wszystko pójdzie jak po maśle.

# 19.

Przesłuchanie za przesłuchaniem, ekspertyzy, konfrontacje... W czasie tych kilku dni Julien trzymał się dzielnie, pewien swojej niewinności, przed głównym oskarżycielem. Był jednocześnie ufny i przestraszony, ale walczył czepiając się wszystkich możliwości.

— Gdzie pan był w nocy z soboty na niedzielę?

— Odmawiam odpowiedzi.

— A w nocy z niedzieli na poniedziałek?

— Odmawiam odpowiedzi.

Sędzia zwrócił się do adwokata:

— Proszę poradzić swojemu klientowi, żeby wybrał inny sposób na obronę.

— Błagam pana, Courtois, niech pan skończy z tym milczeniem — prosił adwokat.

— On chce, żebyśmy uwierzyli, że broni honoru jakiejś kobiety — stwierdził pogardliwie sędzia. — Courtois, w pana sytuacji, jeśli jest jakaś kobieta, niech pan mówi, tak będzie lepiej. Honor już się nie liczy. Albo ocali pan swoją głowę, albo jej reputację.

Adwokat spróbował odwrócić uwagę:

— Trzeba dać tej kobiecie czas, aby ujawniła się sama, panie sędzio. Zresztą Courtois postępuje jak gentelman i...

— Proszę pana, ta kobieta nie istnieje, wie pan o tym równie dobrze jak ja. A jeśli już chodzi o krycie kogoś, to...

— Nikogo nie kryję — powiedział spokojnie Julien — i mam zaufanie do sprawiedliwości. Nie możecie mi udowodnić popełnienia tej zbrodni z prostego powodu: ja tego nie zrobiłem!

\* \* \*

Przyprowadzono go i odprowadzono. Areszt. Biuro sędziego śledczego. Najbardziej zaskakujące było to, że rozpoznawali go świadkowie.

Małżeństwo w podeszłym wieku... Skąd oni się wzięli?

— Courtois — powiedział sędzia — oto dwoje świadków, którzy widzieli pana w Marly w sobotę wieczorem, całą niedzielę i w nocy z niedzieli na poniedziałek.

Julien, któremu skierowano światło w twarz, przesunął się nieco, żeby lepiej ich zobaczyć. Robili dziwne miny porozumiewając się wzrokiem. Mężczyzna wahał się...

— Wzrost mniej więcej ten sam, z pewnością, ale on się chował.

— Proszę pozwolić — przerwała kobieta — w naszym zawodzie nabywa się pewnej wiedzy o ludziach. Ja twierdzę, że to jest on.

Adwokat był skory do uchwycenia i podkreślenia najdrobniejszego szczegółu.

— Chwileczkę. Jest pewna sprzeczność. Powiedziała pani po pierwsze, że miała pani akurat awarię prądu, po drugie, że ta osoba starannie ukrywała swój wygląd. Proszę wytłumaczyć, jak w tych warunkach można być tak pewnym, podczas gdy pani mąż...

Mathilde uśmiechnęła się z wyższością.

— To, co odróżnia kobietę od mężczyzny, drogi panie, to instynkt.

— Proszę sobie wyobrazić, droga pani, że sprawiedliwość żąda faktów.

— Nie ma pan dość faktów? — odparł sędzia. — Samochód. Nazwisko, które podaje ten tajemniczy gość — Courtois. Narzędzie zbrodni. I wreszcie — nie zapominajmy o płaszczu nieprzemakalnym.

O co im wszystkim chodzi z tym nieprzemakalnym?

Adwokat na szczęście potrząsnął głową.

— Nie przesadzajmy, te dwa zeznania negują się. Żona mówi tak, mąż — nie.

Charles poczerwieniał ze złości.

— O, przepraszam. Nie powiedziałem ani tak, ani nie.

— Mała różnica — dodała zręcznie Mathilde.

Tych dwoje działało Julienowi na nerwy. Kobieta zaczęła od nowa szturchając męża łokciem.

— Powiem ci, Charles, co ci nie pasuje. To, że jest teraz inaczej ubrany. Najpierw miał na sobie golf, a potem widzieliśmy go w płaszczu nieprzemakalnym, prawda?

— Golf! — krzyknął adwokat. — Widzi pan? Założę się, że mój klient nawet takiego nie posiada.

Julien wzruszył ramionami. Mógł domagać się obrońcy bardziej doświadczonego i przebiegłego.

— Ależ tak, mam jeden. Wkładam go, kiedy jadę na wieś.

— I właśnie wtedy miał pan jechać na wieś, tak jak to pan oznajmił portierowi.

— Ależ ja tego nie neguję. Tylko że gdybym wyjechał bezpośrednio z biura, to nie miałbym możliwości włożenia golfu, ponieważ został w domu, a zresztą miałem na sobie szarą koszulę. Tę samą, w której mnie zatrzymano.

— Szczegóły tego, gdzie pan chodził poznamy za chwilę, Courtois. Wróćmy teraz do tego, co powiedział pan portierowi. Powiedział mu pan, chwileczkę... — Sprawdził swoje zapiski. — Tu... Spędzę weekend z najbardziej czarującą kobietą.

Julien zmarszczył brwi.

— Tak, zdaje się...

Sędzia zwrócił się do adwokata:

— Pana klient wpada we własne sidła, drogi panie, to staje się zbyt łatwe.

— Ani trochę! Courtois powiedział nam, że w jego mniemaniu najbardziej czarującą z kobiet jest jego małżonka.

— Więc jak to jest, że nie zabrał jej ze sobą?

Julien o mało nie wybuchnął śmiechem. Ci faceci są śmieszni. Nie wziął jej ze sobą, bo był zaklinowany w... Gwałtownie się pohamował. Zamknął usta w samą porę. Uf! Przecież o mały włos nie wyjawił sprawy windy. Ta historia z „najbardziej czarującą kobietą” i „golfem” coraz bardziej mu ciążyła. W tym momencie sędzia triumfował.

— Trzymam pana za słowo, drogi panie. Pani Courtois nie może stwierdzić, czy sweter znajdował się w mieszkaniu. Natomiast pański klient potwierdził ze swej strony, że w pomieszczeniu przyległym do jego biura jest szafka z bielizną...



Obrońcy kończyły się argumenty. Rezygnował, przynajmniej tymczasowo, próbując uczynić jakiś gest: co za upór. Odwrócił się do Charlesa.

— Jesteśmy więc tym razem zgodni, że co do identyfikacji oskarżonego pozostaje pan neutralny?...

Ten nie miał nawet czasu na odpowiedź. Mathilde skierowała się ku sędziemu, przechodząc ostentacyjnie obok adwokata.

— Jestem przekonana, że mój mąż byłby zdecydowany, gdyby ten pan miał na sobie płaszcz nieprzemakalny.

— Świetny pomysł. Zechce go pan założyć, panie Courtois.

Zrobił to okazując swoje niezadowolenie. Coś takiego, nie zauważył rozcięcia na lewym ramieniu. Musiał gdzieś zahaczyć.

— Teraz proszę się przyjrzeć. Czy to on?

Charles robił jakieś miny, mrugał oczami, przyglądał mu się uważnie ze wszystkich stron. Julien znużony zadrwił sobie z niego.

— Więc to ja, co?

Rozgniewana Mathilde natychmiast odpowiedziała:

— Bez wątpienia. To on.

Ale Charles przygryzł wargi. Jego żona nalegała.

— Co jest, zdecyduj się, widzisz przecież... Przypomnij sobie...

Hotelarz wzruszył ramionami.

— Czego chcesz? Sposób, w jaki przemykał się w mroku, w jaki odwracał głowę... — skarcił Mathilde. — Sama wiesz, że się ukrywał, nie chciał, żeby go ktoś zobaczył. Ty sama powiedziałaś, że musiał być z kochanką i dlatego...

— Widzisz, jak się mylisz — przerwała Mathilde. — Wcale nie z tego powodu ukrywał swój wygląd.

— Bardzo proszę, nie wyciągajcie wniosków — wtrącił adwokat.

— Pani ma rację — rozstrzygnął sędzia. — Było tak dlatego, że Courtois przygotowywał swój napad i w konsekwencji wolał nie zostać rozpoznany.

Dyskutowali ostro. Mathilde mieszała się do rozmowy zarozumiale. Cały czas miała ten drwiący uśmieszek, który znaczył — my, ludzie inteligentni rozumiemy się, panie sędzio. Dla Juliana

w ostatniej wypowiedzi było coś, co nie pasowało. Tak jest! Znalazł!

— Pozwoli pan? Jeśli dobrze zrozumiałem, śledztwo wykazało, że ci wczasowicze przybyli w niedzielę rano. W takim razie jak mogłem przygotowywać swój napad od soboty wieczorem?

Był z siebie zadowolony i nie wiedział dlaczego jego adwokat miał minę skopanego psa, a sędzia szeroki uśmiech na ustach, i dlaczego podchodząc do niego miał dziwny błysk w oczach, wyrażający zadowolenie i złośliwość zarazem.

— Przyznaje się więc pan, że był pan w Marly?

— Nic podobnego. Nie to chciałem powiedzieć.

— Proste przypuszczenie, panie sędzio — obwieścił obrońca — nie żadne przyznanie się.

— Pana klient się zdradził, miły panie.

— Nie! Nie! — Julien wrzasnął. Uczynił straszny wysiłek. Jego adwokat z pewnością miał poczucie niższości. Jego uwaga wyostrzyła się tym bardziej, że ocalenie zależało tylko od niego.

— Panie sędzio, nie odpowiedział pan mimo wszystko na moje pytanie.

— Załóżmy, że przygotowywał pan napad. To proste.

Julien rozdziwił się w pewnym stopniu. Jedna jego część była zastępowaniem drogi odkryciom, które mogłyby obalić cały stos oskarżeń. Druga, bliższa rzeczywistości, bawiła się widząc ludzi rozprawiających poważnie nad tą farszą. Do cholery, przecież to śmieszne! Na pewno zauważą pomyłkę.

Nieświadomie bawił się guzikami płaszczka nieprzemakalnego. Nagle wydał okrzyk:

— Brakuje jednego guzika!

Adwokat znowu podskoczył.

— Niech się pan nie niepokoi — rzucił sędzia z fałszywą ckliwością. — Znaleźliśmy go.

— Tak? W samochodzie?

— Nie. W dłoni jednej z ofiar.

Julien zbladł. Sędzia ciągnął dalej, zwracając się do Charlesa:

— Nie jest pan pewien czy rozpoznaje oskarżonego, ale rozpoznaje pan dokładnie ubranie, które nosił?

— Co do tego, tak. Ostatnim razem zauważyłem to rozcięcie na ramieniu.

— Kiedy pan to zauważył?

— Ostatnim razem. W niedzielę w nocy.

— Chciał raczej powiedzieć: w poniedziałek nad ranem — dodała Mathilde.

— Dziękuję pani. Jesteście zgodni oboje co do tego punktu, że zniszczenie jako takie nie istniało przedtem?

— Nie — powiedział Charles. — Nawet sobie pomyślałem widząc go po raz pierwszy, że ma płaszcz, który by mi się przydał.

— Ten jego jest w stanie... — dodała Mathilde.

— To będzie wszystko. Dziękuję państwu.

Mathilde była wściekła, że ją tak szybko odprawiono. Wyszli. Trzasnęły drzwi. Julien podskoczył i zaraz usiadł. Sędzia mówił do adwokata łagodnym tonem:

— No więc, mój panie, właśnie wykazaliśmy spore przypuszczenia premedytacji.

Obrońca odpowiedział przypominając o ułomności ludzkich zeznań, na co sędzia znowu zaczął o płaszczu nieprzemakalnym.

Kiedy wyprowadzono go, Julien pomyślał: ten płaszcz nieprzemakalny jest tuniką Nessusa.

\* \* \*

Przyprowadzono go znowu. Zdecydował się ujawnić kilka faktów.

— Kłamałem w jednym punkcie. Nie nosiłem płaszcza nieprzemakalnego w czasie weekendu.

Od jakiegoś już czasu marynarka powinna być wyczyszczona. Sędzia uśmiechnął się i kazał wprowadzić Denise.

— Sądziłam, że wyjdzie w marynarce. Ale nie. W poniedziałek rano znalazłam wiadomość...

Z jego informacji wynika, że w poniedziałek rano marynarka znajdowała się w biurze, a nie na Julienie. Według Denise wszystko jest jasne: wyjechał w płaszczu nieprzemakalnym.

Julien przeszywał ją wzrokiem, jakby chcąc się zemścić patrząc na jej drobny tyłeczek i wysmukłe łydki, a następnie zwrócił się do swojego kata:

— Pana dedukcja byłaby słuszna, gdybym w poniedziałek rano nie przyszedł do biura przed Denise.

— To interesujące...

Nie dręczono go już. Został wyprowadzony. W celi Julien pomyślał sobie, że zbyt dużo mówi. Marynarka, powrót do biura... Czy to nie staje się niebezpieczne, takie stopniowe ustępowanie punkt po punkcie?

Przyprowadzono go znowu i tym razem znalazł się naprzeciw Alberta.

— Albercie Chirieux, widział pan Courtoisa, kiedy ten opuszczał budynek w sobotę wieczorem, o szóstej trzydzieści. Miał wtedy na sobie marynarkę czy płaszcz nieprzemakalny?

Portier przewiesił swój płaszcz przez rękę, zamknął oczy i zacisnął usta.

— Powiem panu, panie sędzio, że nie wiem.

— Proszę się wysilić...

— Spróbuję. Pan Courtois ubiera się zawsze na szaro, prawda, więc trudno jest stwierdzić... No i nie było już widno o tej porze.

— W nocy wszystkie koty są szare — zażartował obrońca.

Julien podziękował mu spojrzeniem, ale sędzia nie był zadowolony.

— Proszę się dobrze zastanowić, Chirieux.

— Jeśli chce pan znać moją opinię, panie sędzio, to sądzę, że to był płaszcz.

Dłoń sędziego uderzyła w biurko. Julien podskoczył. Obrońca wzburzył się.

— To jedynie wrażenie świadka będącego pod wpływem gazet. Oskarżenie powinno być oparte na solidnych faktach.

— Na faktach? A może nie ma ich dość? A narzędzie zbrodni? A samochód? A guzik od płaszcza? — wściekł się sędzia.

Obrońca chciał mówić, ale sędzia mu przeszkodził.

— Dlaczego Courtois nie zeznał od razu, że miał na sobie marynarkę? Trzeba było rozpoznać go w tym płaszczu, żeby przypomniał sobie, że miał na sobie marynarkę?

Zamilkł na chwilę i siadając wymierzył ostatni cios.

— Znakomicie, drogi panie. Wyszedł w marynarce, zgoda. A potem? Z jego własnego zeznania wynika, że płaszcz był w samochodzie. Mógł go więc w każdej chwili założyć...

Oto, co jest obarczające. Sędzia udawał niewiniątko, nie nale-

gał, ale wypinał pierś w miarę jak ramiona stawały się ociężałe.

— Zresztą, skończmy z tą historią. Chirieux, czy Courtois był w budynku w poniedziałek rano?

— Jak już mówiłem, panie sędzio, sądziłem...

Pojawiła się jednocześnie nadzieja i zawód.

— Ale teraz wiem, że się myliłem — ciągnął portier. — Pani Bernard była tam ze mną.

— Faktycznie, mamy jej zeznanie. Dziękuję. Więc, Courtois, co ma pan teraz do powiedzenia?

— On się nie mylił — stwierdził Julien z przekonaniem. — Byłem w moim biurze. Próbował otworzyć drzwi, ale ja byłem cicho.

— Dlaczego?

— Dlaczego? No, bo ja...

Zamilkł. Pułapka! Piekielna pułapka, w którą nie może dać się złapać. Cały czas miał nadzieję, że ta dziwaczna historia z Marly wyjaśni się sama. Że nie będzie musiał mówić o Bordgrisie. Ale Marly ze swej strony była również wilczym dołem, rozpostartym pod jego stopami. Dyszał nerwowo, szukał wyjścia. Wszędzie wokół trzaskały drzwi. Skoro tylko jedno z tych wyjść uchylało się, ktoś lub coś zatrząskiwało mu je przed nosem.

\* \* \*

Trzaskały bez ustanku i coraz silniej, rozbrzmiewając coraz głośniejsze w najgłębszych zakamarkach jego ciała i umysłu. Puszczaly mu nerwy. Schudł, jego rysy twarzy wyostrzyły się. Postarzał się, żołądek nie przyjmował już jedzenia. Zemdliło go dwa razy u sędziego. Zarzucono mu symulowanie. Jego obrońca nawet już nie protestował.

Wyprowadzano go i wprowadzano. Zrobili z niego szmatę. Genevieve odwróciła się od niego. Georges udawał obojętnego. Jego adwokat był zdesperowany.

Był sam i tylko z sobą jeszcze rozmawiał. Dyskutował z przeznaczeniem, które miał zamiar sobie stworzyć. Jego życie toczyło się wokół oszustw przedstawianych mu co chwilę z hałasem zatrząskiwanych drzwi.

Pokazano mu zdjęcia. Mężczyzna i kobieta.

— Rozpoznaje ich pan?

Zaszlochał: — Nie! Nie! Nie!

Wprowadzano go i wyprowadzano.

Jego adwokat poprosił o konsultację psychiatryczną. Wyczerpany już, pozwolił się badać bez oporów. Był odpowiedzialny za swoje czyny.

Przedśionek piekła z niezliczonymi drzwiami zacieśniał się wokół niego. Był muchą w szklance mleka. Muchą schwytaną w pajęczynę sprawiedliwości.

Dziesiąty dzień. Ósmego maja. Drzwi już nie trzaskają.

Może wiosna przyniosła pomyślny wiatr, może to zwyciężyła jego niewinność? Nie ma nic pewnego. Ale sędzia wydaje się być już mniej pewny swego, a adwokat stał się bardziej wesoły. Bardzo grzecznie się z nim obchodzą. Urzędnik sądowy trudzi się nawet, żeby postawić mu krzesło. Julien jest śmiertelnie zmęczony, ale szczęśliwy.

— Panie Courtois... — usłyszał — pojawiły się nowe fakty i... Julien jest zakłopotany. Adwokat przyszedł mu z pomocą.

— Jest propozycja wypuszczenia pana na zwolnienie warunkowe.

Zamknął oczy, żeby nie wyczytano w jego wzroku wyzwolonej nadziei.

— Oczywiście to wymaga dodatkowego przesłuchania i będziemy musieli zatrzymać pana jeszcze przez kilka dni do naszej dyspozycji...

Kaszlnął. Już go nie słyszał. Niech to będzie cokolwiek, byle tylko mógł stąd wyjść.

— ...Proszę pana tylko o przygotowanie się do dzisiejszej konfrontacji, potem zostawię pana w spokoju.

Wszedł Georges. Oczy ma podpuchnięte, jakby płakał przez całą noc. Julien podniósł się i podszedł do niego z wyciągniętymi rękoma. Georges, z oczami czerwonymi ze złości, chciał się rzucić na swojego szwagra, lecz z trudem opanował wściekłość i odwrócił się sycząc:

— Nędzniku!

Julien zagryzł wargi.

— Oddam ci twoje pieniądze. Niech mnie tylko stąd wypuszczą, to zaraz zacznę pracować, żeby ci je zwrócić...

Sędzia i adwokat wymienili spojrzenia. Kiedy wyprowadzano Juliena, usłyszał jak adwokat krzychał:

— Mówiłem panu przecież, panie sędzio. Widzi pan, było coś, czym nie udało mi się pokierować — sweter. Z drugiej strony mój klient nie jest wcale z wyglądu typem mężczyzny, który...

— Oczywiście, oczywiście... — odpowiedział sędzia w zamyśleniu.

Tego dnia Julien miał wspaniałą apetyt. Wracali mu siły. Był radosny, kiedy adwokat przyszedł się z nim naradzić.

— Więc w końcu przekonaliście się, że to nie ja? Ale w takim razie, kto to jest?

— Szukamy. Jeszcze nie wiemy.

Julien był zaskoczony, ale nie chciał tego okazywać. Cały czas był jeszcze nieufny. Nic nie świadczy o tym, że jego obrońca jest naprawdę przyjacielem.

— Wie pan, drogi panie... Chciałbym prosić o widzenie z moją żoną.

Adwokat zmarszczył brwi.

— Teraz?

— Czemu nie?

— Mój Boże... To sprawa taktu, nieprawdaż?

— Taktu!

Gdzie oni będą tego szukać? Ale nie nalegał.

— Sam pan rozumie — powiedział adwokat — to delikatna sprawa.

— Tak — zgodził się Julien. To musi być bardzo delikatne. Lecz w głębi ducha nabijał się z tego. Myślał tylko o jutrze, kiedy stąd wyjdzie... i kiedy odetchnie... ,

— Proszę mi powiedzieć o pańskich zatargach z pana szwagrem — zaczął adwokat, który wydawał się być zadowolony z opuszczenia drażliwego tematu i jednocześnie zauważył, że wpadł z deszczu pod rynnę. — Właściwie później... Kiedy poczuje się pan lepiej.

— Georges będzie splotony. Oddam mu wszystko, do ostatniego grosika.

— Obawiam się, że nie wystarczą mu obietnice.

— Genevieve owinie go sobie wokół małego palca.

Ten obrońca nie jest w ogóle w temacie.

— Ale, Courtois, chyba nie sądzi pan... Ona powiedziała... Przyszła po prostu zobaczyć się z sędzią.

— Ach... Tak... — odrzekł Julien, ostrożny.

Na szczęście adwokat nie nalegał.

— Porozmawiamy o tym jeszcze. Zostawiam pana z dobrą nowiną.

— Dziękuję.

\* \* \*

Leżąc na swoim pośłaniu próbował zrozumieć. *Ona powiedziała...* Kto? Genevieve? Denise? Szefowa z hotelu, która być może zmieniła swoje zeznania?

Ach, co tam. Obojętnie, byleby tylko wyszedł.

Spał znakomicie.

\* \* \*

Przyprowadzono go znowu do sędziego śledczego i znalazł się w obecności Georges'a i Jeanne. Coś takiego! Ona przyszła także. Była zniecierpliwiona, ale spokojna. Georges natomiast przygnębiony.

— Julien — krzyknęła Jeanne — wszystko powiedziałam. Powiedziałam im, że spędziliśmy razem tę noc, kiedy popełniono tę zbrodnię.

Opadł na krzesło zaślepiony. Jeanne? Ona jest szalona! Wszyscy są skrepowani oprócz Jeanne. Georges dorzucił głuchym głosem:

— Miałem swoje gniazdo rodzinne, Julien. Podniosłeś na nie rękę. Zniszczyłeś je. Nigdy ci tego nie wybaczę.

— To już sprawa, która nie dotyczy sprawiedliwości. Proszę mi wybaczyć, panie Jourlien. Courtois, pani Jourlien dobrowolnie dostarczyła panu alibi, którego nie chce pan potwierdzić. Czy przyznaje się pan do spotkania z panią Jourlien, pańską kochanką, najpierw w sobotnią, a następnie niedzielną noc?

Słowa te straciły sens, gdy tylko przeszły przez umysł Juliana. Był jak upojony śmiercią, który na rozpiętym morzu czepia się nagle ostatniej deski ratunku.



Odetchnął głęboko. Niejasno pojął, że jedno „tak” może go uratować. Wypowiedział je.

— Tak.

Georges płakał, z twarzą ukrytą w dłoniach. Jeanne odetchnęła. Dlaczego ona to zrobiła? Dlaczego niszczy kruche szczęście Georges? Jestem łajdakiem, pomyślał, ale żyję!

— Courtois — kontynuował sędzia — zechce nam pan powiedzieć, gdzie się pan wtedy spotkał ze swoją kochanką?

— Słucham?

— W jakim miejscu spotkał się pan wtedy z panią Jourlien?

Spojrzał na Jeanne, która chciała powiedzieć, przestrzec go przed błędem, jaki mógł popełnić. Co ma powiedzieć? Śmiertelna cisza zawisła nad czterema osobami dramatu.

— Odmawiam odpowiedzi na to pytanie.

Jeanne odetchnęła. Sędzia westchnął.

— No tak, Courtois. Zakłócił pan spokój ogniska domowego pana szwagra... Rozumiem powody, dla których mógłby pan chcieć milczeć, ale w punkcie śledztwa, do którego doszliśmy...

Georges wyprostował się i przerwał z taką gwałtownością, że Julien cofnął się na krześle.

— To niemożliwe! To niemożliwe! Jeanne, nie jesteś kobietą, która zrobiłaby coś podobnego!

— A Julien nie jest mężczyzną, który popełniłby podobną zbrodnię — odpowiedziała mu.

— Przecież nie opuściliśmy ciebie. Jak, gdzie się z nim połączyłaś?

Jeanne, którą znał tak surową i uczciwą, kłamała jeszcze, żeby go uratować, z zimną obojętnością, jak gdyby w czasie całego swojego uczciwego życia marzyła tylko o zmieszaniu się z błotem.

— Wyszliście przecież, ty i Genevieve, w sobotę wieczorem, w poszukiwaniu Julienu.

— Niech pani wybaczy — powiedział sędzia — ale przestępstwo zostało popełnione w nocy z niedzieli na poniedziałek...

— Wyszli jeszcze potem, proszę pana, poszli do sekretarki Julienu. Moja szwagierka sądziła, że jej mąż ma ze swoją pracownicą jakiś romans.

Wyprowadzono go. Jego adwokat odprowadził go do celi w milczeniu. W końcu wyszeptał zgorzony:

— Ta cała sprawa jest dość ponura, ale...

W tym momencie drzwi gabinetu sędziego śledczego otworzyły się i słyhać było Georgesa, który znowu wpadł w szal:

— Do końca, słyszysz, nędzniku... Posunę się do końca, ja...

Ktoś popchnął drzwi. Trzaśnięcie dotarło do Julienu gdy adwokat kończył swoje zdanie:

— ... pan został ocalony.

\* \* \*

Na pryczy zbierał myśli, ale nie widział ich jasno. Oprócz tego, że jego szwagierka kochała go skrycie.

Jeanne! Powiedzieć, że nigdy o niej nie marzył... A w dniu, kiedy potrzebował jakiejś bratniej duszy, to właśnie ona przybyła. Nie Genevieve. Ani żadna z jego kochanek. To ona przyszła i trzymała go za rękę...

Nie jest zła. Odtwarzał swój sen o wolności. Ona opuści Georgesa.

Z pewnym radosnym zmęczeniem przestał szybko budować swoją przyszłą egzystencję, żeby zatrzymać się nad zdaniem adwokata.

*...pan został ocalony.*

## 20.

A potem wszystko naraz zawaliło się. Georges nie odpuścił. Zasypał swoją służącą pytaniami i ta zeznała, że pani nie opuszczała domu.

To obrońca oznajmił mu złą nowinę. Półgębkiem. Z pewną pogardą.

— Przyznała się w końcu, że kłamała, aby pana uratować. Zeznała również, że nie była pana kochanką. Ale jej mąż oczywiście jej nie wierzy. W każdym razie oni już nigdy nie będą szczęśliwi. Dzięki panu.

\* \* \*

Ile bólu! Czy jest możliwe, żeby z wysiłków ludzkich zostawało zawsze tylko nieszczęście?

\* \* \*

Koszmar Julienu powrócił. Przyprawiano go i odprowadzano i drzwi znów zaczęły trzaskać. Najmniejszy hałas wstrząsał jego nerwami. Sędzia śledczy żałował, że zwątpił w jego winę. Adwokat miał mu za złe, że nie mógł się wykazać w jego obronie.

Prowadzono dalsze postępowanie w celu odtworzenia zbrodni. Ciekawscy byli trzymani na odległość. Tłum ubliżał mu, gdy tylko przechodził w pobliżu. Zataczał się jęcząc:

— Zapewniam was, że nawet nie wiedziałem, iż przejeżdża się przez bramę Maillot, żeby dojechać do Marly.

Zakładano mu jego płaszcz. Wciskano mu rewolwer między palce.

— No, już...

Wpychano go do samochodu, wyciągano z niego, głowa mu pękała. Miał zrobić kilka kroków.

— Tak, dobrze... Niech pan trzyma... No niech pan trzyma!  
Poddał się. Lufę w jego stronę...

— Teraz niech się pan odwróci i biegnie... Stać! To tam uderzenie pocisku pana zatrzymuje...

— Ale nie było uderzenia... Pocisk zaledwie musnął...

Dyskutowali nad tym punktem. Zatrzymał się? Nie zatrzymał się? Ktoś napomknął, że być może pocisk ofiary został wystrzelony jako pierwszy? Nieprawdopodobne. Co więc robił, w takim razie, z rewolwerem w garści? Teraz wydaje się, że to mąż skoczył mu do gardła. Statysta udaje walkę z Julienem. Jego ręka urywa guzik płaszcza, ten, którego brakowało, wszystko to przypomina jakąś okrutną zabawę. Sędzia krzyczy do niego:

— No, czemu nie pociąga pan za spust?

Był do tego stopnia ogłupiały, że zrobił „paf” „paf” końcami warg, jak jakiś szczeniak. Gwałtowny wrzask wyrwał się z tłumu.

Krzyknął, upadł i tarzał się histerycznie, bez innej możliwości obrony niż te przesilenia nerwowe ciała, o których asystujący mówili:

— To atak epilepsji.

— Trzeba mu włożyć coś między zęby, żeby nie odgryzł sobie języka.

Lekarz zrobił mu zastrzyk i pograżył się w spokojnym i ostatecznym śnie.

\* \* \*

Przyprowadzano go i odprowadzano go. Czy to nigdy się nie skończy?

Bał się drzwi, opadał, kurczył się, żeby przejść przez progi, wyciągał rękę, żeby zapobiec trzaskaniu.

— Dzisiaj poruszymy ostatni aspekt sprawy. Mam dla pana małą niespodziankę.

Jeszcze jedno zdjęcie. To go nieznacznie ożywiło. Była to młoda, śliczna dziewczyna, ubrana dziwacznie, jak w Saint-Germain-des-Pres. Przyjrzał się jej z przyjemnością, potem przypomniał sobie o istocie rzeczy i spytał wstydliwie:

— Czy ją znam?

Ukradziono mu jego terażniejszość, zbudowano przeszłość, która nie należała do niego, a teraz ustalano jego przyszłość. Jak więc może być pewien czegokolwiek? Sędzia pokiwał głową i powiedział z wielkim zadowoleniem:

— Zabił ją pan. — Jedną ręką stłumił słaby, odruchowy protest adwokata. — Za chwilę, miły panie. Courtois, czy rozpoznaje pan tę dziewczynę? Ostrzegam, trzech świadków widziało ją z panem.

— Więc...

Nie próbował już mówić nie. Był tylko pyłem, nieskończenie małą mniejszością naprzeciw jednomyślności świata, który odrzucał go od swej piersi.

— Wprowadźcie panią Courtois.

Genevieve! Trząśł się z emocji. Weszła, ze spuszczonym wzrokiem, podtrzymywana przez swojego brata, który wzrokiem rzucał pioruny Julienowi. Powstrzymano go, gdy chciał podejść do żony. Genevieve błagała go zmęczonym głosem:

— Proszę, Julien, nie rób mi jeszcze większej przykrości.

Zmieniła się, nie posługuje się już wielkimi, teatralnymi gestami. Cierpienie wpłynęło na nią i uczyniło ją starą kobietą, w której trudno było znaleźć jakiś ślad po przeszłości.

— Ginon...

Potrząsnął głową.

— Wybacz, biedny Julien, ale uczyniłeś tyle złego...

— Nic nie zrobiłem! Nic, Ginon...

Georges pomógł usiąść swojej siostrze. Sędzia kazał przynieść jej szklanekę wody i ostrożnie pokazał jej zdjęcie.

— Rozpoznaję ją — powiedziała Genevieve. — To na pewno ją widziałam wsiadającą do samochodu.

— Jakiego samochodu?

— Pańskiego, Courtois — sprecyzował sędzia.

— Ginon, zdajesz sobie sprawę z tego, co chcesz powiedzieć? Przymierzam ci na wszystko, co dla nas najświętsze...

Genevieve płakała:

— Co może być dla ciebie świętego, mój biedny Julienie?

Odwróciła się do sędziego.

— Zauważyłam, że rąbek spódnicy był odpruty.

Zanim go przytrzymał, rzucił się naprzód i wyrwał żonie

z rąk fotografię. Musiał ustąpić wobec oczywistej prawdy. Dół spódnicy w istocie był odpruty. Dowód został wykazany. Genevieve nie kłamała. No... A on? Dowód czego?

Wyjąkał niepewnie:

— Kto to jest?

— Pańska towarzyszka z weekendu, Courtois.

Usiadł ponownie, ogłupiony, z palcami przy skroniach. Ledwie słyszalne dla niego przesłuchanie toczyło się dalej. Adwokat chciał wiedzieć, czy Genevieve jest pewna, że Julien był w samochodzie, kiedy dziewczyna wsiadła? Tak, zauważyła jego plecy przez tylną szybę...

To koniec. Sędzia odprowadził Genevieve z wszelkimi zaszczytami. Julien miał tylko jedną prośbę:

— Delikatnie z drzwiami, proszę pana...

— Courtois! — krzyknął adwokat wstając. — Na litość boską, niech pan skończy z tą komedią i powie prawdę.

Julien spojrzał na niego nic nie widząc. Jego własna żona go oskarża. To musi być prawda. Nie słuchał sędziego, bo po co. Jednak coś go zastanawiało. Ta młoda dziewczyna, z którą wyjechał.. powinna z pewnością wiedzieć, czy Julien był przy niej, czy nie.

— Drzwi! — krzyknął oświecony. — Drzwi są otwarte!

Rodziła się w nim jakaś ogromna nadzieja. Nie można bawić się w nieskończoność faktami.

— Panie sędzio, niech pan każe przyjść tej dziewczynie. Kiedy mnie zobaczy, powie panu, że to nie ja!

Adwokat mlasnął głośno ustami, a sędzia zaczął miarowo stuknąć w biurko. Na początku hałas był niewielki, ale w miarę upływu czasu urósł w siłę i stał się nie do zniesienia. Uczynił nadludzki wysiłek, żeby tylko nie wpaść w panikę. Sędzia stwierdził z naciskiem:

— Zakładam, że nie mógł pan tego wiedzieć, więc już pana powiadamiam, że zabił ją pan.

— Zabiłem? Ona nie żyje?

To go nie dziwiło. Był gotów zaakceptować za jednym zamachem cokolwiek przeciwko tej prawdzie, którą znał tylko on sam.

— Zabita nie bezpośrednio, przyznaję. Jest mi na razie obojętne, gdzie i kiedy poznał pan Theresę Villois. Ważne jest, że

pan ją uwiódł. Gonił pan ostatkami. Pana kasa była pusta. Był pan winien pieniądze szwagrowi, i nie tylko jemu, po dokonaniu oszustwa... Tymczasem nie rezygnuje pan ze spotkania z Therese Villois. W Marly obecność wczasowiczów nasuwa panu myśl popełnienia dwóch przestępstw jednocześnie.

— Panie sędzio — przerwał obrońca — wniosek jest zbyt pochopny.

— Tak pan myśli, drogi panie? Hotelarze mają czasami żaloszny zwyczaj podsłuchiwania pod drzwiami. Zna pan zresztą, tak jak ja, rozmowę kochanków podsłuchaną przez Mathilde Fraignoux. Pański klient wyjaśniał jej drobiazgowo zasady czarnego rynku walutowego. Domyślał się, że mógłby znaleźć przy Carassim dwieście do trzystu tysięcy franków.

— Czy to by wystarczyło?

O czym mówią ci dwaj?

— Tak, drogi panie. Biedna Theresa była w ciąży za sprawą Courtoisa. I on o tym wiedział. Wyznała mu to właśnie w Marly. Pozbawiony pieniędzy i obawiając się skandalu oszalał. Chciał zapewnić swojej kochance przynajmniej przerwanie ciąży. Oto właśnie motywy zbrodni.

Julien nieświadomie zainteresował się tą historią, która była jego własną. Wytężył słuch.

— Niestety, Theresa była drobnomieszczańską dziewczyną, jak to się teraz mówi. Kochała Alfreda Mouralin, z którym żyła w konkubinacie czekając na zalegalizowanie związku. Po powrocie z tego tragicznego weekendu opowiedziała o wszystkim swojemu kochankowi i ci biedni, młodzi ludzie zadali sobie dobrowolnie śmierć.

— Z mojego powodu — przyznał raczej niż spytał Julien.

— Dokładnie.

Sędzia pokazał jakiś zegarek. Julien go dotknął z powątpiewaniem. To był prawdziwy złoty zegarek. Przeczytał na jego kopercie: *Pedrowi, od jego Germaine...*

— To zegarek jednej z pana ofiar. Ukradł go pan i podarował Therese Villois, z zamiarem przypodobania się jej. Przed śmiercią wyrzuciła go przez okno, żeby nie zachować niczego, co uważała za kompromitujące.

Westchnął i skomentował w celu wyjaśnienia adwokatowi:

— Jeden z tych dramatów prostytucji uprawianej z biedy, lecz który pozwolił nam na odtworzenie prawdy w całości.

Julien był zaskoczony. Czy to już ostatnie drzwi, które się przed nim zamknęły?

W jego umyśle wrzała głucha praca. Jego mózg ustanowił jak gdyby hierarchię hańby. Zabicie Bordgrisa nie doścignie tej zbrodni, okrutnej i wielokrotnej.

— Powiem wam prawdę — zaczął. Był sam zdziwiony, że zaczął mówić.

Ołówek stenografa był w gotowości. Adwokat otworzył usta i zapomniał ich zamknąć. Sędzia wcisnął się w fotel, z szyderczą miną kogoś, kto się przygotowuje do zaprzeczenia wszystkiemu.

— Spędziłem weekend w windzie biurowca *Uma-Standard*.

Ołówek, który notował jego słowa, zatrzymał się nagle. Adwokat zamknął usta, a sędzia opuścił swoją wygodną pozycję.

— Żartuje pan sobie z nas, Courtois?

Tego za wiele. Julien wstał, krzycząc, z rękami wyciągniętymi do góry: — Zamordowałem Bordgrisa! Słyszycie? To ja go zabiłem! To dlatego spędziłem ten czas w windzie!

Był roztrzęsiony, przedstawiał szczegóły, które sobie nawzajem zaprzeczały.

— Niech się pan zamknie! Nakazuję panu milczeć!

— Nie! Dajcie mi mówić! Już tak dłużej nie mogę.

Strażnicy wymienili znudzone spojrzenia. Wyprowadzono go.

W celi podyktował kompletne zeznanie. Potem czekał. Po części czuł się szczęśliwy, aż tak mu ulżyło zeznanie. Powrócił w ten sposób do kręgu żywych, którzy żyli swoim własnym życiem.

Już następnego dnia przyszedł do sędziego z podniesioną głową.

— Courtois — powiedział sędzia — przestępstwo, do którego pan się paradoksalnie przyznał, żeby przykryć inne przestępstwo, pochodzi najwidoczniej bądź ze zbyt bujnej wyobraźni spowodowanej częstym czytaniem gazet, bądź też z chęci otrzymania mniej surowej kary niż ta, która pana czekała.

To zdanie chyba go w pełni zadowoliło i przechadzał się z palcami w kieszonkach kamizelki. Julien nie wiedział na razie o co chodzi.



— Nie mniej jednak sprawiedliwość jest gotowa pana wysłuchać pod warunkiem, że będzie pan w stanie dostarczyć najmniejszy dowód na to, do czego się pan przyznaje.

— One nie istnieją, panie sędzio. Starłem wszystkie dokładnie ponieważ nie przypuszczałem, że będzie mi się zarzucać...

Sędzia nie pozwolił mu skończyć.

— Przekonany pan, drogi panie? — powiedział do obrońcy.

— Ale przecież zeznaję — zdziwił się Julien.

Adwokat wydał się wstrząśnięty.

— Niech pan wysłucha mojego klienta do końca...

— Jak pan chce — odpowiedział sędzia, rozdrażniony. — Ale wszystkie dowody, jakie posiadamy, wskazują na Courtoisa jako mordercę z Marly.

Niezadowolony zatrzasnął szufladę. Julien zakrył rękoma oczy, błagając:

— Nie drzwi! Wszystko, czego chcecie, tylko nie drzwi!

Sędzia gestem zdenerwowania powstrzymał ten krzyk, wyrażający głupie wchodzenie śmierci prosto w rękę.

— Niech pan nie zaczyna od nowa swoich szaleńczych symulacji, bardzo pana proszę. Badanie psychiatryczne wykazało, że jest pan odpowiedzialny w stu procentach. Zatrzymajmy się nad sprawą tej windy. Technicznie byłoby to możliwe. Jesteśmy o tym przekonani. Niestety, w rzeczywistości jest to nieprawdopodobne, szczególnie ze względu na brak dostatecznych dowodów...

Adwokat pochylił się nad Julienem i powiedział łagodnie:

— Ten Bordgris, do którego zabicia pan się przyznaje, popełnił samobójstwo, Courtois. Przejrzałem dokładnie dokumentację. Gdyby pan mógł podać jakąś wskazówkę, jakiś szczegół...

Julien spróbował zebrać myśli, ale mu się nie udało.

Adwokat rozpoczął od nowa:

— Panie sędzio, trzeba jednak pamiętać o tym, że nie istnieje niepodważalny dowód samobójstwa Bordgrisa — list z wiadomością: popełniam z własnej woli samobójstwo itd. Taki list po prostu nie istnieje.

— Przyznaję panu rację — rzekł spokojnie sędzia.

Obrońca odwrócił się do Julienu z czymś w rodzaju „ach” zadowolony i dodający odwagi. Jemu także sprawiło to przyjemność. Ten oszalały pojazd powrócił na swój tor. To pozytywne...

— Przyznaję panu rację, pod jednym warunkiem jednak. Niech Courtois zrzeknie się opowieści o windzie. W tym wypadku uznam chętnie, że Courtois zamordował Bordgrisa, pozorując samobójstwo... Może być, Courtois?

Potrząsnął kilkakrotnie głową. Sędzia uśmiechnął się:

— I niezadowolony, z nie zaspokojoną żądzą mordu pojechał do Marly. Jeśli tego pan pragnie, nie pozostaje mi nic innego, jak dodać do mojej dokumentacji tajemnicze morderstwo bankiera.

— Ale winda, panie sędzio — wyjącał Courtois.

— Śmieszne! To wszystko to wyobraźnia. Bordgris zmarł, autopsja wykazała w sposób niezaprzeczalny, między piątą trzydzieści a szóstą trzydzieści. Zeznanie pańskiej sekretarki, Courtois, jest niepodważalne: nie opuszczał pan biura o tej godzinie.

— Zaraz, zaraz... Muszę się zastanowić.

— Właśnie — zezwolił sędzia — niech się pan zastanowi. Może następnym razem lepiej pan to sobie wymyśli.

Wstał. — Ale nie będzie następnego razu!

Julien Courtois doznawał dziwnego spokoju w obliczu tej nieuchronnej i zaakceptowanej już przez niego katastrofy. Wszystkie bez wyjątku drzwi były zamknięte. Nie było już żadnych wątpliwości. Bez słowa i hałasu, żeby udowodnić sobie, że już się nie boi, podszedł do drzwi gabinetu, otworzył je i zatrzaskał z całej siły. Nie mógł powstrzymać się od podskoczenia.

— Panie sędzio — oznajmił zgaszonym głosem — to koniec. Nic już nie istnieje. Ja sam już nie wiem, kto z nas ma rację. Liczy się tylko to, że nie ma już dla mnie jutra. To jest właściwie pewne... Widzi pan... Łudzimy się, łudzimy... no i... — Uśmiechnął się smutno. — Nadzieja jest kredytem. Zwątpienie gotówką.